★ Zawile drogi demokratyzacji ★ Ostatni rycerz, pierwszy obywatel ★ Kto nie lubi „Ponalu" ★ Mezalians ★ Godzina do śmierci ★ Niemeldowane

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

8 NUMER 13 (1357) ROK XXVII 31 MARCA 1984 ROKU CENA 15 ZŁ

Walkiria

JERZY KWIECIŃSKI

Wystawienie któregoś z dramatów muzycznych Ryszarda Wagnera jest zawsze przedsięwzięciem przykuwającym uwagę, odnotowywanym w kronikach życia kulturalnego. Wystarczyłby już ten jeden powód, jakim jest ogrom artystycznego wysiłku, niezbędnego do należytego przygotowania przedstawienia, żeby o placówce operowej stało się w zainteresowanych kręgach głośno. Odnosi się to przede wszystkim do naszych polskich warunków, zarówno do przeżywanych obecnie trudności, jak i do braku w naszym kraju wagnerowskich tradycji wśród artystów i publiczności, a także wśród recenzentów.

Któż bowiem z muzyków czy spośród ludzi pisujących o teatrze muzycznym (nie mówiąc już o melomanach) może u nas powołać się na bezpośrednie obcowanie z żywą realizacją „Pierścienia Nibelunga", jeśli ostatnie i jedyne jak dotąd polskie wystawienie odbyło się przed pół wiekiem. Otóż brak obycia z wagnerowskimi realizacjami sprawia, że nie rozporządzamy praktycznie skalą porównawczą, do której można by się odwołać. Ma to i tę „dobrą" stronę, że nikt nie ośmieli się autorytatywnie stwierdzić, iż w taki a taki sposób Wagnera nie wolno wystawiać, że tak się go nie śpiewa, jak pan X czy pani Y.

Mamy obecnie w Teatrze Wielkim „Walkirię", drugie z kolei dzieło słynnej tetralogii, a mianowicie „Pierścienia", dzieło, którego akcja stanowi kontynuację wcześniejszego „Złota Renu". Byłoby niezle, gdyby publiczność mogła tamten utwór mieć świeżo w pamięci, bo przecież sama lektura teatralnego programu czy, powiedzmy, przewodnika operowego nie zastąpi znajomości ze wspomnianym prologiem, wprowadzającym w akcję całego cyklu. Bo do właściwego odbioru „Walkirii" pożądana jest jednak jaka taka znajomość świata germańskich mitów i symboli, pewne oswojenie

8

Wszyscy mają pretensje

Z JERZYM MAŁOLEPSZYM, dyrektorem naczelnym Wojewódzkiego Urzędu Telekomunikacji w Łodzi rozmawia PAWEŁ TOMASZEWSKI.

Jak oceniłby pan stan i poziom łódzkiej telekomunikacji?

Są pewne ogólnie przyjęte wskaźniki, które obrazują stopień rozwoju telekomunikacji, można więc na to patrzeć pod różnym kątem. Na przykład bierze się pod uwagę liczbę telefonów przypadającą na stu mieszkańców. Jeżeli chodzi o Łódź, to w 1983 roku wynosiła ona 11,5. Daje nam to miejsce w krajowej czołówce, przy średniej krajowej około 11 i średniej europejskiej — ponad 30. Przed Łodzią jest oczywiście Warszawa — wiadomo dlaczego, a także np. Wrocław czy Szczecin, a to dlatego, że pracują tam jeszcze przedwojenne centrale Siemensa.

Czy wskaźnik ten dotyczy absolutnie wszystkich telefonów?

Tak.

W takim razie jaki procent telefonów znajduje się w Łodzi u prywatnych abonentów?

6

Kultura w kryzysie

KAROL JÓZEF STRYJSKI

Nauczyliśmy się w partii podejmowania dobrych, mądrych uchwał, tzn. takich, które stanowią konkluzję pogłębionych, odpowiedzialnych ocen, realistycznych prognoz i realnych możliwości. Przykładem może być dokument IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR. Ale samymi uchwałami nie zmienia się rzeczywistości, bo jak mówią: dobrymi intencjami piekło wybrukowane. Od uchwał jeszcze niczego nie przybyło. Od nich też, jak uczy praktyka, jest daleka i trudna, usłana kryzysowymi kłopotami droga do choćby trochę lepszego od dziś — jutra. Stąd jednym z podstawowych zadań, które stanęło przed delegatami środowisk kultury na KKD, było udzielenie odpowiedzi na pytanie: co z 11 punktów uchwały IX Zjazdu poświęconych kulturze nie pozostało tylko na papierze? Co zrealizowano? Co pozostało jeszcze do zrobienia? W którym miejscu, licząc od punktu wyjścia, czyli lipca 1981 roku jesteśmy?

Sprawozdanie z realizacji uchwały zjazdowej w odniesieniu do wspomnianych 11 punktów jest dość ogólne. Dane liczbowe dotyczące stanu realizacji wniosków zgłoszonych w trakcie IX Zjazdu mówią, iż na zgłoszonych wówczas 66 wniosków dotyczących spraw kultury zrealizowano dotąd 28, czyli 42 proc. Jest to jeden z niższych w porównaniu z innymi dziedzinami wskaźników. Aż 20 wniosków, czyli 30 proc. uznano za możliwe do realizacji dopiero w znacznie późniejszym, bliżej nie określonym terminie. Dotyczy to m.in. postulowanych zmian w strukturze wydawanych książek oraz ograniczenia drukowania książek, które określić można jako mierne. Załatwienie tych i wielu innych spraw odłożono na potem. Czy słusznie?

Delegaci zastanawiali się również nad tym, co i na ile nie straciło aktualności z oceny danej na IX Zjeździe? Przyznano zgodnie, iż dokonana w 1981 roku, pod ciśnieniem trudnej sytuacji społeczno-politycznej kraju diagnoza stanu polskiej kultury i jej potrzeb, przetrwała próbę czasu. Życie w kryzysie potwierdziło prawdziwość i aktualność sformułowanej wówczas tezy, iż kultura jest sposobem, a zarazem treścią życia narodu, określa wartości motywujące działalność ludzką. To ponad dwa i pół roku, które upłynęło od Nadzwyczajnego Zjazdu potwierdziło, że wciąż niezbędną pozostaje troska o to, aby powstrzymać spadek realnych nakładów na kulturę.

Życie w odnowie pokazało, że inercja starych wzorów w sferze kultury jest oczywista, zaś doświadczenie zdobyte po IX Zjeździe podpowiada, iż ciągoty powrotu do starego tu i ówdzie są jeszcze silne, zbyt silne. W dyskusji toczonej w zespole kultury podkreślono, iż słuszny jest zapis zamieszczony w projekcie Programu PZPR, że „partia będzie przeciwdziałać w kulturze i sztuce tendencjom i treściom wstecznym, konserwatywnym, anachronicznym i zaściankowym". Równocześnie postulowano konieczność wyeliminowania z polityki kulturalnej partii wszystkich starych, skompromitowanych praktyk i tendencji. Jest to bardzo ważne, jeśli z wolą IX Zjazdu — powiedział prof. H. Kubiak — pragniemy pozyskiwać dla nas twórców i popularyzatorów kultury, ale nie po to, aby rezygnować z walki o naczelne wartości ideologiczne i moralne ustroju. Są jednakże opinie — przypomniał członek Biura Politycznego — że rozmów było za dużo, że za długo toczył się dialog o pozyskanie wszystkiego, co wartościowe dla narodowej kultury.

W kilkugodzinnej dyskusji padło wiele odpowiedzi na te i inne pytania. Ujawniły się znaczne różnice stanowisk, poglądów i ocen. Cóż, nie jesteśmy już partią ludzi myślących jednakowo. I dobrze!

CO ZROBILIŚMY?

Delegaci w drugim dniu obrad Konferencji, w dyskusji na posiedzeniu zespołu kultury podjęli próbę dokonania bilansu tego, co już zrobiono, co za nami, co jest dowodem odnowy w życiu kulturalnym Polski. Nie czyniono tego bynajmniej z intencji czy potrzeby chwalenia się, ale dla precyzyjnego określenia zakresu realizacji uchwały i linii Nadzwyczajnego Zjazdu w złożonej panoramie polskiej kultury. Aby łatwiej i wyraźniej było dostrzec to, co jeszcze przed nami.

Katalog spraw stanowiących aktywa w bilansie dotychczasowych dokonań był nader obszerny. Wymienię tylko kilka.

1. Realizując zadania rozwoju socjalistycznej kultury nakreślone w uchwale zjazdowej, podjęto szereg działań legislacyjnych. Sejm uchwalił ustawy o utworzeniu Narodowej Rady Kultury i Funduszu Rozwoju Kultury oraz urzędzie ministra kultury i sztuki. W toku przygotowań i konsultacji środowiskowych pozostają projekty ustaw o upowszechnianiu kultury, instytucjach artystycznych i kinematografii. To są nasze atuty, przyznawano. Równocześnie dzielono się wątpliwościami: czy nowe rozwiązania legislacyjne są dość skuteczne? Czy nie jest jeszcze aby tak, że łatwiej tworzyć nowe prawa, ustawy niż żyć z nimi w zgodzie? Czy Narodowa Rada Kultury znalazła już swoje miejsce wśród naczelnych instytucji życia kulturalnego...?

2. Szukaliśmy środków, sposobów ochrony środowisk kulturalnych przed degradacją w warunkach kryzysu. W szeregu przypadkach można już mówić o sukcesach. Ale znów pojawiają się wątpliwości, bo przecież kryzysu jeszcze nie przezwyciężyliśmy. Pozostaje aktualne pytanie o to czy zrobiliśmy już wszystko, co było możliwe? Co jeszcze można i trzeba zrobić w tym zakresie w przyszłości?

3. Walczyliśmy o każdego twórcę kultury, o obecność wszystkich w narodowej kulturze. Oznacza to jednak, że czasami musiało być także tak, że była to walka z nimi w konflikcie racji i ideologii, szczególnie gdy wiązało się to z potrzebą obrony racji socjalistycznego państwa i narodu.

4. Staraliśmy się powstrzymać coraz mocniej dostrzegalny a nie usprawiedliwiony nierównomierny rozwój

3

Przegląd prasy

Półtora roku po śmierci Władysława Gomułki stopniowo powiększa się zbiór tekstów o nim i jego dziele. Książkę „Pierwszy z trzech zwrotów" (tytuł sugeruje ciąg dalszy...) napisał Jan Ptasiński, kwartalnik „Z pola walki" opublikował relacjonowaną niedawno na naszych łamach dyskusję redakcyjną, pojawiły się liczne wspomnienia, krytyczne eseje i artykuły publicystyczno-historyczne. Nawet środowiska podziemnej opozycji antysocjalistycznej (a może kto inny...) usiłowały zdyskontować wagę osoby i sprawy Gomułki, kolportując niewątpliwy apokryf — rzekomy pamiętnikotestament polityczny „Wiesława".

Ciągle jednak czekamy na kompletną, bardziej naukową niż publicystyczną próbę analizy i oceny dorobku politycznego i teoretycznego Władysława Gomułki. Dość dawno już taką książkę zapowiedziało małżeństwo historyków naszych dziejów najnowszych — Eleonora i Bronisław Syzdkowie. Ich praca ma już tytuł:

„DYLEMATY I DRAMATY WŁADYSŁAWA GOMUŁKI"

a Wydawnictwo „Czytelnik" zapowiada ją na początek roku przyszłego. Zanim książka trafi do czytelników, jej autorzy postanowili przybliżyć i spopularyzować jej główne tezy. I oto w katowickiej „Panoramie" (nr 12 — 18. 03. 1984 r.), w cyklu „Postacie Polski Ludowej" ukazał się tekst Eleonory i Bronisława Syzdków „Dlaczego najwybitniejszy?".

„Uzgodnienie stanowiska Polaków w sprawie oceny Władysława Gomułki, podobnie jak Józefa Piłsudskiego, jest dziś jeszcze niemożliwe. Chodzi oczywiście o ocenę miejsca w najnowszej historii Polski. Działają tu bowiem u jednych sentymenty, u drugich uprzedzenia, a nawet urazy, których żadna naukowa argumentacja nie jest w stanie usunąć. (...) Dziś już jednak — z pewnej perspektywy czasu — można sformułować pogląd, że Władysław Gomułka był najwybitniejszą postacią w dziejach Polski Ludowej. A jeśli tak, to warto pokusić się o wstępną, bardzo jeszcze niepełną odpowiedź na pytanie: na czym jego wielkość polegała?

Najogólniej można powiedzieć, że polegała ona na wielkości zwrotu historycznego dokonanego w lipcu 1944 roku, zwrotu, którego drogi wytyczyła Polska Partia Robotnicza. Ale oczywiście żadnego Czytelnika taka ogólna formuła nie zadowoli i dlatego niezbędne jest ukazanie, co wniósł Władysław Gomułka nowego, własnego do tego wielkiego dzieła, jakim było powstanie Polski Ludowej".

Dla mnie nie ulega wątpliwości, że Syzdkowie mają rację — udział Gomułki w tym, co stało się latem 1944 roku i później, gdy partia umiejętnie i konsekwentnie pogłębiała korzyści płynące z tamtego zwrotu w dziejach Polski — udział Gomułki był w tym decydujący. Można bez ryzyka popełnienia błędu powiedzieć, że to była jego koncepcja, którą uparcie przeforsował i potrafił do niej przekonać wielu ludzi — nie tylko swych współtowarzyszy ideowych.

Ale jest jeszcze w wielkości Gomułki jeden element, którego Syzdkowie na plan pierwszy nie wysuwają, a który stanowi chyba największy fenomen tej osobowości i zarazem fenomen naszych dziejów współczesnych. Mam tu na myśli powrót Gomułki do władzy w październiku 1956 r. i zbudowany wtedy — dosłownie z dnia na dzień — gigantyczny kapitał społecznego zaufania, wręcz przywódczy charyzmat, jakiego nie miał nikt przedtem i potem. Jak to się właściwie stało?

Tragedią partii, państwa i osobistą samego Gomułki było to, co przyszło potem: Gomułka nie potrafił tego ciężaru udźwignąć. Jego pracowitość i bezkompromisowa „nadodpowiedzialność" zbyt szybko wprowadziły go — w codziennym działaniu — na manowce szczegółów i bieżącej gry gospodarczej. Doprowadziło to do zerwania więzi z klasą robotniczą, jak zwykło się eufemistycznie, choć prawdziwie, mówić — w konsekwencji do upadku Gomułki, którego rzeczywistych przyczyn nie zrozumiał on, jak się wydaje, do śmierci...

Ten dramat też jest ciekawym polem badawczym, ale fenomen Października zapewne jest najważniejszy — nie tylko dla zrozumienia historii. Sądzę, że jego właściwe, obiektywne rozpoznanie miałoby ogromne znaczenie także dla przyszłości.

JEST INTELIGENT CZY GO NIE MA

a jeżeli jednak jest, to co on właściwie ma? Wiadomo natomiast, co mieć powinien, gdyby był — ethos mianowicie. Dylemat ethosu inteligencji polskiej rozważa prof. Władysław Markiewicz w „Tu i Teraz" (nr 12 — 21. 03. 1984 r.), najpierw zastanawiając się nad kwestią, czym jest inteligencja i czy w ogóle istnieje:

„Zadałem sobie trud przejrzenia niektórych najnowszych podręczników socjologii wydanych w Stanach Zjednoczonych, Anglii i Republice Federalnej Niemiec i stwierdziłem, iż w indeksach rzeczowych słowa „inteligencja" w ogóle się w nich nie wymienia. Należy zatem domniemywać, że pojęcia tego nie używa się tam jako kategorii analitycznej, to znaczy, że jako narzędzie dla dokonania analizy składu społecznego oraz wzajemnych stosunków między różnymi klasami i warstwami społecznymi jest ono zupełnie bezużyteczne. Podobnie jest w języku potocznym".

Trud profesora został wynagrodzony — możliwością postawienia efektownej tezy typu „król jest nagi"... Na Zachodzie nie ma inteligencji... Więc o co my tu się właściwie od kilku lat spieramy? Dlaczego Kołakowskiego i Rakowskiego od czci i wiary odsądzamy, zarzucając obu pomienionym mordowanie inteligencji? Wszystkiemu winna jest świadomość. *„W Polsce, w świadomości społecznej termin „inteligencja" jest niezwykle silnie zakorzeniony"* — pisze prof. Markiewicz.

Dlaczego — tego już profesor nie wyjaśnia (a może dlatego, że jednak inteligencja istnieje jako kategoria społeczna?). Ale skoro już jemy tę inteligencką żabę, to przynajmniej dowiedzmy się, jakiż ma ona ten ethos...

„Sądzi się na ogół — pisze prof. Markiewicz — *że ethos jest tym, co określa społeczny i kulturalny charakter grupy (...). Byłaby to zatem jak gdyby suma cech osobliwych indywidualizujących daną grupę społeczną i różniących ją od innych podobnych tworów".*

A więc co do polskiej inteligencji — *„panuje powszechne przekonanie, że ethos taki istnieje. Zrodził się i ukształtował już w XIX stuleciu i najogólniej rzecz biorąc, sprowadza się do tego, że jeszcze dzieckiem w kołysce będąc inteligencja polska stała się warstwą kulturotwórczą".* To znaczy, że właśnie inteligencja uratowała rodzimą substancję narodową i spowodowała zachowanie narodowej tożsamości przez Polaków w okresie rozbiorów...

Prof. Markiewicz pisze, że teza ta jest częściowo prawdziwa, ale ważniejsze jest, że inteligencja sama w tę szczególną rolę uwierzyła, uwierzyły też inne klasy. Dalej jednak w eseju profesora następuje demaskacja mitu:

„Wszelako przeświadczenie, że polska inteligencja kiedykolwiek stanowiła grupę społeczną ożywioną bez reszty ethosem bezinteresownej służby publiczno-patriotycznej, jest niewątpliwie mitem. Twierdzenie, jakoby obowiązywał ją zawsze i był przez nią rygorystycznie przestrzegany jednolity kodeks społecznych obowiązków, albo że wykształciła w sobie dyspozycje psychiczne nakazujące jej dobro narodu kłaść nad wszystkie ziemskie zaszczyty jest mistyfikacją, do utrwalenia której walnie przyczyniły się nasze nauki społeczne.

Stwierdzam to bez ogródek, bom też grzeszny i sam pełen winy".

Grzesznik Markiewicz przypomina, że ethos ten został już przed osiemdziesięcioma niemal laty zdezawuowany przez Stanisława Brzozowskiego. I twierdzi, że *„nigdy później (...) inteligencja polska nie dokonała owego postulowanego i zapoczątkowanego przez Stanisława Brzozowskiego obrachunku z samą sobą, jako warstwą społeczną".* A dlaczego? Tu Markiewicz powiada, że przyczyną główną jest *„bałagan myślowy i wynikające z niego bezholowie w tzw. polityce wobec inteligencji".*

A więc o to chodzi? Wobec tego wolę być zaliczony do warstwy żyjących z pracy najemnej wyrobników pióra. Ci przynajmniej owego obrachunku sami z sobą dokonują na co dzień, bez żadnej szczególnej polityki — po prostu, mimo najemnictwa niewątpliwego, dokonując wyborów ideowych.

Bez dokonania takiego wyboru już niebawem łacno będzie można trafić na margines życia publicznego. Oczywiście na margines można trafić także, gdy wybór okaże się niewłaściwy. Wolę jednak tych, którzy wybrali źle, niż tych którzy nie wybrali wcale, a czekają na jakąś „politykę" wobec nich. Przynajmniej wiem z kim i o czym rozmawiam.

Ostatnimi czasy zaś prowadzimy w Polsce

ROZMOWY O SPOŁECZNYCH PATOLOGIACH

czyli, innymi słowy: o marginesie. (Naturalnie w bardziej potocznym i powszechnie używanym znaczeniu tego słowa — nie chodzi tu o wspomniany nieco wcześniej margines intelektualny — raczej przeciwnie: margines głupoty, występku, ale i choroby...).

Właśnie w „Odrodzeniu" (nr 12 — 20. 03. 1984 r.) Danuta Frey zastanawia się nad zagrożeniami naszego bytu społecznego ze strony zjawisk patologicznych — przestępczości, alkoholizmu, narkomanii i innych dewiacji społecznych. *„Mierząc statystykę — stopień zagrożenia nie wydaje się dziś większy aniżeli np. kilkanaście lat temu. Mierząc nastrojami społecznymi — odnosimy wrażenie wręcz przeciwne".* Taka jest konkluzja wyjściowa dziennikarki „Odrodzenia".

Istotnie, według statystyk, w ciągu minionych czterdziestu lat rekordowy był rok 1966, gdy popełniono w Polsce 549 tys. przestępstw (wykrytych!). To ciekawostka, ale jej wpływ na stan świadomości społecznej jest niewielki — w roku 1966 czuliśmy się znacznie bezpieczniej niż dziś. Zresztą, co to były wtedy za przestępstwa: facet faceta strzelił w ucho, albo jeden drugiemu ukradł królika, albo ktoś rypnął z magazynu kilo gwoździ czy worek cementu.

Dziś po prostu złodzieje kradną i więcej, i wszystko. Bandyci rabują wszystko, co się rusza. Spekulanci spekulują czym się da. Pasożyty pasożytują bardziej zawzięcie. Bimbrownicy pędzą już ze wszystkiego. Prostytutki objęły przodownictwo w dziedzinie nielegalnego obrotu wartościami dewizowymi. Kolejarze sami okradają kolej. Watahy narkomanów krążą w poszukiwaniu surowca na kompot. Punki lejają się z poppersami. Podziemie drukuje. Meliniarze przeszli na wygodniejszą, bardziej higieniczną pracę w godzinach porannych. Jest kryzys.

CÓŻ ZATEM ROBIĆ?

Według prof. Brunona Hołysta *„istnieją w zasadzie trzy główne kierunki redukowania rozmiarów i zakresu zjawisk negatywnych: represja, perswazja i polityka społeczna. Uważam, że najskuteczniejsza jest polityka społeczna".* (cytuję wg tekstu Danuty Frey).

Ba — łatwo powiedzieć. Przemiany gospodarcze, a w ślad za nimi doskonalenie polityki społecznej (długofalowej, niejako strategicznej) zapewne prędko nie nastąpią na taką skalę, by można było w oparciu o ten kapitał redukować patologię. Z kolei, aby represjonować, trzeba złapać i udowodnić winę — to też kosztuje. Perswazja zaś to po prostu wychowywanie. To akurat można zrobić w trybie bezinwestycyjnym, w oparciu o rozwinięty system wychowania młodzieży. Tylko trzeba wiedzieć jak.

Myślę, że najlepiej przy pomocy własnego przykładu, od siebie poczynając. Usuwanie patologii dnia powszedniego — np. kłamstwa, dwulicowości, płynnego stosunku do problemu własności społecznej, chamstwa, egoizmu — jest zajęciem trudnym, prawie heroicznym. Ale za skutek pedagogiczny ręczę. Wtedy może mniej będziemy mówić o patologii, więcej o sensie życia.

Skoro jednak o patologiach mowa, to z ciekawostek w tej dziedzinie warto odnotować

SPRAWĘ WIELCE UCIESZNĄ A SMUTNĄ ZARAZEM

Mam tu na myśli historię polskiego Münchhausena, czyli Stanisława Strumph-Wojtkiewicza, i jego niezwykłego, przez niego samego opowiadanego (ciągle we wzbogacanych wersjach) życiorysu. Odmitologizowywanie opowieści Strumpha, to robota dla całej brygady archiwalnych szperaczy, zresztą sporą jej część wykonał już Melchior Wańkowicz, w znakomitym źródłowym szkicu „Czaruś w grobowcu Szujskich" (pierwodruk w „Odrze" bodajże, potem w zbiorze „Przez cztery klimaty").

Aliści sam Strumph nie ustaje w produkowaniu mitomańskich fantazji na tematy z naszej historii najnowszej. Ma wiernych wydawców (wiernych, biednych — bo ich nie stać na porządnych redaktorów, i cynicznych, bo w pogoni za zyskiem lekceważących poważne, udowodnione ostrzeżenia), ma też szczęście do naiwnych i leniwych dziennikarzy. Ostatnio dał się nabrać „wywiadowca" z „Przeglądu Tygodniowego" na nową porcję ekulubracji Strumpha o Sikorskim głównie. (Chyba że na zimno wypuszczono staruszka pod baty opinii publicznej i specjalistów. Ale to też nieładnie...). Zwłaszcza te dwadzieścia parę poszlak i jeden dowód w sprawie przyczyn katastrofy gibraltarskiej (oczywiście odmienny od oficjalnej wersji), które Strumph zna, lecz związany słowem honoru ujawnić nie może... To doprawdy brzmi komicznie. Przy okazji zaś powoduje ruch (reklamowy!) w interesie. Zaczepiony Olgierd Terlecki musiał przecież odpowiedzieć („Przegląd Tygodniowy" nr 13 — 25. 3. 1984 r. — „Wciąż głową w pień"), swoje dołożył Waldemar Kosiński w tygodniku „Wprost" (nr 13 — 25. 3. 1984 r.) Może Strumphowi tylko o to chodzi? Chociaż nie — mitomani mają silnie rozwinięte poczucie bezinteresowności i służby publicznej.

Przy okazji niejako warto wspomnieć o szerszym problemie tu się wyłaniającym, mianowicie

O ROLI NAOCZNEGO ŚWIADKA W HISTORII

Raz w swej trzynastoletniej praktyce dziennikarskiej dałem się nabrać na „kombatanckie" wspominki byłego hubalczyka, dywersanta, wywiadowcy, powstańca i cichociemnego — od początku do końca zmyślone. I nie dołożyłem należytej staranności przy weryfikacji, i nie miałem po prostu możliwości — dość, że wpadka była dotkliwa. Od tej pory w żadne wojenne opowieści nie wierzę, dopóki nie potwierdzą się w wielu źródłach. Być może, z racji zawodu i funkcji, wyrządzam w ten sposób krzywdę ludziom i historii, ale wolę to od bezkrytycznego propagowania chorobliwego mitomaństwa, rozplenionego w licznych kręgach uczestników wojennych wydarzeń, takich małych strumphów-wojtkiewiczów...

Na koniec też coś ze wspominków. Piotr Wierzbicki w felietoniku „Piaski" („Tygodnik Powszechny" nr 13 — 25. 3. 1984 r.) wspomina

WAKACJE Z MARKIEM

przed dwudziestu przeszło laty w Piaskach na Mierzei Wiślanej, gdzie unikając rozmów o literaturze grali w pikuty.

„O Marku było wiadomo, że zna różnych ludzi, których nigdy w życiu nie ujrzy na oczy normalny warszawski literat, ma „kontakt", że umie gadać z osobami, których się nie widuje na Krakowskim Przedmieściu".

Nie bez powodu Wierzbicki wspomina ten okruszek ze swego bogatego życia. Dla znawców współczesnej literatury polskiej nie jest bowiem tajemnicą, że ów „Marek z Piasków" jest tożsamy z warszawskim literatem Markiem N., niedawno tymczasowo aresztowanym pod zarzutem współpracy z wrogimi Polsce ośrodkami dywersji, wywiadu i agresji propagandowej. Wiadomości Wierzbickiego sprzed dwudziestu lat potwierdziły się — Marek N. znał różnych ludzi i miał „kontakty", jakich nie ma „normalny warszawski literat".

Czy równie ciekawe, choć mało sympatyczne, okażą się paradoksy biografii innych graczy w pikuty?

TOMASZ SAS

Minął tydzień

„O CO WALCZYMY, DOKĄD ZMIERZAMY"

— Deklarację Krajowej Konferencji Delegatów PZPR opublikowano w ubiegłym tygodniu w prasie centralnej i regionalnych dziennikach partyjnych. Dokument ten, uchwalony w poczuciu odpowiedzialności za rozwój socjalistycznej ojczyzny, przedstawia cele i dążenia Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej na nadchodzące lata, wyraża zbiorową wolę partii we wszystkich najważniejszych dla narodu i państwa kwestiach.

Do treści w nim zawartych wrócimy niebawem w naszych publikacjach.

WIOSENNA SESJA SEJMU

ósma w bieżącej kadencji została zwołana, na mocy uchwały Rady Państwa, 20 marca br. Tempo prac ustawodawczych naszego parlamentu w tej sesji zapewne nie spadnie, albowiem — jak można sądzić ze sprawozdań z prac rządu — pod obrady zostaną skierowane liczne projekty ustaw. Skierowanie projektu ustawy o konsultacjach zapowiada Rada Krajowa PRON. Razem z zaległościami z poprzedniej sesji stanowi to znów poważne obciążenie dla Sejmu.

WEDŁUG NOWEGO CZASU

żyjemy od nocy z ubiegłej soboty na niedzielę. Od 25 marca obowiązuje bowiem tzw. czas letni, czyli wschodnioeuropejski. Operacja przesunięcia o godzinę „do przodu" wskazówek zegarów, choć wywołuje pewne perturbacje i dodatkowe koszty, nie jest wszakże żadnym „widzimisię" organizatorów naszego życia zbiorowego. Według informacji uzyskanych przez dziennikarza „Kuriera Polskiego" w Państwowej Dyspozycji Mocy walory oszczędnościowe zmiany strefy czasu są ogromne — od 400 do 1200 megawatów mocy codziennie w zależności od miesiąca. Pozwala to na remonty generatorów w elektrowniach i oszczędza ok. 300 tys. ton węgla. Do czasu zimowego, czyli środkowoeuropejskiego, wrócimy w nocy z 29 na 30 września.

„CZARODZIEJ POLSKICH SADÓW"

dyrektor Instytutu Sadownictwa i Kwiaciarstwa w Skierniewicach prof. dr Szczepan Pieniążek przeszedł na emeryturę — poinformowały „Wiadomości Skierniewickie" (nr 12 — 22. 3. 1984 r.). Profesor, współtwórca jeszcze rodzącego się, ale już wyraźnie odczuwanego sukcesu naszego sadownictwa (cel: jedno jabłko dziennie dla każdego obywatela przez okrągły rok, w cenie porównywalnej z chlebem), jest postacią tyleż powszechnie znaną, co kontrowersyjną. Przez jednych oskarżany o zlikwidowanie owej rozkosznej dla podniebienia różnorodności odmian owoców zwłaszcza jabłek — przez innych, zwłaszcza praktykujących sadowników, chwalony za odwagę, konsekwencję i głęboką wiedzę, doprowadził do naszej zbiorowej świadomości kwestię wagi owoców w codziennym żywieniu, a z sadownictwa uczynił liczącą się na rynku i w eksporcie gałąź produkcji.

Czekamy teraz niecierpliwie na wdrożenie wyników prywatnego hobby Profesora — domowej, pokojowej uprawy owocujących cytrusów i krzewu kawowego...

PO NAUKĘ DO ŁODZI

jak donosi „Express Ilustrowany" z 23 marca, do łódzkiej stacji pogotowia ratunkowego przybyli eksperci ze Sztokholmu, szukający najlepszych, wzorcowych rozwiązań organizacyjnych dla szybkiej pomocy medycznej, gdyż sami są w tej dziedzinie daleko w tyle za europejskimi standardami. Szwedzi podobno uznali, że łódzkie rozwiązania są przodujące. Jeżeli tak sądzą eksperci, to pewnie przyjrzeli się papierowym schematom, nie zaś codziennej praktyce. A swoją drogą, w takiej Szwecji lepiej być zdrowym i bogatym, niż biednym i ulec wypadkowi...

DIABEŁ POJAWIŁ SIĘ W MAKOWIE,

w województwie skierniewickim. Podobno na wiejskiej dyskotece dziewczyna nagle spostrzegła, że jej partner ma kopyta zamiast nóg. Tak się tym przejęła, że zemdlała i do domu wróciła nad ranem, jakoby przeżywszy niemały szok.

Dawniej też się takie rzeczy zdarzały, ale prawdy dochodzono przy pomocy ojcowskiego pasa, nie zaś sabatów parapsychologicznych. Co ciekawe, po takich bliskich „spotkaniach z diabłem" dzieci zawsze rodziły się normalne i zdrowe. Nie taki diabeł widać straszny.

NAGRODY „SREBRNEJ ŁÓDKI" I „SREBRNEGO PIERŚCIENIA"

Jak co roku, z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru, TPŁ przyznaje nagrody „Srebrnej Łódki" za najciekawsze spektakle zrealizowane na łódzkich scenach. I tak w bieżącym roku, jury przyznało „Srebrną Łódkę":

— w kategorii teatrów dramatycznych — przedstawieniu **„Klub"** D. Williamsona, w reżyserii **Feliksa Falka**, przygotowanemu przez Teatr im. Jaracza na Małej Scenie;

— w kategorii teatrów muzycznych — przedstawieniu **„Skrzypek na dachu"**, musicalu J. Bocka, w reżyserii **Marii Fołtyn**, przygotowanemu przez Teatr Muzyczny.

Wydział Kultury i Sztuki nagrodę **„Srebrnego Pierścienia"** za wybitne, indywidualne osiągnięcia artystyczne przyznał **Krystynie Rorbach**, wykonawczyni tytułowej partii w operze Donizettiego „Łucja z Lammermooru".

Ufundowaną przez redakcję „Głosu Robotniczego", również już tradycyjną nagrodę za najciekawszy debiut aktorski (w rachubę wchodzą role przygotowane na łódzkich scenach w przeciągu dwóch lat od ukończenia szkoły aktorskiej) otrzymała **Ewa Sonnenburg** — Basia w „Krakowiakach i Góralach", Martusia w bajce „Uki Puki" i Beatrice w „Zwodnicy".

W plebiscycie „Głosu Robotniczego" na najpopularniejsze przedstawienia, najwięcej głosów zebrała **„Zwodnica"**. Dalej uplasowały się przedstawienia **„Krakowiaków i Górali"**, **„Rodziny"** i **„Opiekuna mojej żony"**.

We wtorek, 27 marca, kiedy niniejszy numer „Odgłosów" będzie drukowany, wręczone zostaną nagrody dla młodych aktorów uczestników II Ogólnopolskiego Przeglądu Sztuk Dyplomowych Szkół Teatralnych, w tym ufundowana przez łódzkie redakcje nagroda za najciekawszą rolę kobiecą i męską. Nazwisk tych laureatów jeszcze nie znamy i podamy je Czytelnikom w późniejszym terminie.

VICESEKATOR

Kultura w kryzysie

Dokończenie ze strony 1

kultury w naszym kraju. Musieliśmy przyznać jednocześnie, iż nie zawsze czyniono to dość skutecznie i właściwymi metodami.

5. Podjęliśmy jako partia wysiłek odbudowy porwanych po sierpniu kontaktów międzynarodowych, w tym ze stowarzyszeniami kulturalnymi i twórczymi krajów socjalistycznych.

6. Wreszcie — troszczyliśmy się o kondycję polityczną i ideową organizacji partyjnych w środowiskach twórczych i upowszechnienia kultury. Mamy już dorobek, nowe doświadczenia i świadomość tego, jak wiele jeszcze pozostaje do zrobienia.

To już niemało, choć jeszcze nie to, co mogłoby w pełni satysfakcjonować.

Uchwała IX Zjazdu określiła szerokie, marksistowskie rozumienie kultury, podkreślając, że kultura to nie tylko sztuka, twórczość artystyczna. Kultura socjalistyczna to specyficzny, głęboko humanistyczny sposób życia, a także organizacji świata przyrody i społeczeństwa. Kultura to tworzenie realnych możliwości, wartości i sposobów zaspokojenia różnorodnych potrzeb społecznych, warunków samorealizacji człowieka. Miarą rozwoju socjalistycznej kultury narodowej jest obecność wśród twórców tak szeroko pojmowanej kultury całego społeczeństwa, przede wszystkim zaś jego hegemona, klasy robotniczej.

Dziedziną o strategicznym znaczeniu dla rozwoju kultury narodowej, jest

POZYCJA KSIĄŻKI

To, co uczyniono od IX Zjazdu w zakresie książek dowodzi, że nawet w warunkach bardzo trudnych, krytycznych można wiele uczynić. W roku 1981 mieliśmy wskaźnik 3,7 egzemplarza na 1 obywatela. W dwa lata później — 5,3 egzemplarza. Uchwały zjazdowe postanowiły, że wskaźnik ten w najbliższych latach powinien wynosić 6—7 egz. na 1 obywatela.

To, co zrobiono można już nazwać osiągnięciem. Ale równocześnie, jak podkreślano w dyskusji, trudno o bezkrytyczną radość z tego powodu. Bowiem od IX Zjazdu nie nastąpiła odczuwalna poprawa na rynku książki, chodzi głównie o książki poszukiwane, atrakcyjne. W latach 1981—1983 wzrósł łączny nakład książek z 133,9 mln egzemplarzy do 194,2 mln egz. Inaczej sytuacja przedstawia się w tytułach. W roku 1981 produkowaliśmy ogółem 10435 tytułów książek, a w 1983 już tylko 8808. Największy spadek notujemy aktualnie w produkcji wydawnictw naukowych i podręczników szkolnych. Sytuację tę skonkludował A. Wasilewski, zastępca członka KC, następująco: wzrost statystyczny produkcji książek w ostatnim okresie niczego w zasadzie nie dowodzi oprócz tego, iż programowo był on nie przemyślany.

W tej sytuacji nie dziwi, że 75 proc. czytanych w Polsce książek pochodzi z bibliotek, które obejmują swoim zasięgiem około 15 mln obywateli. Ale i tu trudno o tani optymizm, bowiem potrzeby bibliotek z tzw. bieżącej produkcji zabezpieczane są w 50 proc. Najdrastyczniej sytuacja wygląda w bibliotekach zakładowych, których jest coraz mniej (10 proc. wszystkich bibliotek. Dla przykładu na Węgrzech — 50 proc.). W dużych osiedlach i w nowych dzielnicach miast bibliotek nie buduje się prawie wcale. I jeszcze jedno — fatalna jest jakość książek. Jedna książka powinna być wypożyczana około 100 razy. Tymczasem wiele książek nadaje się tylko do jednorazowego wypożyczenia.

Za jakość książki, w sensie technicznym, odpowiada poligrafia. Towarzysze reprezentujący środowisko poligrafów powiedzieli wprost: poligrafia to wąskie gardło. Potrzebne są inwestycje, modernizacja, środki.

Przypomnijmy zatem za tymi głosami odpowiedni fragment uchwały IX Zjazdu:

„Poligrafia otrzymać winna środki na modernizację i rozwój oraz materiały, tak aby w ciągu najbliższych lat osiągnąć produkcję książek w ilości 6 do 7 na osobę".

Tymczasem lata lecą, a niezbędnych środków nie widać. Stosowane dotąd półśrodki to daleko za mało.

Kultura nie chce rozwijać się kosztem innych dziedzin życia społecznego. Jest to realne. W uchwale zjazdowej stwierdzono m.in., iż *„przemysł fonograficzny i filmowy mogą stać się źródłem dopływu środków dla całej kultury, pod warunkiem rozwiązania problemów ekonomicznych i organizacyjnych".*

CO ZATEM PRZESZKADZA?

Przysłuchując się uważnie głosom towarzyszy reprezentujących środowiska filmu i teatru można było odnieść wrażenie, że cytowany wyżej fragment uchwały pozostał jedynie na papierze. W konsultacjach środowiskowych krytycznie oceniono projekt ustawy o instytucjach artystycznych i kinematografii. Nie ma najmniejszych widoków na stworzenie w Polsce w ciągu najbliższych lat przemysłu filmowego z prawdziwego zdarzenia, w tym z wyraźnymi preferencjami dla video. Jak zgodnie podkreślali towarzysze: S. Michalski, członek KC, J. Hoffman, reżyser i aktor Teatru Starego E. Lubaszenko — FAZ i obowiązujący system podatku wyrównawczego są hamulcami działalności artystycznej.

„Ryba co prawda psuje się od głowy, ale być może i zdrowieje od głowy" — powiedział E. Lubaszenko, dopominając się jak najszybszego uregulowania statusu dyrektora teatru. Zaś w polityce kulturalnej, w działaniu na rzecz naprawy sytuacji w środowisku aktorskim opowiedział się za wariantem cierpliwym, za konsekwentnym i kompleksowym rozwiązaniem wszystkich spornych i nabolałych spraw środowiska aktorskiego.

Z troską mówiono o kondycji ideowo-politycznej organizacji partyjnych w teatrach i w filmie. Sporo czasu jeszcze upłynie zanim POP w tych środowiskach będą w stanie realizować przewodnią rolę partii. Są to organizacje w większości nieliczne, zrzeszające ludzi niemłodych. Dla przykładu na około 200 reżyserów filmowych członków PZPR jest mniej niż palców u dwu rąk, a ich wiek to 50—60 lat. Od dłuższego czasu nie notuje się przyjęć do partii. Na tę sytuację składa się wiele złożonych przyczyn. Filmowcy nie są tu bynajmniej wyjątkiem. Stąd kilkakrotnie skarżono się, iż kierownictwo partii podobnie jak Kościół dba bardziej o „nawróconych" niż o wiernych, zgodnie z opinią: „partyjni i tak są nasi". Przy czym twórcom partyjnym nie chodzi o szczególne, specjalne względy ze strony władz, a jedynie o równe szanse. Jest to jeden z warunków przetrwania i rozwoju organizacji partyjnych w tym środowisku. Nie traktujmy twórcy partyjnego — mówił tow. Ostrowski — jak bezталencie, któremu legitymacja partyjna ma pomóc w zrobieniu kariery".

POLEMIKI

W. Rogowski z „Argumentów" polemizując ze zwolennikami uzdrawiania sytuacji w środowiskach artystycznych i twórczych metodami administracyjnymi, opowiadał się za kontynuowaniem dialogu, walką o ewolucję postaw, której towarzyszyć winna żmudna praca analityczna, odgradzania wielu zachodzących na siebie zjawisk, a jednak różnych. „Linia IX Zjazdu, linia walki i porozumienia w kulturze — powiedział — toczy się o to, aby obojętnych, wątpiących i zagubionych pozyskać, przekonać, a zdeklarowanych wrogów odsunąć od wpływów".

W przeciwieństwie do wielu towarzyszy wyrażających troskę o dalszy rozwój związków twórczych, W. Machejek wyznał: „jestem spokojny o rozwój związków twórczych, ale szczerze zaniepokojony, zasmucony brakiem twórczości, dobrej twórczości". Tu wskazał na sytuację wydawnictw, które nie skarżą się wcale na nadmiar maszynopisów dobrych książek, szczególnie o tematyce współczesnej, tygodników społeczno-kulturalnych, którym przyszło w reformie ratować się literaturą, w której wszystko kręci się wokół d... Dyskusja nie dała jeż pełnej odpowiedzi na pytanie o statut inteligencji w Polsce, o przyczyny antagonizowania inteligencji z klasą robotniczą.

Przypomnijmy więc raz jeszcze za klasykami marksizmu, iż żadna klasa, a tym bardziej panująca, nie może obejść się bez inteligencji, występującej z nią w ideologicznym i politycznym sojuszu. Tylko poprzez rozwój nauki, oświaty i kultury może realizować się w pełni postulat humanizmu socjalistycznego, może rozwijać się świadomość narodu, wszystkich jego klas i grup społecznych. Zadaniem partii, awangardy klasy robotniczej jest otaczać szczególną troską te nurty i kierunki rozwoju kultury, które wyrażają ideały patriotyczne i postępowe dążenia klasy robotniczej i chłopstwa, z których wyrasta socjalistyczna inteligencja polska.

KAROL JÓZEF STRYJSKI

Zawile drogi demokratyzacji

ZENON JANUSZ MICHALSKI

Za demokratyzacją są u nas wszyscy, demokratyzacji wszystkich dziedzin życia szczerze każdy pragnie i pod tym względem panuje w narodzie chwalebna zgodność. Kiedy jednak postawi się pytanie, jak sobie tę demokrację wyobrażamy, sprawa zaczyna się komplikować. Przysłowiowe trzy punkty widzenia przypadające na każde dwie osoby i tutaj dają znać o sobie.

W takiej sytuacji tym bardziej aktualne są pytania o demokrację, o demokratyzację systemu społeczno-politycznego. Stanowią one w naszych warunkach — nie tylko zresztą w naszych — wartość nieprzemijającą.

Twierdzą jedni, że demokracji nigdy nie jest za dużo i oczywiście można im przyznać rację, jeżeli prowadzą rozważania dotyczące społeczeństwa, które w ogromnej większości do demokracji dorosło.

Twierdzą drudzy, że demokracja to coś powszechnie pożądane, rzecz najważniejsza i jest to oczywiście słuszne w przypadku społeczeństwa o wyrównanym, wysokim stopniu świadomości.

Twierdzą jeszcze inni, że jedynie dobra, to taka demokracja, która służy wszystkim. Uniwersalna, wszechogarniająca. I byłoby to realne w warunkach społeczeństwa bez sprzeczności — rzecz w tym jednak, że takie społeczeństwo nie istnieje.

Trzeba więc mówić o demokracji z całą świadomością stanu świadomości społecznej, ze świadomością klasowej istoty demokracji oraz ze znajomością uwarunkowań rozwoju tej demokracji.

DEMOKRATYZACJA — CO JĄ WARUNKUJE?

Jeżeli mówimy o dokonującym się w państwie rozwoju demokracji, to mamy przede wszystkim na względzie demokratyzację systemu społeczno-politycznego, czyli działanie na rzecz wdrażania zasady ludowładztwa, bez którego wszelkie deklaracje o demokracji nie mają żadnego pokrycia. A że „demokracji w ogóle" nie ma, rzecz do konkretnej postaci demokracji nas interesującej — demokracji socjalistycznej sprowadzając, trzeba uściślić, że cel demokratyzacji systemu to stały wzrost udziału klasy robotniczej w sprawowaniu władzy, to — jak pisał w swej pracy „Państwo a rewolucja" Włodzimierz Lenin — zorganizowanie panowania klasowego robotników i chłopów przez polityczne i społeczne struktury, nobilitowanie punktu widzenia klasy robotniczej.

Wracając do postawionego pytania — co więc warunkuje demokratyzację systemu?

Czynnik zewnętrzny, sytuacja międzynarodowa — powiadają niektórzy. Wrócimy jeszcze do intencji takich wypowiedzi, a tymczasem spróbujmy spojrzeć z tego punktu widzenia na nasze czterdziestolecie.

Zaznaczający się wyraźnie w pierwszych kilku latach Polski Ludowej proces demokratyzacji systemu społeczno-politycznego został skutecznie zahamowany, a co więcej — nastąpił regres, na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych, które to zjawisko przetrwało do połowy lat pięćdziesiątych. Drugą natomiast połowę tej dekady charakteryzowała tendencja odwrotna — że przypomnę: wzrost roli Sejmu, przydanie autentyczności istniejącemu systemowi partyjnemu, samorządy robotnicze, itp.

Spójrzmy zatem, co tworzyło specyfikę każdego z tych okresów, bo to stanowić może przyczynek lub próbę odpowiedzi na pytanie o uwarunkowania procesu demokratyzacji.

Niewątpliwie diametralnie różna była sytuacja międzynarodowa, a przede wszystkim stan stosunków między Wschodem a Zachodem.

Przełom dekad i pierwsza połowa lat pięćdziesiątych, to okres ostrej konfrontacji między systemami. Rok 1956 i następne przyniosły kurs na odprężenie, na pokojowe współistnienie. Sądzić by więc można, że czynnik zewnętrzny, sytuacja zagrożenia stanowi właśnie uwarunkowanie, czy jedno z uwarunkowań procesu demokratyzacji i tak twierdzili ci, którzy szukali usprawiedliwień dla niedemokratycznych metod sprawowania władzy. Rzecz jednak w tym, że wnioski z analizy innych okresów tę tezę obalają.

Dekada lat siedemdziesiątych, a szczególnie jej druga połowa, po zakończeniu konferencji w Helsinkach stanowi dobry przykład współistnienia i odprężenia, a przecież w systemie społeczno-politycznym naszego kraju wystąpiły deformacje — skutecznie zatrzymano proces demokratyzacji. Natomiast czas obecny, przy bardzo zaostrzonej sytuacji międzynarodowej, w warunkach zewnętrznych i wewnętrznych prób ustawiania społeczeństwa przeciwko władzy, charakteryzuje się konsekwentnym rozwojem procesu demokratyzacji systemu społeczno-politycznego.

Uwarunkowań tego procesu szukać więc należy w czynnikach wewnętrznych, w państwie a więc w sposobie sprawowania władzy i w ludziach tę władzę sprawujących, oraz w społeczeństwie.

ŻEBY DWOJE CHCIAŁO NARAZ...

Napisał kiedyś w swej „Tetralogii z kajetu pensjonarki" Boy-Żeleński, że „największy jest ambaras, żeby dwoje chciało naraz". Tych dwoje w naszym przypadku — to władza i obywatele. Nie jest to próba rozdzielania społeczeństwa od władzy, czyli od ludzi z mandatu społecznego władzę sprawujących, jest to natomiast konieczność określenia roli i miejsca jednych i drugich, jako że w najbardziej demokratycznym społeczeństwie podział ten będzie występował.

W Uchwale IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR znalazło się stwierdzenie, że *„warunkiem rozwoju demokracji socjalistycznej jest silne państwo i otoczony zaufaniem, służebny wobec obywateli, sprawny i skromny aparat państwowy. Siła państwa i autorytet tego aparatu są możliwe jedynie w warunkach codziennej praktyki rzeczywistego ludowładztwa, samorządności, jawności życia publicznego i społecznej kontroli nad wszystkimi jego dziedzinami"*

Tak więc silne państwo warunkuje rozwój demokracji, która z kolei stanowi o sile państwa, mamy więc do czynienia z klasycznym przykładem sprzężenia zwrotnego. A biorąc pod uwagę rolę i miejsce w naszym systemie marksistowsko-leninowskiej partii klasy robotniczej, należałoby, parafrazując przytoczony wcześniej fragment uchwały, stwierdzić, że warunkiem rozwoju demokracji socjalistycznej jest silna partia i otoczony zaufaniem, służebny wobec obywateli, sprawny i skromny aparat partyjny. A siła partii — wracając do Uchwały IX Zjazdu — *„wyrasta z wierności ideałom i zasadom marksizmu-leninizmu, z demokratycznego życia wewnętrznego, ze ścisłej więzi z klasą robotniczą i społeczeństwem".*

Uwarunkowania procesu demokratyzacji związane z działalnością partii można by przedstawić następująco:

W okresach, kiedy kierownictwo partyjne postępowało zgodnie ze wskazaniami ideologii marksistowskiej, ideologia ta, jako intelektualne odbicie interesu klasy robotniczej bezbłędnie wskazywała kurs na demokratyzację. Tam natomiast, gdzie odchodzono od marksizmu na pozycje sekciarsko-dogmatyczne (przytoczony wyżej okres pierwszej połowy lat pięćdziesiątych) lub na pozycje drobnomieszczańskie (druga połowa lat siedemdziesiątych) w funkcjonowaniu systemu społeczno-politycznego występowały antydemokratyczne deformacje.

Tak więc stan ideowy partii, jedność ideologii i polityki stanowi jedno z podstawowych uwarunkowań rozwoju procesu demokratyzacji.

Przejść należałoby teraz do uwarunkowań tkwiących w danym społeczeństwie, w przeciętnym, statystycznym obywatelu. Znajduje się w obiegu pogląd dosyć upowszechniony, że winę za niedostatki procesu demokratyzacji ponosi władza i tylko ona, a społeczeństwo o niczym innym tak nie marzy, jak o ciągłym rozwoju procesu demokratyzacji wszelkich dziedzin życia.

Zacznijmy od przypomnienia kryteriów rozwoju demokracji socjalistycznej, a są nimi:

— stopień udziału ludzi pracy w rządzeniu państwem, czy też we wpływaniu na sprawy państwa,

— stopień realizacji zasady równości w życiu politycznym, społecznym i gospodarczym,

— stopień realizacji praw obywatelskich,

— stopień ugruntowania zasady praworządności socjalistycznej.

Co więc może warunkować tak rozumiany proces demokratyzacji?

Pytanie podstawowe dotyczy udziału obywateli w rządzeniu państwem. Ideałem oczywiście byłoby, aby wszyscy, w sposób bezpośredni mogli tę władzę sprawować, co jest oczywiście niemożliwe, ale czy tylko ze względów praktycznych? Czy w tym miejscu nie należałoby postawić pytania o stan świadomości społecznej, o poziom jego kultury — także prawnej, o umiejętności myślenia kategoriami państwa, o — sumując — stopień wpływów ideologii marksistowskiej w społeczeństwie. Czy stan ten — a w pewnych obszarach nie jest on zadowalający — nie stanowi jednego z uwarunkowań rozwoju demokratyzacji systemu społeczno-politycznego?

A od drastycznych skrajności nie uchylając się, trzeba by postawić pytanie, czy zamroczony piwkiem i winkiem — a nie są to pojedyncze przypadki — osobnik, patrzący na boki, jakby tu zarobić, a nic nie robić, oceniający wszystko z punktu widzenia własnych, często nieczystych interesów, też ma mieć prawo uczestniczenia we władzy, a jeżeli nie, to kto ma prawo ograniczenia mu obywatelskich wolności?

Stawiam to pomocnicze pytanie, by móc sformułować pytanie wprost związane z tematem i trochę, co tu dużo mówić, wstydliwe, a mianowicie — czy fakt, że pewna część społeczeństwa nie dorasta do demokracji nie warunkuje w jakimś stopniu procesu demokratyzacji?

Zdarza się, słyszeć sądy, że nasz system społeczno-polityczny najlepszy jest na „złą pogodę". W sytuacjach normalnego życia okazuje się czasem nie do końca skuteczny.

Można by, rozwijając tę myśl, postawić pytanie czy przypadkiem i nasz statystyczny obywatel nie jest także najlepszy na złą pogodę? W momentach skrajnego zagrożenia da z siebie maksimum wysiłku, zdobędzie się na czyny niewykonalne, nawet jak Münchhausen sam wyciągnie się za włosy z topieli.

A jak już zagrożenie minie, gdy trzeba będzie normalnie żyć i pracować, to znów będzie miał swoje własne, jedynie słuszne zdanie.

Czy nie trzeba zatem postawić pytania, na ile pewne cechy naszego społeczeństwa warunkują demokratyzację życia społecznego?

I pytanie następne, ze sfery polityki. Jesteśmy od pewnego czasu obiektem zmasowanego ataku sił imperialistycznych. Dla nich jednym z głównych celów jest powstrzymanie procesu rozwoju demokratyzacji naszego systemu społeczno-politycznego, doprowadzenie do zawężenia swobód demokratycznych.

Mając świadomość że są to działania na obrzeżach naszego życia społecznego, postawić trzeba jednak pytanie, w jakim zakresie ten czynnik wpływa negatywnie na część naszego społeczeństwa, podrywając w nim wiarę w zasadność demokratyzujących system działań.

Twierdzą niektórzy, że nie ma trudnych pytań, są tylko trudne odpowiedzi. W tym przypadku pytania są trudne, a odpowiedzi jeszcze trudniejsze. Tym bardziej jednak trzeba je stawiać.

Ostatni rycerz, pierwszy obywatel

HENRYK KOCÓJ

Cios za ciosem godził w chylącą się do upadku potężną niegdyś Polskę. Nie uratowały jej reformy Sejmu Wielkiego i wspaniały odruch narodowy — Konstytucja majowa. Od 24 lipca 1792 roku, tj. od chwili przystąpienia króla do Targowicy, rozpoczął się ponury okres rządów przemocy. Nastrój polskiej opinii publicznej w pierwszym okresie Targowicy znakomicie scharakteryzował wielki przyjaciel Polski, poseł rewolucyjnej Francji w Warszawie, Marie Louis Descorches. W swej depeszy z 10 sierpnia 1792 roku tak zobrazował rozpaczliwą i ponurą sytuację ówczesnej Polski:

„Nie ma już króla, nie ma rządu, nie ma prawa, panuje ohydna anarchia. Garść buntowników siłą bagnetów wsparta stała się całą Rzeczypospolitą."

Istotnie, ciemne chmury zaczęły nadciągać nad Polskę. Ówczesną sytuację doskonale odzwierciedlają listy Jana Dembowskiego do Ignacego Potockiego pisane w Warszawie w okresie Targowicy. W jednym z nich, z 11 grudnia 1793 roku, Dembowski donosił:

„Wielu Francuzów aresztowano, słowem, nikt pewnym być nie może, można się położyć, ale nie można być pewnym wstać z łóżka."

Po drugim rozbiorze Polski pozostały tylko szczątki dawnego państwa, ale i one stały się przedmiotem pożądania chciwych sąsiadów. Nie zamarł jednak duch narodu, a nawet spotężniał w tym ogromie nieszczęść. Poza granicami kraju, w Dreźnie i Lipsku, grono znakomitych mężów snuło plany ratunku. Świtała im myśl sprzysiężenia wszystkich sił, złączenia wysiłków wszystkich warstw narodu. Wielki mąż stanu, Hugo Kołłątaj, pisał w liście do Ludwika Strassera z Lipska 27 stycznia 1793 roku:

„Polska znajduje się w zbyt smutnym położeniu, w jakim była w 1773. Ale ma ludzi, którzy o sobie zapomniawszy, o niej tylko myślą."

Nadzieje wszystkich zbiegały się wokół postaci Tadeusza Kościuszki, sławnego obrońcy narodu amerykańskiego. On sam zamierzał nadać przyszłemu powstaniu potężny zasięg. Opracowane we współpracy z T. Kościuszką memoriały, które miały być przedstawione czynnikom politycznym w Paryżu, zawierały nie tylko projekt akcji polityczno-militarnej, ale również miały poinformować, *„na jakich podstawach spocznie rząd, który rewolucja ustanowi w Polsce"*. Podstawy te, będące niewątpliwie wyrazem zapatrywań Kościuszki, dawały zarys przyszłej konstytucji, ustanawiającej pełne równouprawnienie obywatelskie, jednoizbowy system przedstawicielstwa ludowego, prawo wyborcze czynne i bierne, a pod względem społecznym przewidywały zniesienie poddaństwa, władzy królewskiej, senatu i wyższego duchowieństwa.

Na kolebkę ruchu insurekcyjnego wybrano Kraków — ową odwieczną ostoję Polski w momentach grozy i niebezpieczeństwa, w którym znane były tradycje historyczne i gdzie właściwie ceniono waleczność polskiego oręża. Gród podwawelski stał się podstawą działań militarnych i organizacyjnych kościuszkowskiego ruchu zbrojnego. Stąd rozszedł się Akt powstania obywateli — mieszkańców województwa krakowskiego, wzywający cały naród do akcesu.

Niezwykły zapał ogarnął mieszkańców starego Krakowa. Z dnia na dzień wzrastała liczba ochotników. Wraz ze szlachtą przybywali chłopi w sukmanach, z kosami, górale z toporami; obok zastępów miejskich zgłosił się oddział żydowski. Znoszono broń, pieniądze, żywność, ubrania i wszelki przydatny towar. Składano na ołtarzu ojczyzny obrączki ślubne, kobiety oddawały klejnoty rodzinne. Kościoły, w których odprawiano nabożeństwa na intencję powodzenia insurekcji, a z ambon duchowieństwo rzucało płomienne słowa zachęty do walki o wolność i niepodległość, nie mogły pomieścić wiernych.

Idee z Krakowa, owego *„gniazda rewolucji"* — jak nazwał go w jednej ze swych depesz poseł pruski, Ludwig Buchholtz — zaczęły promieniować na całą Polskę. Jan Jakub Pistor, generał kwatermistrz armii rosyjskiej, zanotował w swym pamiętniku:

„Skoro tylko Kościuszko ogłosił swoją odezwę, zapaleńcy warszawscy niebo i ziemię poruszyli, ażeby lud do powstania nakłonić. Wzywano naród do łączenia się z Kościuszką już to przez afisze przylepiane na rogach ulic, już to przez sztuki przedstawiane w teatrze, a napełnione niby patriotycznymi myślami, podniecano lud do powstania już to na koniec częstemi ogniowemi popłochy zgromadzano pospólstwo."

Oczywiście. Warszawa była ośrodkiem ówczesnej opinii polskiej, z którego kraj od dawna przyzwyczaił się otrzymywać rozkazy i natchnienia, ale wieść o Racławicach, która wywarła na ambasadorze i dowódcy wojsk rosyjskich w Polsce Osipie Igelströmie wstrząsające wrażenie, stała się lontem przyłożonym do beczki prochu.

Na nastroje warszawskie w owym okresie duży wpływ wywarł teatr wystawieniem przez Wojciecha Bogusławskiego swej opery „Krakowiacy i Górale". Szczególnie głośnym echem wśród ludności Warszawy odbijały się śpiewane w ramach tej opery okolicznościowe piosenki i kuplety. Każdy warszawiak rozumiał sens płynących ze sceny słów o ptaszynie w klatce, pozbawionej wolności.

Do najważniejszych wydarzeń doszło w Warszawie 17 i 18 kwietnia 1794 roku. Redaktorzy „Gazety Krajowej" po miesiącach ucisku z radością napisali w artykule wstępnym 22 kwietnia 1794 roku:

„Pamiętne będą zawsze w dziejach narodu polskiego dni 17 i 18 bieżącego miesiąca, w których patriotyczny wszystkich mieszkańców miasta Warszawy zapał skruszył pęta sromotnej niewoli i wytrącił z rąk srogiego nieprzyjaciela żelazo, na którym obmierzły despotyzm był wsparty. Na próżno on usiłował przytłumić szlachetne przeciw przemocy powstanie, jedność, męstwo i cnota najtrudniejsze przełamały zapory. Przekonano się powszechnie, że stanąć śmiało przeciw uciskowi i bronić z hazardem życia swobód ojczystych jest największym obowiązkiem każdego swój kraj i honor kochającego obywatela. Pogardzono śmiercią i zwyciężono."

W podniosłych słowach oceniały wydarzenia warszawskie ówczesne dzienniki francuskie. W „Le Batave — le Sanculotte" z 13 maja 1794 roku pisano:

„Wzniosły 17 kwietnia, ty będziesz umieszczony w historii i udowodnisz, że nic nie może sprzeciwić się narodowi, który chce się stać wolny i chociaż on nie ma broni, on ją zdobędzie na swoich wrogach, by potem zadać im śmiertelny cios."

Wybitny historyk, Stanisław Płoski, tak scharakteryzował te doniosłe wydarzenia:

„Wybuch insurekcji kościuszkowskiej w Warszawie i spowodowane przezeń dwudniowe walki o stolicę, których wynik przeobraził lokalne początkowo powstanie krakowskie w ogólnokrajowe, należą do najciekawszych zjawisk naszych patriotycznych walk o wolność. Jest to pierwszy w dziejach Polski wypadek, kiedy szerokie masy ludności Warszawy samorzutnie chwyciły za oręż w obronie państwa, którego losy były im dotychczas obojętne. To właśnie pełen zapału i poświęcenia udział tych mas zadecydował o zwycięstwie, którego nie mógłby uzyskać sam tylko polski garnizon Warszawy przeszło dwukrotnie słabszy od garnizonu rosyjskiego. Po raz pierwszy zaczynają dochodzić do głosu i usiłują brać udział w kształtowaniu losów kraju inne poza szlachtą żywioły, a mianowicie mieszczaństwo w najszerszym słowa tego znaczeniu."

Znakomity znawca powstań polskich, Wacław Tokarz, również docenił ogromne znaczenie tych wydarzeń, pisząc:

„Bitwa o Warszawę stała się jednym z najdobitniejszych dowodów żywotności i wartości moralnej oraz rozwojowej narodu polskiego na schyłku istnienia Rzplitej, a równocześnie najsilniejszym wyrazem nowych prądów, które powstały za czasów Sejmu Wielkiego, w imię których podniósł chorągiew insurekcyjną Kościuszko. Czasy Sejmu stworzyły hasła i programy: nie dały jednak świadectwa, że za tymi programami stoją szersze masy ludności gotowe do walki, śmierci i złożenia ofiar z mienia w celu wprowadzenia ich w życie. Kapitulacja przed Rosją, znoszenie rządów Targowicy rzuciły silny cień na sprawę rzeczywistej popularności nowych haseł wśród narodu. Dopiero od bitwy warszawskiej nie wolno już było nikomu wątpić o tym, że stoją za nimi masy ludności miejskiej".

Faktycznie, insurekcja warszawska była rozpaczliwym i zwycięskim aktem samoobrony ludu warszawskiego przed obcą przemocą i poniżeniem zgotowanym przez targowiczan. Był to krwawy protest wynikły z instynktu samozachowawczego narodu.

W dniach 17 i 18 kwietnia wyrastali nowi przywódcy. Jednym z nich stał się Jan Kiliński. Poeta Julian Ursyn Niemcewicz, poseł na Sejm Czteroletni, później adiutant Kościuszki, wcale nie skory do pochwał, tak pisał w swych pamiętnikach o Kilińskim:

„Nie dziw więc, że przed wybuchnieniem jeszcze powstania stał się jednym z najsilniej wpływających do niej sprawców. Trzydzieści tysięcy rzemieślników i chłopców sklepowych posłusznych było na wolę jego. On pierwszy dał uczuć pospólstwa ważność i siły jego".

Ten szewc z ulicy Dunaj 145 przeszedł do historii zasłużenie. Jego postać owiała trwała i żywotna legenda, którą nadal żyje cały naród.

Bitwa warszawska, w której 14-letni chłopcy dawali przykład bohaterstwa, była wspaniałym wyrazem patriotyzmu; znikły w niej lokalne interesy, a między mieszkańcami wytworzyła się tak zawsze potrzebna jedność myśli i czynu. W stulecie powstania kościuszkowskiego Bronisław Szwarce napisał:

„Niesłychana jakaś odwaga zapaliła warszawiaków i uczyniła ich niezwyciężonymi, głównie przez to, że z góry uczynili byli najmocniejsze postanowienie nie żałować życia swego dla ojczyzny".

Nie ulega wątpliwości, że olbrzymie piętno na politykę wewnętrzną i zagraniczną powstania wywarły poglądy Tadeusza Kościuszki — szlachetne i piękne w swych założeniach, ale mało realne w rzeczywistości. To Kościuszko wypowiedział znamienne słowa:

„Pierwszy krok do zrzucenia niewoli jest odważyć się być wolnym, pierwszy krok do zwycięstwa — poznać się na własnej sile".

To z jego ust wyszły piękne słowa: *„za samą szlachtę bić się nie będę".*

Na barki Kościuszki spadał ciężar niepospolity, dziedzictwo rozlicznych błędów, omyłek. Z pomocą spieszył mu wprawdzie naród pełen uniesienia, ale odwykły od czynu, rozdarty wewnętrznie, jego warstwy szlacheckie — ciemne, a ludowe —bierne i obce w sprawie narodowej. Wybitny znawca historii Polski doby rozbiorów Henryk Mościcki trafnie zauważył, że stanowisko społeczeństwa polskiego jako całości było wówczas fatalne. To, co się działo w Warszawie, Wilnie i Krakowie, nie znalazło większego odzewu w całej Polsce w granicach przedrozbiorowych. Ten wybitny historyk stwierdził:

„Wszelkie reformy czy to Sejmu Wielkiego, Konstytucji 3 Maja, czy powstanie Kościuszki w bardzo płytki sposób tylko przenikały do społeczeństwa polskiego, nie sięgały do jego głębi".

Wysłany przez Kościuszkę w Lubelskie pułkownik Chomętowski donosił:

„(...) członkowie ustanowionych władz w tych prowincjach byli nader dalekimi od ducha rewolucji, że przedsiębrane przez nich środki szły nader leniwo i nie odpowiadały ani gorliwości patriotycznej, której się po nich spodziewano, ani trudnym okolicznościom i grożącym tej okolicy niebezpieczeństwom, że nie zastał żadnego przygotowania ani do obrony kraju, ani do wyżywienia wojska, że nie tylko wszystkich zastał tam spokojnych, jak wśród pokoju, ale nadto, że projekt ruszenia masy włościan przyjęto jako bezprawny i wolności zagrażający".

W tym tkwiła istotna słabość powstania.

Maurycy Mochnacki stawiał Kościuszce zarzut, że podniósł oręż w sprawie insurekcji, a powinien był walczyć w sprawie socjalnej. Wiadomo jednakże, że walka o niepodległość musiała być celem głównym, że bez jego osiągnięcia żadne reformy nie mogły wejść w życie ze względu na ostry i zdecydowany sprzeciw mocarstw zaborczych.

Na jedno jeszcze należy zwrócić uwagę, a mianowicie na braterstwo ludów i porozumienie walczących narodów. Otóż demokratyczne hasło o braterstwie ludów i porozumieniu wolnych narodów znalazło w toku powstania kościuszkowskiego pełny wyraz. Walcząc z despotyzmem carskim, Kościuszko traktował lud rosyjski jak braci i odnosił się do niego ze szczerą sympatią, *„albowiem sprawiedliwa nawet zemsta daleką jest od serca Polaków"*. Duchem głębokiego braterstwa i szczerego humanizmu przesiąknięte były odezwy Rady Litewskiej pod naczelnictwem Tadeusza Kościuszki, drukowane po polsku i po rosyjsku. W jednej z nich czytamy:

„Żołnierze Rosjanie, srogiej dzikich komendantów poddani władzy, znamy was za braci, bliźnich i litujemy się waszej doli, że wzdychając do wolności, mieć i kosztować jej pod barbarzyńskim rządem nie możecie".

Jeśli chodzi o politykę zagraniczną powstania, Adam Próchnik napisał:

„Zewnętrzna polityka powstania szła za tym, podobnie jak i wewnętrzna polityka po linii szczerych, demokratycznych przekonań".

Jest jednak bezsporne, że w tej dziedzinie, podobnie jak i w sprawach wewnętrznych, popełniono wiele błędów. Naiwne liczenie na neutralność Austrii, a zwłaszcza Prus, do czasu bitwy pod Szczekocinami uznać należy za poważny zarzut pod adresem ówczesnego ministra spraw zagranicznych, Ignacego Potockiego.

Jeszcze pod koniec insurekcji mylnie oceniono grożące Polsce niebezpieczeństwa. W jednym z ówczesnych rękopisów czytamy:

„Obiecywano wkroczenie znacznego wojska moskiewskiego do Polski na zemstę i ukaranie insurgentów, ale czyli pogłoska o Turkach zbliżających się ku Mołdawi, czyli o Szwedach poruszonych i uzbrajających flotę swoją, czyli uleganie mocnej pomocy króla pruskiego, który w swojej osobie szedł pogromić Naczelnika insurekcji pod Szczekocinami, czyli z innych politycznych przyczyn wojska większe moskiewskie zostały menażowane, małe tylko korpusy o kilku tysiącach wkroczyły od Wołynia do Polski i nadal cofnęły się".

I dalej:

„Francuzi mieć będą w rezerwie dać pomoc Polakom, czyli przez własne siły, czyli przez pojednanie i usuniętą od koalicji jaką potencją, czyli na koniec przez nakłonienie mocarstw w neutralności pozostałych".

U schyłku powstania nadzieje na pomoc obcą — nie tylko Francji, ale Szwecji i Turcji — stawały się coraz silniejsze. Wyrazem tych opinii był artykuł w „Gazecie Rządowej" z 22 października 1794 roku, w którym pisano:

„Ile zaś własna całość powinna wiązać Duńczyków, Szwedów i Turków do losu insurekcji polskiej, tyle istotnie przychylna do niej Francja utrzymanie własnej wolności przez podźwignienie w północy kraju wolnego".

Świadectwo żywych ciągle rachub polskich powstańców na pomoc Francji stanowią również listy Hugo Kołłątaja do Barssa z 21 września i 17 października. Kołłątaj upominał się w nich o wiadomości co do przyrzeczonych przez Francję zasiłków pieniężnych oraz ponawiał żądanie pomocy dyplomatycznej, która miała polegać na zachęceniu Szwecji, Danii, a zwłaszcza Turcji, by te opowiedziały się po stronie Polski i udzieliły poparcia insurekcji. W podobnym tonie utrzymany jest list Ignacego Potockiego do Descorchesa, w którym skarży się on na obojętność Francji wobec Polski, ale z drugiej strony zapewnia, że Polska nadal będzie bronić raz podjętej sprawy. W Warszawie ciągle silny był przykład, jaki Francja dała Polsce, *„prowadząc wojnę z całą prawie Europą"* i okazując światu, iż *„Narody bijące się szczerze za wolność, nigdy prawie nie mogą być zwyciężonymi"*.

W miarę jednak, jak pomoc Francji nie nadchodziła, a widmo klęski zbliżało się nieuchronnie ku Warszawie, spotkać można było również pogląd wyrażony w „Gazecie Rządowej":

„Smutne doświadczenia dawne i późniejsze nie powinnyż nas przekonać, że tyle tylko można pokładać nadziei w pomocy obcych, ile w okazaniu jej nam, własny swój interes upatrywać będą".

W dzień po kapitulacji Warszawy redaktor „Korespondenta Narodowego i Zagranicznego" z bólem pisał:

„Cośmy się to napatrzyli odmian w tym krótkim czterech lat przeciągu. Oto w roku 1791 dzień 3-go maja i następne wypadki. Toż Konfederacja Targowicka i Grodzieńska, dalej rewolucja Insurekcji, aż na koniec przez teraźniejszy zwrot okoliczności przytłumienie w całym prawie kraju dawniej gorejącego zapału. Szły osobliwsze zdarzenia jedne za drugiemi skorym przeplatane, unosząc się tam i ówdzie zwrotem. Niknęła coraz bardziej szczęśliwość prawdziwej spokojności, a na to miejsce następowały zamieszania, które nas błyskotką czasem próżnych uwodziły nadziei, że kiedykolwiek słodkiego doświadczemy wytchnienia, w okropnych trafach ulgi doznamy, a jednak tymczasem oporne chęciom naszym zawsze prawie naprzeciw stawały ciosy. Więc chwytaliśmy się jak tonący niepewnych szczęścia ułomków, a te się nam z rąk wymykały. Kiedyż po srogich falach do pożądanego zawitamy portu? Kiedy ustalimy zabezpieczenie istotności naszej w pośród okropnych skał, na które nas fatalne niosły zawieruchy?"

Omawiając znaczenie powstania kościuszkowskiego, należy przytoczyć trafny sąd znawcy tego okresu, Szymona Askenazego:

„Insurekcja Kościuszki nie mogła uratować państwa, lecz w pewnym znaczeniu ocaliła naród polski. Insurekcja, bez której nie jest do pomyślenia wzrost porozbiorowy, ani byt dzisiejszy i przyszły narodu, winna zapewne ulegać ścisłej krytyce w szczegółach, lecz w samej swej istocie musi być uznana za rdzenny pierwiastek genetyczny, za nieodbity, niewzruszony, nietykalny składnik dziejów narodowych".

Równie głęboką ocenę idei Kościuszki wyraża Bronisław Szwarce:

„Kościuszko był tym ogniwem, co połączył w sobie i przez siebie przeszłość Polski z jej przyszłością".

O znaczeniu powstania kościuszkowskiego wypowiedział się także Artur Śliwiński, znany autor patriotycznych prac o polskich powstaniach.

„Na powstaniu roku 1794 niemal przez cały czas trwania mściła się przeszłość Rzeczypospolitej, ale dzięki powstaniu kościuszkowskiemu Polska mogła trwać, istnieć i w dalszym ciągu walczyć o swą wolność, całość i niepodległość. Dzięki powstaniu państwo polskie schodziło z widowni świata z orężem w dłoni, z chwałą męstwa, które rozbłysło na polach Racławic i na bruku Warszawy".

Ginący pod razami obcych bagnetów w obronie Warszawy Jakub Jasiński — o którym ostatnio ukazała się piękna praca Zdzisława Sułka — podobnie jak później generał Józef Sowiński stał się żywym symbolem tego, że Polak nie poddaje się nigdy i za żadną cenę obcej przemocy. Ten młody bohater — jak pisał Henryk Mościcki — *„będąc powalony na działo, krwawiąc licznymi ranami, ostatnim wysiłkiem strzelał do atakujących go grenadierów, nie myślał się poddać. Zakłuto go leżącego na armacie, szabla zastygła mu w dłoni"*. A było to w okresie, gdy *„nad Warszawę nadchodziła ciemna noc. Bito wszędzie w dzwony na trwogę, ponury ich dźwięk, zlewając się z płaczliwym tkaniem, napełniał powietrze smętnym lamentem"*.

Insurekcja pod wodzą T. Kościuszki upadła, jednakże w brzęku zwycięskich kos racławickich w tym samym stopniu co i na polach Szczekocin i Maciejowic dokonywał się jeden i ten sam wielki przedziwny proces cementowania narodu w nierozerwalną odtąd całość. Po upadku insurekcji pozostała idea kościuszkowska i przyszłe pokolenia podawały ją odtąd pokoleniom jak lampę gorejącą ochraniając jej płomień i rozdmuchując go, aby dotrwał do dnia, w którym sprawiedliwość i prawo zatryumfują nad siłą. To właśnie przez insurekcję dokonywała się przemiana pojęć, które nam wydają się proste i oczywiste. Nie dokonałaby się ona bez zdarzeń roku 1794. Bez jednego polskiego powstania, które wzięło nazwę nie z kalendarza, nie z geografii, ale od imienia Naczelnika Tadeusza Kościuszki, którego kult w narodzie naszym należy do najszerzej i najgłębiej ugruntowanych.

Jeden z największych historyków francuskich XIX wieku, Jules Michelet, tak napisał o Kościuszce:

„Ostatni to rycerz, pierwszy to obywatel na wschodzie Europy".

Dzięki insurekcji kościuszkowskiej do panteonu zasłużonych — obok bohaterów herbowych — obok Wodzickiego, weszli: chłop Wojtek Bartos z Rzędowic, szewc Jan Kiliński, rzeźnik Józef Sierakowski, kupiec Krieger, Żyd Berek Joselewicz.

Na zakończenie wypada podkreślić, że Kościuszko walczył o cele prawdziwe. Wolność, którą głosił miała znaczenie konkretne. Nie była ona politycznym szyldem. Kościuszko walczył o te przemiany demokratyczne, jakie były bliskie ówczesnym demokracjom w Warszawie, Paryżu i Waszyngtonie. Ten przywódca i dyktator wierzył w sukces raz podjętej sprawy. Przy całej świadomości ciężkiego położenia posiadał przeświadczenie, że walka jest do wygrania, o ile cały naród się zjednoczy.

Od 1794 roku chłop polski, który na ogół miał słabe pojęcie o Kircholmie, Chocimiu czy Wiedniu, zaczął w swej izbie wieszać portret naczelnika, gdyż on właśnie uosabiał jego żywotne interesy i nadzieje społeczne oraz narodowe.

■

Kto nie lubi „Ponalu”?

Artykuł 9 Ustawy z 26 października 1982 roku o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi postanawia:

„1. Dystrybucja, obrót i zbyt napojów alkoholowych przeznaczonych do spożycia poza miejscem sprzedaży prowadzone są w kraju przez wyodrębnione przedsiębiorstwo państwowe.

2. Sprzedaż detaliczną napojów zawierających powyżej 4,5 procent alkoholu, przeznaczonych do spożycia poza miejscem sprzedaży, prowadzi się w wyodrębnionych punktach sprzedaży”.

Na mocy tych postanowień powołane zostało do życia Przedsiębiorstwo Obrotu Napojów Alkoholowych „PONAL” I od razu stało się przedmiotem różnych sporów i dyskusji. Dlaczego? Jakie są tego powody? Odpowiedzi na te pytania postanowiliśmy poszukać u dyrektora Oddziału Okręgowego „PONALU” w Łodzi — JERZEGO MARCZEWSKIEGO. Wysłuchajmy zatem i drugiej strony:

— Proszę zwrócić uwagę — zaczął rozmowę JERZY MARCZEWSKI — że przedmiotem ataku i dyskusji stała się nie cała ustawa, a przede wszystkim jej mały fragment: postanowienie o powołaniu wyodrębnionego przedsiębiorstwa handlowego, które zajmie się zarówno sprzedażą alkoholu, jak i przeciwdziałaniem, profilaktyką oraz propagandą antyalkoholową.

— Przyzna pan, że ta zbitka zadań brzmi trochę paradoksalnie.

— Tak, jeżeli nie bierze się pod uwagę całej ustawy, wszystkich jej postanowień, a tylko jeden jej wycinek — konieczność powołania wyodrębnionego przedsiębiorstwa, jakim jest „PONAL”. I jeśli przedsiębiorstwo to będzie się traktowało wedle starych wzorów przedsiębiorstw handlowych.

Przy wszelkich rozważaniach o ustawie z 26 października 1982 roku trzeba pamiętać, że — według niektórych źródeł — mamy w kraju około 5 milionów ludzi uzależnionych od alkoholu, że wśród młodzieży do 14 lat połowa już próbowała pić alkohol, a wśród młodzieży od 15 do 18 lat 100 procent miało już styczność z alkoholem i pije go sporadycznie. Badania wykazują też, że około 40 procent robotników ma we krwi alkohol w czasie pracy, co ujemnie odbija się na wydajności pracy. Wreszcie, dane wskazują, że do 1965 roku zajmowaliśmy czwarte miejsce w świecie pod względem picia wysokoprocentowych napojów alkoholowych, a od 1972 roku zajmujemy pierwsze miejsce.

— Mieliśmy przecież i wówczas ustawę antyalkoholową, którą uważano, nie tylko u nas, za dobrą, nawet wzorcową.

— Ale była to martwa ustawa. Od początku nie realizowana. Trzeba więc było uchwalić nową ustawę i zacząć ją od razu realizować. Z tym zastrzeżeniem, że nie łudźmy się pewnych zwyczajów, obyczajów, nawyków, które kształtowały się latami, nie zmienimy w ciągu roku. A przecież nie ma jeszcze roku jak ustawa zaczęła obowiązywać.

Powiem pani więcej, bardzo trudno jest zmienić przyzwyczajenia przedawców, którym przez wiele lat kładziono do głowy, że mają „pompować obroty”, a tu spotyka ich nagle kara za takie działanie. Ktoś zapytał mnie zupełnie szczerze, w cztery oczy: — panie dyrektorze, to my naprawdę mamy nie zwiększać obrotów? Ludziom coś takiego się w głowie nie mieści, a mnie się serce kraje, gdy muszę ich surowo karać.

— Napoje alkoholowe są przecież towarem.

— Tak je do tej pory traktowano. To prawda. Ale teraz staramy się, aby traktowano je jako trującą używkę, której sprzedaż ma być ograniczana. Zadaniem „PONALU” jest między innymi ograniczyć sieć sprzedaży napojów alkoholowych. I my to robimy.

— Sądzi pan, że to przyniesie oczekiwany skutek?

— Sprawa jest dyskusyjna — wiem o tym. Jedni mówią, że *jak nie można kupić alkoholu w sklepie, to można kupić go w melinie lub u bimbrownika, ale inni powołują się na badania naukowe i twierdzą, że jest to metoda dość skuteczna.*

— Jakie to są badania?

— Badania takie prowadzono w Finlandii i Szwecji, a teraz prowadzi się w RFN.

— Ale nie przyczyni się to do ograniczenia — jeśli tak można powiedzieć — sieci melin i bimbrowni.

— „PONAL” nie jest powołany do zwalczania bimbrowni, od tego są inni. Natomiast pewien wpływ na zmniejszenie popytu w melinach może mieć przedłużenie czasu sprzedaży napojów alkoholowych. Z tym, że proszę pamiętać, że to nie my wyznaczamy godziny pracy wszystkich sklepów, w tym również ponałowskich. O tym decydują wydziały handlu i usług.

— A nie sądzi pan, że ograniczenia liczby punktów sprzedaży alkoholu można było dokonać bez powoływania specjalnego przedsiębiorstwa?

— Nie, nie można było. I to z prostego powodu. Sprzedażą alkoholu w Polsce zajmowało się 20 firm. Hurtownie nie musiały uzyskiwać na to żadnego zezwolenia. Wytworzył się rynek producenta. *„Polmos” proponował rynkowi to, co jemu opłacało się produkować. Nie miał zmartwień, że ktoś odmówi, bo inny handlowiec wziął z pocałowaniem ręki. Poza tym w przedsiębiorstwach wielobranżowych zyski są tak traktowane, że nie można wyobrębnić tego, co uzyskuje się ze sprzedaży alkoholu, od tego, co uzyskuje się ze sprzedaży innych artykułów.*

— A jakimi prawami rządzi się „PONAL”?

— Nas nie obowiązuje zysk. Nie ma żadnej zależności między tym, co uhandlujemy, a wysokością płac. Poza tym naszym zadaniem jest wpływać na strukturę spożycia alkoholu. Poprzednich 20 odbiorców produkcji „Polmosu” nie miało na to żadnego wpływu.

— A „PONAL” już ma?

— Nie od razu zbuduje się „PONAL”. Potrzeba czasu, aby nasza działalność mogła przynieść widoczne rezultaty. Ale pierwsze kroki już poczyniliśmy.

— To znaczy, co?

— Zażądaliśmy od „Polmosu” zróżnicowania pojemności butelek. Nasi rodacy nauczyli się, że jak postawią przed sobą pół litra wódki, to tak długo będą nad nią siedzieli, aż ukaże się dno. Domagamy się więc, aby alkohol sprzedawano w półlitrówkach, w butelkach o pojemności 0.33 litra, w ćwiartkach i nawet w setkach. Domagamy się też, aby „Polmos” produkował napoje alkoholowe o mniejszej zawartości alkoholu.

— Jak się do tego ustosunkował „Polmos”?

— Niechętnie. Przede wszystkim przedstawił listę „obiektywnych przyczyn”, z powodu których nie może spełnić naszych żądań. A więc nie ma linii technologicznych, przy pomocy których można byłoby napełniać butelki o mniejszej pojemności. A na zakup nowych nie ma dewiz. Na to, aby produkować napoje o niższej zawartości alkoholu nie ma nalewek. Trzeba je dopiero nastawić i muszą stać rok.

— Co na to „PONAL”?

— Dobrze — mówimy — poczekamy. Ale jak „Polmos” nie spełni naszych żądań, ograniczymy zakup alkoholu. A nikt inny już nie kupi, bo jesteśmy monopolistami w tej dziedzinie. Chcąc nie chcąc zaczęli już coś robić. Pojawiły się koktajle: „Vera”, migdałowo-jajeczny, malinowo-porzeczkowy.

— I daje się to pić?

— Owszem, ale nie na tej zasadzie jak pije się wódkę. Ale też o to chodzi, aby ludzie nie pili na raz pół litra. Prohibicji przecież w Polsce nie wprowadzimy...

— Próbowali inni i się nie udało.

— No właśnie. Trzeba więc szukać innych sposobów przeciwdziałania pijaństwu. Zmieniać przyzwyczajenia. Przedstawiać klientom nowe propozycje. Koktajle i inne napoje o mniejszej zawartości alkoholu powinny być odpowiednio tanie. Muszą mieć konkurencyjną cenę w stosunku do ceny wódki.

— A wino? Nie zauważył pan, że wina zagraniczne mają cenę prawie taką samą jak wina krajowe, które są o wiele gorsze.

— Również i w tej dziedzinie będziemy dążyli do wprowadzenia niezbędnych zmian. Po prostu — powiemy wytwórniom win, że jak nie poprawią jakości, to ich wina nie weźmiemy. Już zgłosiła się do „PONALU” stacja badawcza przemysłu winiarskiego z pytaniem o nasze propozycje i sugestie. A więc coś się zaczyna dziać.

— Jeśli powie pan jeszcze, że „PONAL” przyczyni się do tego, żeby można było kupić w Łodzi dobre piwo, to już nie uwierzę.

— Ciągle powtarzam, że nie wszystko naraz, że to wymaga czasu, przemyślanych działań, uporu. Sądzę, że Łódzkie Zakłady Piwowarskie nie będą miały innego wyjścia jak tylko poprawić jakość piwa. Już teraz — po ograniczeniu czasu sprzedaży i liczby punktów — mają kłopoty ze zbytem produkcji. Jeśli nie podniosą jakości, to mogą splajtować. Łódzkie piwo nie jest pasteryzowane. Krótki czas sprzedaży piwa w sklepach spożywczych powoduje, że sprzedawcy nie chcą go brać, bo jak się zepsuje, to mają tylko straty i kłopoty.

— To dlaczego nie kupuje się piwa, ze znanych browarów?

— Bo te piwa stanowią niewielki procent całej produkcji. Ich producenci nie dają rady pokryć pełnych zamówień. Ot i cała tajemnica. Nie ma więc innego wyjścia, jak tylko zmusić pozostałe browary do produkcji piwa lepszej jakości i pasteryzowanego.

— Jeśli to się uda, piwosze będą „PONALOWI” wdzięczni.

— To się musi udać, tylko potrzeba na to czasu i cierpliwości.

— No, pięknie. Przedstawił pan pozytywy, jakie wiążą się z powstaniem „PONALU”, a które odczujemy dopiero za jakiś czas. Nie zaprzeczy pan wszakże, że „PONAL” jest nowym przedsiębiorstwem, a więc otrzymał administrację, sklepy, lokale i tak dalej. Z jednej strony mówi się o oszczędzaniu, o zmniejszaniu administracji, a z drugiej tworzy się nowe przedsiębiorstwo. Takie padają zarzuty. Co pan na to?

— Przede wszystkim to, że zarzuty wynikają z nieporozumienia i niezrozumienia istoty rzeczy. Może więc kilka faktów. Łódzki „PONAL” — jako przedsiębiorstwo okręgowe — działa w 6 województwach: łódzkim, płockim, piotrkowskim, sieradzkim, skierniewickim i na dodatek jeszcze w kaliskim. Całą tą pracą zajmuje się 26 osób. To chyba nie jest dużo.

Teraz — skąd ci ludzie przyszli? To jest ważne. Przyszli oni ze „Społem” i innych przedsiębiorstw, gdzie skończyła się dla nich praca, ze względu na zmienione zasady handlu alkoholem. Zostali więc przesunięci z jednego przedsiębiorstwa do drugiego. Podobnie wygląda sprawa ze sklepami „PONALU”. W 1975 roku państwo przekazało „Społem” w użytkowanie 5 tysięcy sklepów monopolowych w całym kraju. Teraz je odbieramy. Pokrywamy — ma się rozumieć — wszelkie koszty tej operacji. Do tej pory, w naszym okręgu mamy 46 swoich sklepów.

— A jak ich liczba wzrośnie? Czy nie powstanie potrzeba zwiększenia administracji?

— Być może, ale nie w wielkich rozmiarach.

— „PONAL” ma się zajmować też propagandą antyalkoholową. Jak do tej pory wiele nie zrobiono. Te napisy, że „alkohol to twój wróg” niczego nie zmienią.

— Tu są dwie różne sprawy. Istotnie, takie napisy nie zmienią wiele. Ale ustawa zobowiązuje nas do pilnowania tego, aby wszędzie wisiały ostrzeżenia, że spożywanie alkoholu szkodzi zdrowiu. Podobnie, na papierosach jest też taka informacja. I to jest jedna sprawa. **Próbujemy nowych, atrakcyjniejszych, innych rozwiązań, które proponujemy sklepom. Czy to już jest to, co powinno być — nie wiem.**

Ale jest i inna sprawa. Właśnie propaganda antyalkoholowa. W naszych sklepach umieściliśmy tablice, gdzie są plakaty, różne informacje o szkodliwości picia napojów alkoholowych, także propozycje zmiany sposobu picia, a więc przepisy na różne koktajle i temu podobne. Czy ktoś tam zagląda? Na to też potrzeba czasu. Niech jeden na dwudziestu klientów skorzysta z tego, to już będzie bardzo dużo.

Czy pani wie — na przykład — jakie rozmiary ma obrót napojami alkoholowymi? Otóż w 36 naszych sklepach, tylko w 5 województwach, więc za część trzeciego i za czwarty kwartał 1983 roku mieliśmy prawie miliard złotych obrotów. Ileż to zatem osób przewinęło się tylko przez nasze sklepy? Dlatego mówię: że niech chociaż co 20 klient zainteresuje się naszą propagandą antyalkoholową.

— Czy to wy wprowadziliście do sklepów dawniej monopolowych różne drobiazgi i przekształciliście je w sklepy z upominkami? Przyzna pan, że nie było to najszczęśliwsze rozwiązanie.

— Przyznaję tym łatwiej, że to nie „PONAL” wpadł na taki pomysł.

— No, to kto?

— „Społem”. Są to sklepy, które zgodnie ze stanem z maja 1983 roku powinny były przejść do „PONALU” jako sklepy monopolowe, a więc zajmujące się wyłącznie sprzedażą napojów alkoholowych. Sklepy, w których sprzedaż wódek była tylko działem miały pozostać przy dawnych przedsiębiorstwach: Samopomocy Chłopskiej i „Społem”. Ale tak się nie stało. My dostaliśmy w województwie łódzkim decyzją prezydenta tylko 21 sklepów. Reszta — 21 sklepów — pozostała przy „Społem”. I to właśnie te sklepy szybko zmieniono z wyłącznie monopolowych na sklepy z upominkami, gdzie już sprzedaż alkoholu stanowi dział sklepu a nie jego całość.

A poza tym, również weryfikacja nie odbyła się w pierwotnie planowanym terminie.

— Czy decyzja prezydenta jest ostateczna?

— Nie. Obecnie jest rozpatrywana przez władze centralne.

— Wspomniał pan o weryfikacji. O co tu chodzi?

— Chodzi o weryfikację sieci sklepów i punktów sprzedaży alkoholu. Miała być dokonana do 13 listopada 1983 roku, ale minister handlu i usług przesunął termin do końca stycznia 1984 roku. Ale to jest mniej istotne. Bardziej istotne jest to, że weryfikacja przebiegła dość formalnie. Nie dokonano komasacji punktów sprzedaży tam, gdzie to było możliwe i nie wyodrębniono samodzielnych placówek, a tylko sprawdzono, czy znajdują się one w określonej przepisami odległości od różnych publicznych instytucji i placówek i wydano zezwolenie. Natomiast organizacje handlowe wystąpiły do „PONALU” o wydanie czasowej cesji.

— Ile ich wydaliście?

— Łącznie — 6,5 tysiąca.

— Co to praktycznie oznacza?

— Przedsiębiorstwo sprzedające w swoich sklepach alkohol w wydzielonych stoiskach musi podporządkować się wszystkim naszym przepisom, my szkolimy ich sprzedawców, my kontrolujemy ich pracę. Sprzedawcy ci nie otrzymują premii od zysków ze sprzedaży alkoholu.

— Ale otrzymują część zysku, jaki jest do podziału z obrotów całego przedsiębiorstwa. Są więc mimo wszystko w jakiś sposób zainteresowani dużymi obrotami alkoholem.

— Oczywiście, że są. Przecież ta cała wojna z „PONALEM” i o „PONAL” o to głównie się toczy. Proszę sobie wyobrazić, że rocznie na 550 miliardów złotych obrotu alkoholem czysty zysk wynosi 16,5 miliarda złotych. To w skali kraju. A łódzki „PONAL” tylko za część trzeciego kwartału i czwarty kwartał 1983 roku dał 9 milionów złotych zysku, co zostało całkowicie przekazane do Skarbu Państwa. Natomiast, jak podała niedawno „Polityka”, „Społem” wykazało za pierwsze półrocze 1983 roku 21 milionów zł strat ze sprzedaży alkoholu, a Samopomoc Chłopska — 668 tysięcy zł strat.

— Jak oni to wyliczyli?

— Tego to ja już nie wiem. Ale jak się chce, to się zawsze wyliczy co akurat potrzeba. W każdym razie, jak pani widzi, jest o co walczyć. I to nie jest wcale taka delikatna walka, dżentelmeńska.

— Gdyby nie handlowali alkoholem, to pewnie straty mieliby jeszcze większe. Przecież sklepy monopolowe są najwygodniejsze dla przedsiębiorstwa handlowego. Nakłady minimalne. Sanepid nie wtrąca się, remontować nie trzeba, ale koszty na ich remont można przeznaczać na inne sklepy. Obsługa mała, zyski duże.

— Do czego pani zmierza?

— Nie będę ukrywała, że przed spotkaniem z panem odwiedziłam kilka sklepów monopolowych i niektóre z nich nie widziały murarza i malarza już od kilku ładnych lat.

— Mogę pani tylko powiedzieć, że lobby zainteresowane utrzymaniem sprzedaży alkoholu jest silne. Pierwotnie myślano, aby produkcję i sprzedaż połączyć w jednym specjalistycznym przedsiębiorstwie. Nie udało się. „PONAL” otrzymał tylko sprzedaż detaliczną, hurt, kontrolę i propagandę antyalkoholową.

— Czy to znaczy, że „PONAL” przejął w Łodzi też hurtownie?

— Nie. Nie przejęliśmy, tylko daliśmy hurtowniom cesje. Przejmować hurtownie możemy tylko wówczas, gdy zajmują się wyłącznie sprzedażą alkoholu i posiadają własne magazyny. W Łodzi tego nie ma. Ale sądzę, że hurt przejmiemy w niedalekiej przyszłości, bowiem magazynowanie alkoholu — poza winami i koniakami — nie wymaga specjalnych warunków.

— Czy zdarza się, że jakieś przedsiębiorstwo zajmuje się sprzedażą wódki bez waszej zgody?

— Jak do tej pory złapaliśmy jeden taki przypadek w Sieradzkiem.

— I co?

— Zgodnie z obowiązującymi przepisami przekazaliśmy sprawę do prokuratury.

— A prokuratura?

— Wbrew obowiązującym przepisom zażądała od nas, abyśmy przeprowadzili dochodzenie i przekazali im wyniki.

— Czy sądzi pan, że próba nowelizacji ustawy z 26 października 1982 roku jest wynikiem działania handlowo-przemysłowego lobby, o którym pan wspomniał?

— Tak sądzę. Jednak posiedzenie 4 sejmowych komisji skończyło się dla jego inicjatorów niczym. Dla nas natomiast stworzyło korzystniejszą sytuację. Otóż posłowie zapowiedzieli, iż — zgodnie zresztą z postanowieniem ustawy — zażądają sprawozdania z jej realizacji. Takie sprawozdanie rząd powinien przed Sejmem składać co roku. Pobudziło to zainteresowanie między innymi i naszą działalnością. Nagle wszyscy potencjalni kontrahenci, którzy powinni współpracować z nami przy realizacji tej ustawy, nabrali chęci do współpracy, o czym przedtem nie było mowy.

— Intencja inicjatorów nowelizacji była niewątpliwie inna.

— Bez wątpienia. To zainteresowanie realizacją ustawy pomoże nam bardzo, ale nie wolno tego przeceniać. Ustawa musi być realizowana kompleksowo przez wszystkich, którzy są do tego zobowiązani. I trzeba do tego dążyć. Trzeba jednocześnie pamiętać, że wymaga to czasu, cierpliwości i konsekwencji.

— Wnoszę z tego, że jest pan optymistą?

— Gdybym nim nie był, nie przyszedłbym tu do pracy.

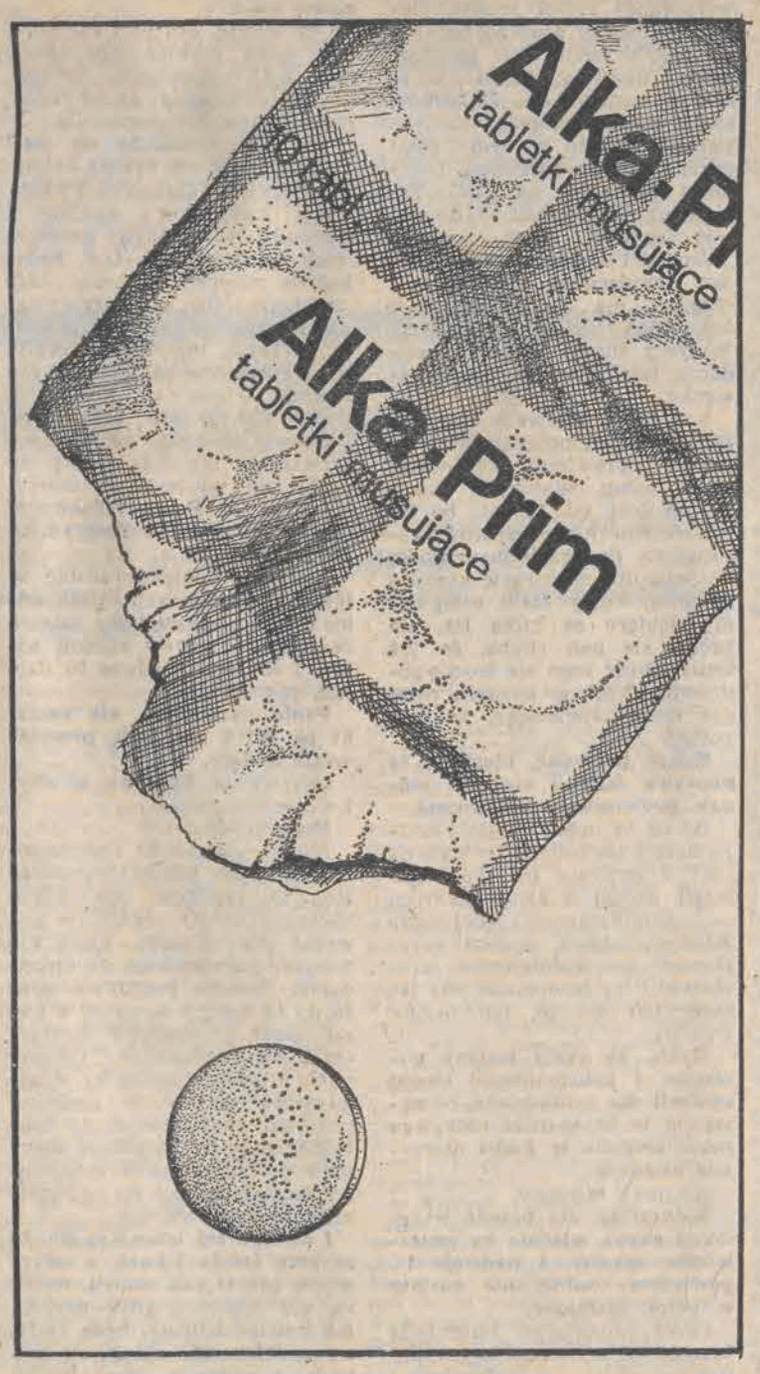

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

Dokończenie ze strony 1

Mniej więcej dwie trzecie Chciałbym przy tym dodać, że jest to cecha ogólnokrajowa i wiąże się, mimo pewnej poprawy sytuacji w latach 70-tych, ze stosunkowo słabym rozwojem telekomunikacji w Polsce. Po prostu proporcja między liczbą telefonów – nazwijmy je — urzędowych a telefonów prywatnych jest u nas wypaczona, co wcale jednak nie znaczy, że tych pierwszych jest za dużo. Jest ich tyle, ile trzeba, a może i nawet zbyt mało, ale tym bardziej za mało jest telefonów prywatnych. W wielu krajach zachodnich telefonów urzędowych jest nie więcej niż 10—15 procent przy gęstości np. w Stanach Zjednoczonych ponad 80 na stu mieszkańców zaś w takich miastach jak Waszyngton czy Nowy Jork — nawet ponad 100, gdyż wielu abonentów ma więcej niż jeden telefon. Już choćby to pozwala zorientować się, gdzie jesteśmy.

Co spowodowało powstanie takiej sytuacji?

To się ciągnie właściwie od samego początku, a w każdym razie od pierwszej wojny. Przed 50 laty gęstość telefonów w Polsce wynosiła 0,63 na stu mieszkańców, podczas gdy przykładowo w Czechosłowacji — 1,13, na Węgrzech – 1,37, w Belgii — 3,91, Wielkiej Brytanii — 5,06, Szwecji — 9,5, a w Danii — 10,31. A zatem poziom Danii sprzed 50 lat osiągnęliśmy dopiero teraz.

Do pierwszej wojny byliśmy w zasadzie w czołówce. Potem świat ruszył do przodu, a my znaleźliśmy się z tyłu i tak już zostało do dzisiaj. Regres w rozwoju telekomunikacji w Polsce trwał aż do lat 60-tych. Później nastąpiło pewne przyspieszenie, ale do światowej czołówki ciągle mamy tak samo daleko.

Jak to wytłumaczyć?

Czy słyszał pan kiedyś, żeby ktoś w Polsce stawiał na łączność? Nie. Mówiło się, co prawda, że łączność to nerw naszej gospodarki, ale patrząc z perspektywy czasu, trzeba obiektywnie przyznać, iż były to tylko slogany bez żadnego pokrycia.

Krótko mówiąc — wieloletnie zaniedbanie?

Tak. Powiedziałbym nawet — pewien brak kultury pracy z telefonem. Przecież pan dobrze wie, że w Polsce żeby coś załatwić to trzeba jechać osobiście. Przez telefon można sobie dużo mówić, ale załatwić coś — bardzo trudno.

I tu zaważył przede wszystkim okres powojenny. Przed wojną, mimo wszystkich trudności, w jakich znalazła się odrodzona Polska, rozwój telekomunikacji był jednak chyba lepszy niż obecnie. Urządzenia techniczne nie odbiegały w zasadzie od światowego standardu. Większy był prestiż zawodu łącznościowca. Dziś nasze zarobki są gdzieś na szarym końcu, a przed wojną technik w centrali, tej centrali która tu była w śródmieściu, zarabiał po 800 złotych miesięcznie. To też przecież o czymś świadczy.

Inna sprawa — inwestycje. Przed reformą byliśmy, krótko mówiąc, dotowani i funduszy na inwestycje zawsze brakowało. Odkąd tylko pamiętam zawsze były też problemy materiałowe, a to brakowało kabli, a to nie było central... Teraz jesteśmy instytucją samofinansującą się i możliwości inwestycyjne są dużo większe, ale samo to też jeszcze nie rozwiązuje sprawy. Bo co z tego, że mamy pieniądze, skoro ograniczone są możliwości ich wykorzystania. Baza inwestycyjna resortu łączności była mała i, co gorsza, z roku na rok maleje. Na dodatek my nie mamy na to żadnego wpływu. Wojewódzki Urząd Telekomunikacji zajmuje się w zasadzie tylko eksploatacją. Budynki budują nam przedsiębiorstwa budowlane, a jak się u nas buduje — wszyscy wiemy. Wyposażeniem w centrale, sieć połączeń i inne urządzenia zajmuje się znów Łódzkie Przedsiębiorstwo Robót Telekomunikacyjnych, które ma swoją odrębną dyrekcję i któremu płacimy za wykonanie każdego zlecenia. Ale ŁPRT nie może zrobić więcej niż może, bo nie ma ludzi, brakuje urządzeń... Produkcja przemysłu dla potrzeb telekomunikacji również spada, gdyż przemysł ma swoje kłopoty. Staramy się część robót wykonywać własnymi siłami (są to zwykle te najgorsze roboty, których oni nie chcą przyjąć) ale to też jest tylko kropla w morzu potrzeb.

I dopiero teraz, na podstawie

Wszyscy mają pretensje

tego co już powiedziałem, można przyjrzeć się bliżej aktualnemu stanowi łódzkiej telekomunikacji.

Ponawiam zatem pytanie: jak go pan ocenia?

Jako średni. Jednak to, co udało nam się ostatnio zrobić, uznać należy jako ewidentny sukces. Przede wszystkim udało nam się bowiem zmienić numerację na sześciocyfrową i stworzyć tym samym bazę do dalszego rozwoju, który przy zachowaniu numerów pięciocyfrowych byłby po prostu niemożliwy. Udało nam się też w tej trudnej sytuacji wymienić starą centralę w śródmieściu na nową. To jest 20 tysięcy numerów, a są możliwości jej rozbudowy do 30 tysięcy i o tym już myślimy. Chcemy w przyszłości do tej centrali podłączyć osiedle Radogoszcz, bo to biała plama, mimo że leży daleko poza centrum miasta. Oczywiście znów nie zaspokoi to wszystkich potrzeb, ale te najważniejsze — na pewno tak.

Rozbudowujemy centralę na południu miasta o 10 tysięcy numerów i jeżeli nawet nie zdążymy z położeniem sieci, korzyści będą, gdyż telefonów tak czy tak przybędzie. Głównie zaś poprawi się wtedy jakość działania centrali na „84", która jest w dobrym stanie, ale — bardzo przeciążona i dlatego są tam np. kłopoty z uzyskaniem szybko sygnału.

Żadna centrala nie powinna pracować na pełnym obciążeniu, musi istnieć pewna rezerwa nie podłączonych numerów, właśnie żeby zapewnić odpowiednią jakość pracy. My o tym doskonale wiemy, ale presja społeczna na WUT jest tak duża, że świadomie musimy łamać tę zasadę. Skutek — pogorszenie jakości. Do tego jednak zmusza nas życie.

Kiedy zakończy się montaż nowej centrali na południu?

Pod koniec przyszłego roku. Wtedy nastąpi zdecydowana poprawa jakości, bo część numerów z tej przeciążonej teraz centrali przeniesiemy do nowej. Ale czy zdążymy z położeniem sieci? Jeżeli, to tylko częściowo, więc znów nie można powiedzieć, że zaspokoimy wszystkie potrzeby mieszkańców południowych rejonów Łodzi.

A co z Retkinią?

Tam też będziemy rozbudowywać istniejącą centralę. Sytuacja jest przy tym paradoksalna, bo choć centrala na Retkini pracuje już od paru lat, to dotychczas nie mamy tam całkowicie położonej sieci. Stosowaliśmy więc, z braku innych możliwości, linie napowietrzne, obwiesiliśmy osiedle tymi „firaneczkami" żeby tylko dać ludziom wcześniej telefon, nie patrząc już na jakość. To są oczywiście półśrodki. Ale teraz wygląda to tak, że jak rozwijamy sieć, to nie mamy już wolnych numerów w centrali. Trzeba budować więc nową.

Montujemy nową centralę dla wschodniej części miasta. Będzie gotowa w grudniu tego roku, jednak znów jest problem sieci... Mówi się też o rozbudowie centrali na Dąbrowie, ale to dalsza perspektywa. Natomiast jeszcze w tym roku przełączymy pozostałych 7 tysięcy numerów na „78". Tysiąc już przełączyliśmy do nowej centrali, gdyż centrala „Wschód I", właśnie ta na „78", jest urządzeniem nieudanym i chociaż ma zaledwie parę lat, ulec musi likwidacji. Wszyscy znamy kłopoty posiadaczy telefonów na dawną ósemkę.

I to byłby pierwszy etap naszych działań, polegający głównie na poprawieniu jakości naszych usług. Walczymy już z tą jakością od 10 lat, bo od tak dawna już przygotowywaliśmy się do przejścia w Łodzi na jednolitą numerację sześciocyfrową. Pełny efekt osiągniemy dopiero za kilka lat, ale zgodzi się pan chyba, że już teraz jakość nam się trochę poprawiła. Nikt w każdym razie nie może powiedzieć, że jest gorzej.

Muszę przyznać, niestety, że poprawa jakości nie jest jednak powszechnie odczuwana.

Bo na tę ocenę ciągle rzutuje nam przeciążona centrala na „84" i centrala na „78". Ale jeżeli chodzi o samo centrum — automatyczne połączenia międzymiastowe, sygnał natychmiast po podniesieniu słuchawki... Na pewno nie jest jeszcze tak dobrze, jak byśmy chcieli...

Myślę, że akcja zmiany numerów i uruchomienie nowej centrali dla śródmieścia, co nastąpiło w listopadzie ubiegłego roku, zrodziło w Łodzi olbrzymie nadzieje...

Na nowe telefony.

Naturalnie, ale przede wszystkim chyba właśnie na poprawienie jakości. I nadzieje te, powiedzmy sobie, nie zostały w pełni spełnione.

Panie redaktorze, żeby była jasność — wymieniliśmy tylko jedną centralę, w śródmieściu i tam nastąpiła duża poprawa. Natomiast pozostałe centrale pracują, jak pracowały. Dlatego może nie odczuwa się aż tak bardzo, że jest lepiej. Wyraźna poprawa nastąpi nie wcześniej, jak za jakieś 3 lata. I nigdy tego nie ukrywaliśmy. Na razie jesteśmy dopiero na początku drogi.

Każdy ocenia pracę łódzkich telefonów po tym, co się dzieje, gdy podniesie słuchawkę, nie zna naszych problemów...

...i chyba nie powinien ich nawet znać.

Oczywiście. Ma pan rację. To jest nasza sprawa, ale skoro dziś o tym mówimy... Nigdy nie obiecywaliśmy, że od listopada będzie już wspaniale.

Wie pan, można by się zastanawiać, czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy nie ulegali tym wszystkim naciskom i zgodnie z normami technicznymi pozostawiali w centralach tzw. katalogowe rezerwy numerów. Ale co mamy robić, jak wszyscy naciskają na nas o nowe telefony? Władza, instytucje, inwalidzi... Potrzebne są telefony dla szpitala — nie dać? No, chyba lepiej dać gorsze niż wcale. Pozbawić kontaktu ze światem samotnego inwalidę, który w ogóle nie wychodzi z domu? No, jak to? Panie redaktorze, w tym gabinecie rozgrywały się tragedie!

Co więc mieliśmy zrobić w takich i podobnych przypadkach? Ano, zarżnęliśmy łódzkie centrale — wbrew samym sobie. I dlatego wygląda to dziś tak, jak wygląda.

Panie dyrektorze, ale naciski na WUT nie będą przecież wcale małały.

Oczywiście. Będą nawet chyba coraz większe.

No, właśnie...

Mamy obecnie 62 tysiące potwierdzonych podań o zainstalowanie telefonu, ale liczbę chętnych należy ocenić na powyżej stu tysięcy, gdyż nie wszyscy potwierdzają swoje podania. Rocznie przybywa nam 10 do 13 tysięcy nowych, a nasze moce przerobowe wystarczają na podłączenie średnio około 6 tysięcy numerów w ciągu roku. Gdybyśmy więc na przykład chcieli w ciągu najbliższych 10 lat zaspokoić wszystkie potrzeby, nasze możliwości musiałyby być co najmniej czterokrotnie większe.

I dlatego też obawiam się, że za parę lat ta jakość, o osiągnięciu której pan mówił, wcale się nie poprawi, gdyż naciski, jak powiedzieliśmy, będą rosły, wy nadal będzie uginać się pod nimi, a centrale, choć będzie ich więcej, i tak pozostaną przeciążone.

I tak może być. Na Retkini, powiedzmy, zainstalowanych jest teraz 10 tysięcy telefonów. Nie zrealizowanych podań jest tam jeszcze 14 tysięcy. Za parę lat, po wybudowaniu nowej centrali sytuacja ilościowa nie ulegnie więc poprawie, zwłaszcza że powstanie w tym czasie nowe osiedle między ulicami Kusocińskiego i Konstantynowską, gdzie również potrzebne będą telefony.

A zatem nic się w sumie nie zmieni.

Tak. To znaczy liczba oczekujących na telefon na pewno nie ulegnie zmniejszeniu, ale pewną poprawę jakości niewątpliwie uzyskamy. Musimy to zrobić, gdyż po prostu nie możemy dłużej utrzymywać takiego przeciążenia central, bo się nam one szybko rozlecą i co wtedy?

Najważniejsze, że po zmianie numeracji mamy już dalsze możliwości rozwoju. I to mnie najbardziej cieszy. Inne miasta muszą to dopiero zrobić. Przede wszystkim — Warszawa i Śląsk. Bo jeżeli w tym kraju rozleci się kiedyś telekomunikacja, to najpierw właśnie na Śląsku. Łódź wytrzyma. O to jestem spokojny.

Może jednak wróćmy do sprawy liczby telefonów. Jak długo czeka się w Łodzi na własny telefon?

Średnio od 5 do 25 lat. To zależy od dzielnicy. Najdłużej chyba w śródmieściu, choć też na przykład w Rudzie Pabianickiej, gdzie 25-letnie podania nie są wcale rzadkością.

Powstają w Łodzi wielkie osiedla mieszkaniowe — betonowe pustynie, ale również — pustynie telefoniczne.

Praktyka powinna być taka, że równolegle z blokami buduje się kanalizację telefoniczną, kładzie kable, buduje centrale i w każdym mieszkaniu jest końcówka do podłączenia aparatu.. Te końcówki są i wielu ludziom wydaje się, że wystarczy już tylko dostać numer, zainstalować aparat... Nieprawda. Końcówki kończą się już w klatce schodowej, bo na osiedlach nie ma w ogóle sieci.

Czyli od razu przyjmuje się założenie, że jeszcze przez wiele lat po zasiedleniu nie będzie na takim osiedlu telefonów?

Tak. A jeżeli gdzieś uda nam się coś zrobić, to uważamy to za wielki sukces.

Dlaczego tak jest?

To nie dotyczy przecież tylko telefonów. Jeżeli mówi się albo od razu mieszkania z telefonem, albo bez, ale dwa razy więcej, to jasne, że wybiera się to drugie rozwiązanie. Nie jestem pewien, czy jest to właściwe postawienie sprawy, ale takie są realia w Polsce i sami nie możemy tutaj nic zrobić, bo — jak już mówiłem — to także sprawa przedsiębiorstw budowlanych, instalacyjnych, fabryki kabli, producenta central...

No dobrze, przyjmijmy nawet, że rzeczywiście nie da się od razu oddawać mieszkań z telefonami. Ale czy naprawdę nie można w każdym nowym bloku zainstalować chociaż jednego automatu. To też oczywiście będzie tylko półśrodkiem, jednak kiedy na osiedlu mieszka kilkadziesiąt tysięcy ludzi, a jest tylko kilka automatów, w dodatku często uszkodzonych, trzeba zaś wezwać pogotowie do chorego dziecka...

Pan dobrze myśli. Myśmy nawet próbowali to robić, ale wycofujemy się z tego. Aparaty wrzutowe to dla nas czysty deficyt. Wystarczy, jeżeli powiem, że każdy aparat wrzutowy był w Łodzi dewastowany średnio 3 razy w ciągu roku. A my nie mamy tyle części, aby utrzymać je ciągle w stanie pełnej sprawności. Od producenta dostajemy tylko tyle części, ile potrzeba do normalnej eksploatacji. Ludzie nie szanują tych aparatów. Taka jest prawda. Mało tego: z braku części będziemy chyba musieli wyłączać zainstalowane już aparaty wrzutowe. To jest tragiczne, nie mamy jednak innego wyjścia. Produkcja tych aparatów jest ciągle na jednakowym poziomie, zaś liczba dewastacji wzrasta nam lawinowo.

Rzeczywiście, to smutne i niepokojące, że pod koniec XX wieku nie potrafimy uszanować podstawowego urządzenia technicznego, które na co dzień powinno nam ułatwiać życie. Ale spojrzmy też na to trochę z innej strony — czy jednak w sumie nie lepiej godzić się z pewnymi stratami w imię ogólnospołecznego interesu? Przecież często od szybkiego wezwania karetki pogotowia zależy ludzkie życie.

W pełni zdajemy sobie z tego sprawę. Żebyśmy się więc dobrze zrozumieli — liczba aparatów wrzutowych w mieście będzie systematycznie wzrastać, bo musi, bo takie są potrzeby. I my będziemy robić wszystko, aby tak było, mimo braku części zamiennych, czy benzyny do naszych pojazdów, którymi monterzy muszą dojechać, by naprawić uszkodzony aparat. Tylko jeżeli będzie tak dalej, jak jest, to dojdziemy wreszcie do kresu naszych możliwości i jedynym rozwiązaniem pozostanie na przykład przemieszczenie aparatów ze śródmieścia do nowych osiedli. W podziemnym przejściu zamiast pięciu będą po prostu już tylko dwa aparaty.

Przecież myśmy sobie tego nie wymyślili, żeby było nam wygodniej pracować. Ale co ja mogę zrobić, jeśli nie mam i nie będę mieć więcej części? Wybudować drugą fabrykę? Nie ja o tym decyduję. Może minister podpisze taką decyzję. Nie wiem. My ciągle monitujemy do ministerstwa w tej sprawie, a jest, jak jest.

Wszyscy do nas mają pretensje, a przecież nie zawsze tylko my ponosimy odpowiedzialność za istniejący stan rzeczy. Pan myśli, że łatwo się pracuje w takiej atmosferze i to bez wiary w pełny sukces? Bo przecież mamy świadomość, że za naszego życia problemu telekomunikacji w Łodzi i w ogóle w Polsce generalnie się nie rozwiąże.

W latach 70-tych z ust pewnego wysoko postawionego urzędnika administracji państwowej usłyszałem, że problem telekomunikacji przewidziany jest w planach do rozwiązania po roku 1985. Pięknie. Ale pan w to wierzy? Bo ja już nie. Nie mamy mieszkań, żłobków, szpitali... A to jest przecież ważniejsze. Czy można się więc dziwić, że wiele złożonych już podań o telefon nie będzie zrealizowanych przed rokiem 2000? A wiemy już, że tak właśnie będzie.

Dlatego najpierw trzeba otwarcie zapytać, czy nas, jako państwo, stać w tej chwili na generalne rozwiązanie problemu telekomunikacji w Polsce? Od tego w ogóle trzeba zacząć. Ale ja na to pytanie już panu nie odpowiem. Sam chciałbym to wiedzieć...

Dziękuję za rozmowę. Szkoda tylko, że tak mało w niej optymizmu.

Niestety, taka jest rzeczywistość.

Rozmawiał:
PAWEŁ TOMASZEWSKI

ROMAN KUBIAK

Niemeldowane

Nocy ubiegłej spóźnieni przechodnie na ulicy Pańskiej byli świadkami niecodziennego zjawiska. Środkiem jezdni szedł starszy człowiek w kapeluszu, z szerokim, zasłaniającym prawie całą twarz rondem. Obok niego kroczyło dwóch małych chłopców strojnych w takie same nakrycia głowy. Starszy człowiek grał na piszczałce, a dwaj młodzieńcy wybijali takt na bębenkach, uderzając w nie leciutko cienkimi pałeczkami. W nieznacznej odległości za tą dziwną orkiestrą biegła gromada szczurów. Zwierząt mogło być kilkaset sztuk. Przy zbiegu ulic Pańskiej i Chłodnej stał niewielki samochód ciężarowy z prowadzącym od ziemi pomostem. Grający weszli po tym pomoście na samochód i następnie siedli na dachu budki kierowcy, grając bez ustanku. Szczurza gromada zatrzymała się naprzeciw wahająco, na jezdni, zaraz jednak szczury wabione bezustannie tonami dziwacznej, rytmicznej melodii, przypominającej buczenie wielkiego bąka, zaczęły najpierw pojedynczo, a potem gromadą wchodzić na samochód. Kiedy wszystkie szczury znalazły się w aucie, kilku stojących obok ludzi zatrzasnęło wejście i nakryło wierzch samochodu drewnianą pokrywą".

Opisane zdarzenie miało miejsce w powojennej Warszawie, a zrelacjonował je „Dziennik Ludowy" z 27 maja 1946 r. Tajemniczym grajkiem był 74-letni wówczas Józef Bek — zaklinacz szczurów, jeden z ostatnich przedstawicieli cygańskiej szkoły szczurołapów.

W okresie międzywojennym zaklinacze szczurów święcili triumfy w Rumunii, szczególnie nawiedzonej plagą gryzoni. Ich praca została nawet nagrodzona wysokimi odznaczeniami i orderami.

Koniec ery romantycznych walk z gryzoniami. Kres działań samotnych rycerzy, osnutych mgiełką tajemnicy. Współczesny szczurołap dzierży w dłoniach broń stokroć bardziej okrutną — wielką chemię. Człowiek doskonali środki masowego rażenia owadów i gryzoni, a one nie giną, nie znikają. Tysiące preparatów, setki technik i sposobów walki — wszystko to na nic. Populacja szczurów, prusaków, mrówek faraona ciągle rośnie, uodparnia się.

OBROŃCY

Łódzki Zakład Dezynfekcji, Dezynsekcji i Deratyzacji od trzydziestu lat nie narzeka na brak pracy. Ale wszystko co może uczynić, sprowadza się do zahamowania inwazji „robactwa". O całkowitej likwidacji problemu zainfekowania miast nie będzie mowy tak długo, jak długo mieszkańcy nie nauczą się żyć w czystości, jak długo nie zaczniemy likwidować przyczyn, nie skutków, plagi gryzoni i owadów. Do tego czasu działania służb sanitarnych będą miały charakter doraźny i nieskuteczny.

W Zakładzie DDiD mówią tak: „Pierwsza rzecz to porządek. Kto tego nie rozumie, jest sam sobie winien. Chodzi o najbardziej elementarne zasady higieny, o czystość w domu, w zakładzie pracy, w sklepie". Apele, apele, apele. A tymczasem w zakładach przemysłowych nie chcą nawet słyszeć o przerwaniu pracy, koniecznym dla przeprowadzenia pełnych zabiegów. Dezynfektorzy pracują więc tam, gdzie nie przeszkadzają w produkcji, a owady przechodzą tam, gdzie nie ma dezynfektorów. Po kilku tygodniach zachodzi potrzeba powtarzania czynności, choć z góry wiadomo, że efekt będzie podobny. Bywa i tak, że zaraz po wyjściu dezynfektorów nadgorliwe sprzątaczki usuwają preparaty owadobójcze, gdyż ich woń drażni mieszczańskie nosy. Innym znowu razem, gdy stosuje się preparaty bezwonne, następują reklamacje i posądzenia służb sanitarnych o rozpylanie wody zamiast środków chemicznych. W efekcie, prawie cały łódzki przemysł utrzymuje milionowe rzesze owadów i gryzoni.

W nowych osiedlach mieszkaniowych insekty pojawiają się prawie natychmiast po zakwaterowaniu lokatorów. Ludzie bronią się instynktownie. Uszczelniają gipsem szpary, utykają miejsca wokół instalacji wodnych i sanitarnych, zraszają te miejsca środkami owadobójczymi. To pomaga. Gorzej, kiedy jest już po sprawie, kiedy cały blok odczuwa skutki inwazji. Administracja wzywa wtedy Zakład DDiD i oczekuje cudów. Skuteczne zabiegi dezynsekcyjne wymagają co najmniej 24-godzinnego wyłączenia pomieszczeń z użytkowania. Lokatorzy często nie akceptują takich niedogodności, więc dalej dzielą swoje mieszkania z niemeldowanymi. Miłośnicy kotów, litościwie dokarmiający je w piwnicach domów, nie przypuszczają nawet, że są sprawcami inwazji pcheł. W miesiącach letnich pchły uniemożliwiają wręcz korzystanie z komórek, a przeprowadzanie prac dezynsekcyjnych jest zabronione z uwagi na znajdujące się w tych pomieszczeniach produkty spożywcze. Koty natomiast są bezkarne, czując opiekuńcze skrzydła wszelkiej maści towarzystw opieki nad nimi.

Osobny rozdział w pracy Łódzkiego Zakładu Dezynfekcji, Dezynsekcji i Deratyzacji stanowi walka ze szczurami. Trzeba bowiem pamiętać, że jest to potyczka ze zwierzęciem obdarzonym znaczną inteligencją. Dlatego nie wolno wykazywać zniecierpliwienia początkowym brakiem widocznych rezultatów. Doświadczeni deratyzatorzy twierdzą, że szczur nowej przynęty nie bierze. Nowy pokarm traktuje jak przedmiot, który trzeba poddać dłuższej obserwacji. Gdy gryzoń oswoi się z przedmiotem, kilkakrotnie degustuje go, a dopiero potem pożera w całości. Niestety, mieszkańcy usuwają nadgryzione przynęty, sądząc, iż szczur odkrył podstęp i zrezygnował z dalszego ich spożywania. Kiedyś w zabiegach deratyzacyjnych stosowano trutki o gwałtownym działaniu, ale przy tej okazji padały również domowe zwierzęta. Co więcej, w niektórych kamienicach zabiegi odszczurzające były pretekstem do regulowania osobistych porachunków między lokatorami. Podtruwano sobie wzajem zbyt hałaśliwe pieski i zbyt piękne gołębie. Obecnie są w użyciu trutki antykoagulantowe, które wywołują u szczurów awitaminozę, a dla otoczenia są niegroźne. Jednak warunkiem skuteczności nowych środków chemicznych jest wielokrotne dostarczanie gryzoniom zatrutego pokarmu. Obowiązuje cierpliwość i systematyczność. Pełnego powodzenia w rozprawie ze szczurami oczekiwać nie można. Miejsce wytępionych gryzoni domowych zajmą niezwłocznie ich kanałowi bracia, którzy czekają tylko na opanowanie naziemnych żerowisk.

Nowoczesne, oparte o prefabrykowane elementy budownictwo, miało być zaporą dla gryzoni. Liczono na jego szczuroszczelność, lecz okazało się, że zsypy i piwnice zwabiły zwierzęta dostatkiem pokarmu. Dziś deratyzatorzy mówią: „Szczur jest praktycznie nie do wytępienia".

Dyrekcja Łódzkich Zakładów Dezynfekcji, Dezynsekcji i Deratyzacji zapewnia, że istnieje pełne zaopatrzenie w środki chemiczne, niezbędne do prowadzenia zabiegów sanitarnych. Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej gwarantuje sukcesywne dostawy preparatów pochodzenia zagranicznego. Słabo natomiast zaopatrzony jest handel detaliczny. Nasi producenci bronią się przed stosowaniem małych opakowań, tak koniecznych do działań prewencyjnych w warunkach domowych. Konfekcjonowanie wyrobów chemicznych w okolicznościach reformy gospodarczej jest ponoć nieopłacalne. Co na to krajowi monopoliści w tej branży z Jaworzna i Gdańska?

Duże nadzieje wiąże się ze zwiększoną rotacją preparatów owadobójczych. Rzecz w tym, iż jednego środka chemicznego nie można używać dłużej niż przez okres 2—3 lat. Później następuje uodparnianie się insektów na jego działanie. Słynny owadobójczy proszek DDT, który zawojował świat za pośrednictwem UNRRA, szybko utracił swoje walory z powodu jednostajnego i powszechnego stosowania. Muchy uodporniły się na wpływ azotoxu aż do ósmego pokolenia. Systematyczna wymiana preparatów jest więc praktyczną koniecznością.

Wysoki popyt na usługi sanitarne zrodził prywatną inicjatywę. W prasie łódzkiej pojawiły się ogłoszenia, których autorzy oferują skuteczne tępienie prusaków, karaluchów, mrówek faraona, wszy, pcheł, komarów, moli, kleszczy i mączników. W Zakładzie DDiD dość sceptycznie odnoszą się do tych inicjatyw. Twierdzą, że prywatnie działający dezynsektorzy nie podważą ich pozycji. Wierzą w skuteczność konkurencji cenowej, która zmusi utraconych klientów do powrotu w ich łaski.

Prywatną firmę w tej branży założyć jest łatwo. Trudniej przebrnąć przez gąszcz innych wymogów administracyjno-prawnych. Jeszcze trudniej zdobyć środki pracy i klientów. Ale najtrudniej pozostać w zawodzie — nie dać się.

Pan Krzysztof Andrzej Milewski jest w jednej osobie założycielem, kierownikiem i pracownikiem Zakładu Dezynfekcji, Dezynsekcji i Deratyzacji „Non-insekt". Szef firmy ma ambitne plany, dba o reklamę i jakość świadczonych usług. Codzienne ogłoszenia w prasie, firmowy papier listowy i koperty, firmowe druki i informatory, firmowe kalendarze, są dziś niezbędne. Żeby utrzymać się na rynku, trzeba walczyć o klienta, trzeba klienta ępatować, bo konkurencja nie śpi, konkurencja rośnie i staje się bezwzględna. Prywatna konkurencja potrafi składać fałszywe zamówienia, świadomie narażając kolegów po fachu na niepotrzebną stratę czasu i benzyny. Ostatni „dowcip" konkurencji polegał na skrzyknięciu kilku dezynfektorów pod jeden fikcyjny adres. Śmieszne — prawda? Prywaciarz musi ciągle zaskakiwać ludzi. Musi oferować najnowsze zdobycze światowej chemii i techniki, spełniać najdziwniejsze wymagania klientów. A wymagania rosną. Należy uważać, by nie poplamić mebli i dywanów albo żeby preparat nie miał nieprzyjemnej woni. Podstawowy kłopot w tej branży, to zdobywanie odpowiednich preparatów chemicznych.

— Wszystko zawdzięczam prywatnym kontaktom zagranicznym — mówi Krzysztof A. Milewski. — Wertuję zachodnie katalogi, robię tłumaczenia tekstów i proszę rodzinę o przysyłanie mi wybranych środków owadobójczych. Są to preparaty niezwykle skuteczne, ponieważ zawierają nowoczesny środek aktywny — perytrynę. Do tego są bezwonne, nie drażniące i nietoksyczne dla ludzi. Stosowanie ich nie wymaga wyłączenia obiektów z ruchu.

Kiedy jest się już w posiadaniu Coopexu lub innych insektycydów z wytwórni Bayera oraz kiedy zbierze się pierwsze zamówienia na usługi, to jeszcze trzeba zastosować się do obyczajów klienta. Zleceniodawcy są różni. Mieszkańcy bloków pragną na przykład zachować dyskrecję. Dezynsektor ma wyglądać jak normalny człowiek (żadnych fartuchów i aparatów na plecach). Ma działać szybko i cicho. Nie należy przyciągać uwagi sąsiadów i ujawniać, że mieszkanie jest brudne.

Prywatna inicjatywa świadczy coraz częściej usługi na terenach obiektów państwowych. Klientami „Non-insektu" są: szkoły, ośrodki wypoczynkowe, placówki opiekuńcze oraz zakłady przemysłowe: Anilana, Vigoprim, Eskimo, Zeta. Szkoda tylko, że sektor uspołeczniony jest niesłownym i najbardziej opieszałym płatnikiem. Żeby wyegzekwować należność za usługę trzeba niejednokrotnie słać monity czy telefonicznie ponaglać odpowiedzialnych za ten stan rzeczy urzędników.

Czy osoby pracujące na własny rachunek mogą odbierać stałych klientów Łódzkim Zakładom Dezynfekcji, Desynsekcji i Deratyzacji?

— Mogą i tak właśnie czynią — odpowiada p. Milewski. — Właściwie zakład państwowy jest konkurencyjny w jednej tylko dziedzinie — w cenach. Nie gwarantuje natomiast staranności wykonywanych usług. W tej mierze jestem lepszy, a 3 „S" moich państwowych zleceniodawców premiują jakość i efekt, a nie działania pozorne.

Firma prywatna ma jeszcze jeden poważny atut — wystawia gwarancje na swoje usługi. W tekście notki informacyjnej Zakładu „Non-insekt" stwierdza się: „Warunkiem gwarancji jest pozostawienie środka (w okresie minimum 4 m-cy) na powierzchniach objętych dezynsekcją". Tak rozumiana gwarancja jest dość ryzykowna dla jej wystawcy. W zainfekowanym owadami mieście nawrót inwazji jest bardzo prawdopodobny, nawet w okresie krótszym niż cztery miesiące. Wtedy jednak firma ponawia działania na koszt własny.

I jeszcze porównanie cen usług. Zakład uspołeczniony pobiera 90 groszy za jeden metr kwadratowy „przerobionej" powierzchni. Taryfa w inicjatywie prywatnej wynosi złotych 20—30. Różnica w cenach jest ogromna i wydawać by się mogło, że jednoznacznie wytyczająca kierunek popytu. Prywaciarze jednak prosperują świetnie. Coś w tym jest?

• • •

Służby sanitarne walczą z plagą owadów i gryzoni. Wielkie miasta nie czynią prawie nic, by odwrócić bieg wypadków, by zahamować inwazję. Kluczem do rozwiązania problemu niemeldowanych jest CZYSTOŚĆ. Ten klucz jest w naszych rękach.

Kto nas truje?

Rozmowa z prof. dr hab. med. JERZYM ROŻNIECKIM, dyrektorem Instytutu Medycyny Wewnętrznej, kierownikiem Kliniki Pneumonologii i Alergologii AM.

— W pojęciu przeciętnego obywatela rozwój cywilizacyjny, to przede wszystkim postęp techniczny i technologiczny, to najszerzej pojęta politechnizacja niemal każdej dziedziny życia, to wreszcie kultura oparta na coraz to nowych odkryciach i wynalazkach. Ale czy my, ludzie, nie płacimy jednocześnie zbyt wysokiej ceny za te dobrodziejstwa?

— Postęp cywilizacyjny pociąga za sobą również zjawiska dla człowieka niekorzystne. Wśród nich na jednym z pierwszych miejsc wymienić należy zanieczyszczenie powietrza. Z całą grozą dało ono o sobie znać podczas słynnej katastrofy ekologicznej w Londynie w 1952 roku, kiedy około 400 osób zmarło na skutek zaostrzenia przewlekłego zapalenia oskrzeli pod wpływem smogu. Równie dramatyczne, choć na mniejszą skalę, katastrofy wydarzyły się w USA, Japonii i Barcelonie. Przyczyną ich było wytworzenie się i zaleganie gęstej mgły, w której dochodziło do gromadzenia się zanieczyszczeń, a nie następowało, jak zwykle, rozprzestrzenienie się ich do wyższych warstw atmosfery.

— Kto lub co zanieczyszcza powietrze, którym oddychamy?

— Powietrze może być zanieczyszczone pyłami i gazami. Zanieczyszczenia te ciągle wzrastają, a ich przyczyną są: przemysł, transport i systemy ogrzewcze mieszkań. Z zakładów przemysłowych największym źródłem zanieczyszczeń powietrza są elektrownie, dające np. w Polsce około 25 procent wszystkich przemysłowych zanieczyszczeń atmosfery. Dalej wymienić należy huty, koksownie, zakłady chemiczne, cementownie. Użytkownicy mieszkań przyczyniają się do zanieczyszczenia powietrza w dużych aglomeracjach, zwłaszcza w okresie ogrzewczym, w następstwie spalania węgla. Transport samochodowy powoduje emisję dwutlenku węgla, tlenków ołowiu, azbestu, benzopyrenów. Toksyczność gazów wzrasta w obecności pary wodnej...

— A my to wszystko wdychamy nie reagując na ich trujący charakter?

— Reagujemy i to jak! Badania naukowe wykazały korelację między stopniem zanieczyszczenia powietrza a umieralnością z powodu przewlekłego zapalenia oskrzeli. U mężczyzn w średnim wieku wykazano różnice w zachorowaniach na przewlekłe zapalenie oskrzeli w zależności od stopnia zanieczyszczenia powietrza atmosferycznego. W Londynie zbadano pracowników fizycznych i biurowych, i stwierdzono, że wskaźniki absencji chorobowej z powodu chorób płuc wzrastały, gdy stężenie dymu w powietrzu osiągało 200—250 mcg/m sześc. SO_2. Absencja wzrastała dwukrotnie, gdy stężenie dymu w powietrzu przekraczało 1 mg /m sześc.

— Ale my żyjemy w Łodzi...

— Powietrze w Łodzi, obok Krakowa i miast województwa katowickiego, należy do najbardziej zanieczyszczonych. Nic też dziwnego, że w naszych badaniach przeprowadzonych w 1972 roku wspólnie z zespołem prof. Janusza Indulskiego, w ramach współpracy ze Światową Organizacją Zdrowia, stwierdziliśmy wyższe niż w innych miastach Polski wskaźniki zachorowań z powodu przewlekłego zapalenia oskrzeli.

— A jak sklasyfikować dym papierosowy?

— Wiele substancji, występujących jako przemysłowe zanieczyszczenia atmosfery znajduje się w dymie tytoniowym i dobrowolnie, w dużych stężeniach jest wdychany przez palaczy, a przymusowo — przez niepalących.

— Z naszej rozmowy należałoby więc wysnuć następujący wniosek: nasze zdrowie zależy w dużym stopniu od czystości wdychanego powietrza...

— Z wielu badań epidemiologicznych i z obserwacji klinicznych wynika jednak, że w warunkach takiego samego zanieczyszczenia podatność na choroby jest niezwykle zróżnicowana. Okazuje się, że w warunkach nawet znacznego zanieczyszczenia atmosfery nie wszyscy zapadają na choroby układu oddechowego, zaś w doskonałych warunkach niektórzy jednak chorują. Także i sposób chorowania jest różny. Tę od dawna znaną, zróżnicowaną podatność, współczesna nauka zaczyna już przekładać na język genetyki, immunologii i biochemii.

— Jeśli dobrze rozumiem, to podatność na choroby górnych dróg oddechowych leży w nas samych. Osobnik odporny, gdyby nie wiem ile wdychał spalin i dymów, i tak będzie zdrowy, natomiast ktoś, kto tej odporności nie posiada, zacznie kaszleć w pobliżu palącego się papierosa...

— Nie umniejszałbym jednak znaczenia różnych szkodliwości zewnętrznych i potrzeby higienizacji. Stan zdrowia należy traktować jako wypadkową szkodliwości zewnętrznych, dyspozycji osobnika oraz kultury zdrowotnej.

— **Takich alergenów w naszym otoczeniu bywa sporo i właściwie człowiek nie ma szans ich uniknięcia.**

— Oczywiście. Istnieje grupa osób uczulona na mąkę. Dlatego ktoś, kto pochodzi z rodziny atopowej nie powinien podejmować pracy w piekarni lub w młynach.

— Choroby górnych dróg oddechowych nie ograniczają się ani do podrażnień wywołanych szkodliwymi związkami toksycznymi będącymi składnikami powietrza, ani do alergii. Weźmy choćby rozedmę płuc, na którą są narażeni ludzie, których praca wymaga ciągłego dmuchania.

— Jest to obiegowy a zarazem błędny pogląd. Do niedawna panowało właśnie przekonanie, że rozedma płuc powstaje w sposób mechaniczny. Sądzono, że wzrost ciśnienia w drogach oddechowych prowadzi do zwiększenia powietrzności płuc w następstwie pękania przegród pęcherzykowych. Okazało się jednak, że wykonywanie czynności zawodowych, które taki wzrost ciśnienia powodują, do rozedmy nie prowadzi ani wcześniej, ani częściej. Wynika to także z naszych badań w Hucie „Hortensja" i w Hucie „Julia" nad sprawnością wentylacyjną różnie obciążonych dmuchaczy szkła.

— Wróćmy jednak do stanu naszej atmosfery i jej wpływu na choroby układu oddechowego. Na dobrą sprawę my, mieszkańcy Łodzi, nigdy nie uwalniamy się od katarów, zapaleń błon śluzowych gardła, itp. Nie wspominam już o astmatykach...

— U wielu osób z zapaleniem oskrzeli i prawie u wszystkich z astmą oskrzelową występuje, nawet w okresie bezobjawowym, nadmierna skłonność oskrzeli do skurczu, zwana powszechnie nadreaktywnością. Oskrzela tych osób reagują skurczem na szereg bodźców, jak na przykład zimne powietrze, tlenki siarki. Oczywistym więc jest, że właśnie osoby z nadreaktywnością oskrzeli są tymi, którzy najbardziej cierpią z powodu zanieczyszczeń atmosfery.

— Pan profesor mówi o ludziach chorujących przewlekle...

— Nie tylko. Z badań epidemiologicznych wynika, iż nadreaktywność oskrzelową spotyka się także u osób, u których ani obecnie, ani w przeszłości nie można było się dopatrzyć choroby oskrzeli. Sądzę, że szczególnie te osoby — wśród ludzi skądinąd zdrowych — stanowią grupę zwiększonego ryzyka zachorowania na astmę, względnie skurczową postać zapalenia oskrzeli. Nadreaktywność oskrzelowa występuje w różnych populacjach od kilku do kilkunastu procent.

— No, dobrze, ale czy uporczywe, nie ustępujące latami choroby górnych dróg oddechowych nie mogłyby być wyleczone przez usunięcie zanieczyszczeń atmosferycznych?

— W pewnym stopniu udokumentowano pogląd, iż przewlekłe choroby układu oddechowego pozostają w związku ze szkodliwościami środowiskowymi, z zanieczyszczeniem powietrza atmosferycznego, a z drugiej strony są one wynikiem osobniczej predyspozycji. Zresztą ten pogląd odnieść można do wielu innych chorób, w szczególności zaliczanych do tzw. chorób cywilizacyjnych.

— Czy nie płacimy zbyt wysokiej ceny za dobrodziejstwa cywilizacji?

— Polska Rzeczpospolita Ludowa zapewnia ochronę i kształtowanie środowiska stanowiącego dobro ogólnonarodowe oraz tworzy warunki sprzyjające urzeczywistnianiu praw obywateli do wszechstronnego korzystania z wartości środowiska. Mamy wiele aktów prawnych w tej mierze, a ich realizacja zależy głównie od świadomości, poczucia odpowiedzialności i zdyscyplinowania ludzi zajmujących się planowaniem i zarządzaniem naszą gospodarką, a także od dalszego ciśnienia społecznego oraz rozwiązań naukowych w tym zakresie.

— Czy nie zechciałby Pan stać się na chwilę prognostykiem i powiedzieć, kiedy będziemy oddychać czystym powietrzem bez dodatku tlenku węgla, tlenku ołowiu, azbestu itp.?

— Z wielu badań i czynności zapobiegawczych sądzić należy, iż w dającej się przewidzieć przyszłości zupełne wyeliminowanie wszystkich szkodliwości ekologicznych nie jest w pełni możliwe. Zespolone i konsekwentne działania w tym zakresie mogą być uwieńczone poważnymi sukcesami. Za przykład niech nam posłuży chociażby Londyn; nadal wprawdzie mglisty, ale już bez smogu, a w Tamizie pływają ryby.

— Czyli, że służba zdrowia pozostaje nadal w pogotowiu?

— Aktualnie mamy bardzo poważne osiągnięcia w dziedzinie ochrony środowiska w miejscu pracy, wynikłe zarówno z modernizacji przemysłu, jak i działalności przemysłowej służby zdrowia. Pojęcie ochrony środowiska staje się jednak niepodzielne i tak samo intensywne, równie skuteczne przedsięwzięcia dotyczyć winny środowiska bytowania. Współrealizatorem tego programu jest jednak przemysł ze swą technologią, ale także służba BHP i związki zawodowe, gospodarka komunalna i urbanistyka, itd.

— Pytając o służbę zdrowia, miałem na myśli szeroko pojętą profilaktykę.

— Tak, czynimy i będziemy czynić wysiłki dla wykrywania osób predestynowanych do chorób i odpowiednio kierować ich losami. Mam na myśli pomoc w wyborze dla nich zawodu i właściwego miejsca. Odnosi się to szczególnie do osób z już zaznaczonymi, choć w niewielkim stopniu, objawami chorobowymi. Można więc żywić nadzieję, że nowoczesna profilaktyka, obok skuteczniejszego oddziaływania na warunki pracy i bytowania człowieka, w coraz większym stopniu wykorzystywać będzie na naszych oczach dokonujący się postęp w badaniach nad predyspozycją do chorób.

To, o czym tu mówimy, a więc problemy ludzkiego zdrowia i ochrony środowiska, winny stać się przedmiotem badań całego łódzkiego środowiska naukowego. Tylko dzięki wspólnemu podejściu biologów i techników, prawników i humanistów, a także lekarzy, możemy tak pod względem poznawczym, jak i praktycznym, podołać temu trudnemu i ważnemu zadaniu.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
EUGENIUSZ IWANICKI

Z półki recenzenta

NOTATKI Z FRONTU

Literatura dotycząca ostatniej wojny jest bardzo obszerna i bogata. Obok beletrystyki są wspomnienia, dokumenty, dzienniki jej uczestników. Ale żadna z tych publikacji nie dorównuje „Notatkom z frontu" Effendi Kapijewa. Będąc korespondentem wojennym notował jedynie wrażenia, obrazki, drobne zdarzenia, zasłyszane słowa. Miały z nich powstać w przyszłości opowiadania i powieści. Niestety, Kapijew umiera nie doczekawszy się zwycięstwa. A jego notatki, opublikowane wiele lat po jego śmierci, stały się od razu wydarzeniem i inspiracją do filmów i widowisk scenicznych.

Przekład Ziemowita Fedeckiego.

Effendi Kapijew: Notatki z frontu. Czytelnik 1983 r. str. 210. Cena 80 zł.

KUBUŚ FATALISTA

Tej książki nie potrzeba zachwalać, jedno z arcydzieł literatury światowej, od wielu pokoleń zadziwia i fascynuje czytelników. Na gruncie polskim żyje „Kubuś Fatalista" w znakomitym przekładzie Tadeusza Boy'a-Żeleńskiego od roku 1915. „Szeroki powiew demokratyczny tej książki, brak poszanowania dla wszelkiego autorytetu obok silnej dążności do wartości moralnych, przechodzącej w czułostkowość, wszystko to na tle wrodzonej prawości, pogody i dzielności charakteru Kubusia, czyni zeń, może bez intencji autora, symbol rodzącej się Francji ludowej..." — pisze we wstępie tłumacz.

Denis Diderot: Kubuś Fatalista i jego pan. PIW 1984 r. str. 208. Cena 120 zł.

ŻYCIE JESIENINA

Ukazało się drugie wydanie „Życia Sergiusza Jesienina" w cyklu „Ludzie żywi", autorstwa Elwiry Watały i Wiktora Woroszylskiego. Jest to obszerna, bardzo wnikliwa próba przedstawienia biografii „chłopaka z Riazania". Już za życia otaczał go mit i legenda, po śmierci zaś rozpętała się istna burza wokół tego, być może, największego rosyjskiego poety XX wieku. Dziś nie sposób wyobrazić sobie światową literaturę bez jesieninowskiej liryki, bez jego magicznych, bajkowych i przejmujących wierszy.

Książka została bogato zilustrowana, co jeszcze bardziej podnosi jej walory czytelnicze.

E. Watała i W. Woroszylski: Życie Sergiusza Jesienina. PIW. 1983 r., str. 562. Cena 250 zł

JESZCZE RAZ BRATNY

Tym razem będzie o wznowionych przez „Czytelnik" „Losach", które swego czasu narobiły sporo szumu w świecie intelektualnym, gdyż i ta książka, jak wszystko u Bratnego, posiada odnośniki w rzeczywistości. Akcja rozpoczyna się w 1945 roku a kończy wydarzeniami grudniowymi 1970 r.

O tej powieści można mówić, jako o kontynuacji powtarzającego się w całej twórczości Bratnego wątku: wątku ludzi z pokolenia „Kolumbów", ich pojmowanie i przyjmowanie rzeczywistości, ich stosunek do dnia dzisiejszego określany przez niedawną przeszłość, będącą czasem ich narodzin.

Roman Bratny: Losy. Czytelnik 1983. str 464. Cena 140 zł.

MAKSYMY NAPOLEONA

Legenda Napoleona rosła wraz z latami mijającymi od jego śmierci. Legenda nie tylko, jako znakomitego wodza, cesarza, prawodawcy i kochanka. Przypisywano mu tysiące celnych powiedzonek, aforyzmów i maksym. Wielki człowiek miał więc być wielki we wszystkim. Oczywiście, nikt nie wie dokładnie, ile z zachowanych sentencji jest autorstwa cesarza, a ile pochodzi od gorliwych jego wielbicieli. Fakt jednak pozostaje faktem: nawet na Świętej Helenie, dyktując swoje wspomnienia, wzbogacił je uniwersalnymi myślami o świecie, ludziach, wojnie i życiu.

Przekład i wybór Moniki Sankowskiej-Gluck i Leopolda Glucka.

Napoleon: Maksymy. PIW 1983 r., str. 124. Cena 50 zł.

„PÓŁ WIEKU" PUTRAMENTA

Ukazał się VIII tom wspomnień Jerzego Putramenta „Pół wieku", zatytułowany „Czerwiec". Obejmuje on lata 1970—1976. A więc dzieje Polski burzliwe, choć owiane złudnym nimbem prosperity. Czy Putrament stał się kronikarzem swojego czasu? I tak i nie. Prowadzone przez niego notatki czasem służą do podkreślenia raczej związków ich autora z aparatem rządzącym, niźli oddają atmosferę i ducha tak ważkich, decydujących o kraju czasach. Czytając, ciągle chce się krzyknąć: mniej o sobie, więcej o Polsce! W sumie jednak te pamiętniki są warte przeczytania, choćby z tej racji, że ich autor zawsze stał blisko koła sterowego nawy państwowej.

Jerzy Putrament: Pół wieku — Czerwiec. Czytelnik 1983 r., str. 222. Cena 100 zł.

Dokończenie ze strony 1

się z klimatem moralnym i z filozoficznym podłożem, czego szkoła średnia z różnych względów raczej nam poskąpiła.

Chcę powiedzieć, że niełatwa jest dla nas percepcja wagnerowskiej muzyki, zespolonej z akcją dramatyczną w sposób specyficzny, odbiegający zdecydowanie od tej konwencji operowej, z którą nasz widz i słuchacz jest oswojony. Nachodziły mnie chwilami takie myśli w ciągu tego cztero i półgodzinnego przedstawienia, a nawet przypomniał mi się, opisany w „Janie Krzysztofie" Romain Rollanda, zaciekły i namiętny spór, jaki toczyli z sobą w drugiej połowie ubiegłego stulecia zwolennicy Wagnera i Brahmsa. Piszę o tym, żeby uprzytomnić czytelnikom, iż twórczość mistrza z Bayreuth

Walkiria

nie była uznawana przez pewną część opinii muzycznej za wartość artystycznie jednoznaczną, że zarzucano jego sztuce między innymi przecenianie potęgi brzmienia orkiestry z przesadnie zwielokrotnionym składem poszczególnych grup instrumentalnych, a więc — jakby podświadomy kult siły. Zresztą, jest rzeczą najnormalniejszą w świecie, że różne style i kierunki artystyczne są niejednakowo akceptowane przez ludzi, ze względu na odmienność ich artystycznych upodobań. Na mnie, muszę wyznać, muzyka Wagnera, w tej już wykrystalizowanej postaci, jak w „Pierścieniu" sprawia wrażenie tak potężne, że aż przytłaczające.

Jak jednak wypadła nasza łódzka „Walkiria". Nie ulega wątpliwości, że do premiery przygotowano się pod każdym względem solidnie, zdając sobie sprawę z powagi zamierzenia. Chyba najpewniej stawała na wysokości swoich arcytrudnych zadań orkiestra, przygotowana przez **TADEUSZA KOZŁOWSKIEGO.** Z dużą ekspresją i płynnością toczyła się wagnerowska „Nieskończona melodia", przejrzyście rysowały się motywy przewodnie, charakteryzujące określone sytuacje, bacznie też czuwał dyrygent nad wejściami solistów.

Rozbieżne uczucia mogła budzić obsada partii śpiewaczych. Na dobrą sprawę, to poza **ZYGMUNTEM ZAJĄCEM** w partii **Siegmunda,** którą śpiewał głosem pełnym blasku, panując nad problemami technicznymi, czym ponownie potwierdził, że jest obecnie jednym z najlepszych tenorów polskich scen; poza **ALICJĄ PAWLAK** w roli żony Wotana **Fricki,** którą artystka wykonywała nośnym głosem o wyrównanym brzmieniu i z dużym dramatyzmem; a także jeszcze poza **TOMASZEM FITASEM,** który potęgą i soczystością głosu odpowiadał jak najlepiej wymaganiom basowej partii **Hundinga** — do pozostałych solistów można by zgłaszać takie czy inne zastrzeżenia. Najmniejsze chyba — pod adresem śpiewającej **Sieglindę BARBARY RUSIN,** odpowiadającej zresztą moim (subiektywnym) wyobrażeniom o śpiewaczce wagnerowskiej. Wiele pięknych miejsc zawdzięczamy także **HANNIE RUMOWSKIEJ - MACHNIKOWSKIEJ,** jako **Brünnhildzie,** zwłaszcza w momentach lirycznych.

Osobna sprawa, to obsadzenie w roli **Wotana** naszego niezwykle utalentowanego basa-barytona, **ROMUALDA TESAROWICZA.** Miał on, podobnie zresztą jak i pozostali soliści, ogromnie trudne zadania wokalne, wymagające dużego zaangażowania głosu, i to często w utrudniających recitativach, przechodzących w parlando, a nieraz i w dramatyczny krzyk, czemu młody śpiewak potrafił stawiać czoło przez dwa akty, nie oszczędzając się ani przez chwilę. W III akcie jednak zaczęły dawać o sobie znać objawy zmęczenia głosu, pomimo tego artysta brnął heroicznie do końca, nie próbując nawet markować, co przypłacił silnym zachrypnięciem w końcowej partii. Czy obsadzenie tak młodego, mimo wszystko nie dość jeszcze zahartowanego śpiewaka w partii Wotana nie było zbyt ryzykowne? Oby nie odbiło się to ujemnie na jego wokalnej kondycji.

Reżyser przedstawienia, **WOLFGANG WEIT** z Niemieckiej Republiki Demokratycznej, służył swoim talentem naszemu teatrowi już po raz czwarty, realizując dotychczas dzieła niemieckich kompozytorów, w tym Wagnera po raz drugi. Zależało mu, jak zresztą to podkreślał, na przedstawieniu problematyki Walkirii (czy ogólniej — „Pierścienia") w ujęciu ponadczasowym i poniekąd ogólnoludzkim, a więc z dystansem wobec germańskiej mitologii. Jak mi się wydaje, wszelkie tego rodzaju zamysły łatwiej jest jednak realizować w dziele dramatycznym, niż w tekście śpiewanym lub mówionym na tle potężnego aparatu orkiestrowego. Zresztą, co do wymowy ideowej, to nie rysuje się ona — moim zdaniem — dość jasno, a sam Wagner jak wiadomo, przeszedł znamienną pod tym względem ewolucję — od poglądów rewolucyjno-anarchistycznych w czasie Wiosny Ludów, wyrażonych między innymi w pracy teoretycznej pt. „Sztuka i rewolucja" — do tego stanowiska, które wyraził później w dedykacji, otwierającej „Pierścień": *„Poczęte w ufności wobec niemieckiego ducha, a ukończone dla chwały swojego dostojnego dobroczyńcy, króla Ludwika II Bawarskiego — przez Ryszarda Wagnera".*

O interpretacyjnych zamierzeniach reżysera świadczy chyba pośrednio opracowanie scenograficzne **JADWIGI JAROSIEWICZ,** wprowadzające świadomie akcenty ponadczasowości. A więc, mieszczańskie, bodaj XIX-wieczne wnętrze w domu Hundinga, wydrążonym zresztą w pniu potężnego drzewa, stanowiące tło I aktu, w II akcie natomiast przeszklony, całkiem współczesny sufit w Walhalli. Ponadto oglądaliśmy mocno uwspółcześnione kostiumy, na przykład Wotana, a w dodatku, wbrew tradycji, bez wilczej skóry na ramionach, która symbolizowała znane w germańskiej mitologii przemiany człowieka w wilka (do czego nie brak aluzji w samym tekście), podobnie też z kostiumami Walkirii, bardzo zresztą efektownymi i twarzowymi, ale — w moim odczuciu — nie kojarzących się z rolą owych dziewic, które pozostając w służbie Wotana zbierały zwłoki poległych z pola walki i pielęgnowały ich ciała (küren = kurować), by mogli oni bronić Walhalli. W rolach ośmiu Walkirii, którym przewodziła Brünhilda, wystąpiły: **DANUTA SALSKA, EWA KARASKIEWICZ, MARIA SZCZUCKA, IZABELA KOBUS, KINGA ROSIŃSKA, URSZULA JANKOWIAK, JADWIGA MIRECKA i STANISŁAWA SZOPIŃSKA.**

Mamy więc szczęśliwie premierę „Walkirii" poza sobą. Publiczność premierowa przyjęła ją stosunkowo ciepło, mimo nieuniknionego znużenia wielogodzinnym przedstawieniem, wykonywanym jedynie z nieznacznymi skrótami. Oceniając jednak artystyczny bilans wielkiego przedsięwzięcia, należy brać pod uwagę nie tylko oczywiste pożytki, jak choćby wzbogacenie się doświadczeń zespołu w dziedzinie dramatu wagnerowskiego, ale i zasięg społecznego oddziaływania zrealizowanego dzieła. Dotychczasowe wystawienia dramatów muzycznych Wagnera nie zdołały w Łodzi przekroczyć liczby kilku przedstawień. Oby „Walkirii" powiodło się lepiej...

JERZY KWIECIŃSKI

Stefan Pastuszewski

Pęknięta struna wyobraźni

jak góry złożone na bok:
samotność polany
jeziora Morskie Oko
wyzwanie niebu — sosny
na stoku szachownicy błysk kosy
w mierzwę strzechy cichym żądłem wpada
przewierca kalenice, strychulce, powały
ku zdumieniu macierzy myślą pierwszą płonie

w niemowlęcia oku
rozpoczyna się właśnie powolne wstawanie
człowieczenie ku słońcu

nagle pęka napięta cięciwa milczenia
pociąg na dwulinii toru
wystukuje prosty
za prosty, za prosty
marsz ku miastu

Bysławek, lipiec 1983 roku

Figura z desek

do twego chwilo — miejsca
o współrzędnych miękko rozpływających się w pamięci
bez wstrząsu odczytywanych
przemawiam
jak zwykle czule

ten dom jeszcze stoi
czeremcha pod oknem
włożyła tę samą suknię
na maj i na wieczór
tylko jakby utyła
i urosła
w powietrzu nawet wisi
ciepła mgiełka tamtego czasu
nie przegoniły jej bicze wiatrów
albo z tego naszego chwilo — miejsca
jak duch wywołanego
z zapadni na scenę
żaglem wypłynęła

przemawiam czule i głaszczę
twoje aksamity i jedwabie
twoimi malinami jabłkami wokół pachnie
a słodycz jak zwykle osadza się
cukrowym szronem na zwęglonych wargach

tak skończony jestem
jak Zeus Fidiasza
nie miałbym za złe śmierci
gdyby już przyszła

nie to że ciebie nie ma
ani to że ja już nie potrafię
jak gołąb
migocącym srebrem po rozpalonych błękitach
latać
boli

nie
nic nie boli
tylko na deskach wyciągniętych dłoni
niezmywalna sinica

J.

Pogoda nasza

pogoda nasza limfatyczna
zawsze okazuje się że krew płynęła
niepotrzebnie
a rozsądek nie wytrzymał starcia z
szaleństwem
logiki historii
codziennie słuchamy prognoz krótko i długo-
-terminowych
i codziennie zasypiamy jakby wieko trumny
zatrzaskiwało się

a jednak kiedy widzę matkę
uczącą dziecko pacierza
i żebraka który jest żebrakiem
aby nie być błaznem

kiedy ktoś jeszcze rozumie proste słowa
i za jedno z nich dałby prawie wszystko
kiedy na niebie słońce
a pod stopami droga
i między nimi jasność jak gest noża
to mylą się autorzy pierwszych stronic

Światło w mroku

Krystynie Górniewicz

ty, jedna z wielu roślin na mej drodze
uszanuj
zapamiętaj tę chwilę kiedy powiedziałem tobie
że nie jesteś kobietą
a było to w chwili kiedy byłaś aniołem
wiatr dotykał mnie swoim skrzydłem
a niebo chłostało
Krystyna to jest imię na wysokości kosmicznej
nie wiersz
list
lub białe wspomnienie piersi
nie wiesz co to jest wiatr
co to jest anioł
ale wiesz kim był ten który ciebie opuś
w taki deszcz
to twoje nowe imię
twoje światło w mroku

List z Wybrzeża

Na scenicznych deskach Gdańska

Los tak sprawił, że od dziesięciu lat mieszkam w Gdańsku, lecz na dnie serca jestem, byłem i będę łodzianinem. Pochodzę z jednej z najstarszych łódzkich rodzin i zawsze traktowałem wyjazd z miasta jako chwilowy. Wiem, że do Łodzi kiedyś wrócę...

Tymczasem jednak, będąc w pięknym i gościnnym Gdańsku postanowiłem choć w ten sposób jako publicysta, spłacić dług rodzinnemu miastu.

Ten list będzie o ludziach, którzy z powodzeniem działają w kulturze Wybrzeża, a ich związki z Łodzią są bardzo istotne. Łodzianie w Gdańsku odgrywają ważną rolę. Widać to najlepiej w Teatrze Wybrzeże — aż roi się tutaj od absolwentów PWSTiF.

Kierownikiem artystycznym gdańskiej sceny jest Stanisław Michalski. Łodzianin. Kim jest Michalski, wie tutaj każde dziecko. Nic dziwnego, od 1955 roku gra nieprzerwanie w Teatrze Wybrzeże; prawie dwa lata temu, w ciężkiej sytuacji, w jakiej znajdował się wtedy Teatr Wybrzeże, objął jego dyrekcję artystyczną i idzie mu całkiem, całkiem dobrze.

Przez ostatnie lata pięknie rozwija się talent innego aktora, który także tutaj przybył z Łodzi. Jest nim Jerzy Łapiński, wnuk starego Łapy, którego łodzianom nie trzeba przypominać. Jerzy Łapiński rok temu na festiwalu teatralnym w Toruniu otrzymał nagrodę za najwybitniejsze osiągnięcia aktorskie tej imprezy. Rzeczywiście rolę Ojca w „Ślubie" Gombrowicza zagrał koncertowo. A jest to przecież zasługa nie tylko jego własnej pracy, koncepcji reżysera, ale także pedagogów, którzy na początku lat sześćdziesiątych uczyli Łapińskiego podstaw zawodu aktorskiego w szkole aktorskiej jeszcze na ulicy Gdańskiej.

Udanie też wprowadził się do zespołu Teatru Wybrzeże inny przedstawiciel łódzkiej rodziny aktorskiej — Tomasz Fogiel. Po ukończeniu szkoły grał przez pięć sezonów w Teatrze Nowym w Łodzi, a później sprawy rodzinne spowodowały, że musiał spakować walizkę, wsiąść w „Pomorzanina" i przyjechać nad Bałtyk. Nie ma powodu do narzekania — ostatnio z sukcesem zagrał trudną rolę Józefa w sztuce „Reportaż z pop-festiwalu". Pokazał tam nie tylko predyspozycje aktorskie, ale także udowodnił, że potrafi śpiewać. Sądzę, że ojciec Tomasza — Aleksander Fogiel, długoletni aktor łódzkiego Teatru Powszechnego, ma powody do zadowolenia.

Wspomnę jeszcze tylko o dwóch aktorkach, które zajmują wyraźne miejsce we współczesnym teatrze polskim, a są absolwentkami szkoły łódzkiej. Ani Wandy Neumann, ani Joanny Bogackiej nie trzeba przedstawiać miłośnikom teatru. Pierwsza, na dodatek, przez dwa sezony grała w Teatrze Nowym w Łodzi, gdzie stworzyła ciekawą rolę w „Dziejach grzechu" według Stefana Żeromskiego, znana jest także z szeregu filmów. Joanna Bogacka natomiast ujawniła swój talent aktorski nie tylko w Teatrze Wybrzeże, ale także w wielu spektaklach telewizyjnych. A obie zaczynały w łódzkiej szkole pod czujnym i surowym okiem prof. Hanny Małkowskiej.

Wymieniłem nazwiska tylko ludzi teatru, a przecież są tutaj także malarze, poeci i dziennikarze rodem z Łodzi. W Domu Prasy na Targu Drzewnym często spotkać mogę rodaków (jak mówiła moja babcia) z Łodzi. Pytają mnie wtedy, co słychać w tym brzydkim, a jednocześnie wspaniałym mieście. Przykro mi czasem, że nie zawsze mogę dać wyczerpującą odpowiedź.

WIESŁAW NOWICKI

Legenda Skiroławek

Powieść Zbigniewa Nienackiego „Raz w roku w Skiroławkach" zyskała sławę na długo przed ukazaniem się pierwszych egzemplarzy w księgarniach. Nie pamiętam, aby zrobiono w naszej prasie równie gigantyczną awanturę z powodu sprośności i obscenów rozsianych w „Miazdze" Jerzego Andrzejewskiego: może jeden Zygmunt Kałużyński zdobył się na akt przekory, ale pozostał osamotniony, szumu nie było.

Z Nienackim inaczej; huk zrobił się na całego, cytowano ze smakiem ruchy ciała „plastyczki Aldony" (żadna taka w powieści nie występuje), za pismami warszawskimi gorliwie poszły inne, krajowe, i to wszystko nie na podstawie lektury, a raczej na słowo honoru. Czy można dziwić się, że w tej sytuacji z dżeniem sięgałem po straszną, zaraźliwą książkę, uprzednio starannie odciąwszy dziecku dostęp do obu tomów?

W Polsce jest wielu pisarzy, nie sposób znać dorobek każdego z osobna. Przed „Skiroławkami" znałem Nienackiego jako autora piszącego dla dzieci. Ponadto widywaliśmy się na zebraniach, podczas katowickiego zjazdu literatów, chyba piliśmy kawę przy tym samym stoliku, to wszystko.

Po lekturze mogę stwierdzić, że spotkała mnie niespodzianka. Poznałem przyzwoitego autora, może nie noblistę od razu, ale z pewnością człowieka o znacznej inwencji i widocznej kulturze literackiej, o którym spokojnie można rozważać w kategoriach serio. Co więcej ten nowo poznany prozaik mówi mi nie tylko o rzeczach i sprawach zajmujących, ale także o kwestiach ważnych, mocno powiązanych z rzeczywistością polską lat powojennych, z jej przemianami i dramatami.

Do takich ważnych doświadczeń naszego kraju należy z pewnością burzliwy, wcale nie bezbolesny przebieg procesu integracyjnego, związanego z przesunięciem granic, z powrotem ziem dawnych, z przemieszaniem Polaków, z niespodzianką zderzeń — często konfliktowych — ludności autochtonicznej z napływową. „Skiroławki" Nienackiego są fikcyjną wsią gdzieś z pogranicza Mazur i Warmii, skrytą w lasach, nad jeziorem. Pisarz nie opowiada całych jej powojennych dziejów, daje współczesny obraz miejscowości, jej mieszkańców, obraz kultury, wspomnień i mitów lokalnych, w których jednakże odbijają się wieki pogmatwanej historii. Powieść zamyka się w granicach czterech pór jednego roku, ale talentowi pisarza zawdzięczamy, że pomimo tego ograniczenia możemy spojrzeć tak w przyszłość, jak i, zwłaszcza, zobaczyć przeszłość wsi i jej mieszkańców.

Osobliwością powieści jest, że Nienacki referuje jej treści w stylistyce rzadko u nas stosowanej, że mianowicie wybiera tradycję po trosze rabelesowską, że jest także Rollandem (z „Colas Breugnon"), a po trosze i Grassem. Ten wybór determinuje zmysłowe podejście do materii życia, miejscami może i szokujące nadmiarem szczegółu, i sprawia, że o sprawach poważnych mówi się w książce czasem lekko, a nawet zbyt figlarnie. Można mieć o to pretensje, jak ja np. mam żal o potraktowanie postaci Arona Ziemby, protestanckiego ni to zbawcy, ni proroka: zbyt lekkie jak na powagę sprawy. Zresztą Nienacki okazuje szacunek wobec lokalnej tradycji kulturowej, jest na to w powieści dość przykładów, irytuje go jedynie wspomniana postać, o której wiem, że nie jest fikcyjna.

Ratuje jednak autora, że bywa też autoironiczny. Ludzie bowiem w tej powieści w sumie „wychodzą" gorzej, niż sprawa. Pisarz wie, że kiedyś, w przyszłości, może już niedalekiej, z tygla wyłoni się jedność i całość — zupełnie nowa, oryginalna. Jednak, aby to mogło nastąpić, musi upłynąć czas. Póki co, autor walczy z wewnętrzną sprzecznością: sceptyczny, ironiczny, a nawet pesymistyczny w ocenie natury człowieczej, takiej, jaka mu się objawia dziś, tym mocniej podkreśla działanie historii, czasu i wzoru człowieka poczciwego, jakim w powieści zdaje się być lekarz Niegłowicz.

A co ze świntuszeniem? — zapyta rozczarowany czytelnik tego felietonu. Cóż, mnie się zdaje, że ta kwestia mniej się wiąże z jakością pisarstwa, bardziej natomiast z wrażliwością czytelniczą. Prosta rada: kto nie lubi pośladków pani Aldony, marszandki i butikary stołecznej, a do tego nimfomanki, niech po prostu nie czyta, zachowa wtedy cnotę i nadal będzie mógł uważać, że takie rzeczy jak pupa (i inne) po prostu nie istnieją.

O Skiroławkach krąży legenda, że tam się trafia raz w roku jedna noc, podczas której hm, wszyscy z wszystkimi, i wiecie państwo, kto się legendą najmocniej podnieca? Ano, prosty lud ze stolicy, zjeżdżający do tej wsi na wakacje...

MICHAŁ MISIORNY

(„Trybuna Ludu" nr 60 — 10—11.03.84)

JULIUSZ CYPERLING

Trudne powroty

Wśród książek wydanych nakładem Wydawnictwa Łódzkiego, „Trudne powroty" Józefa Spychalskiego zajmują miejsce szczególne. Przyczyną tego są zarówno sam temat, jak i sposób jego ujęcia.

W liczącej ponad 400 stron powieści podjął się autor nie tak często poruszanej prezentacji losu Polaków, którzy po kampanii wrześniowej znaleźli się początkowo w obozach jenieckich, trafiając następnie do robót przymusowych.

Grupie podchorążych, bohaterów książki, towarzyszymy aż do zakończenia wojny, kiedy to umieszczeni zostali w obozach przejściowych dla byłych jeńców wojennych i podejmują decyzję o swych dalszych losach.

Już samo takie ujęcie tematu budzić musi zainteresowanie. Nie mniej jednak cennym atutem tej książki jest, stanowiący tło dla losów polskich bohaterów, obraz niemieckiego społeczeństwa ukazany na przestrzeni kilku lat, i to zarówno w momencie sukcesów wojennych III Rzeszy, jak i później, kiedy ich machina wojenna została zatrzymana.

Zadanie, jakiego się podjął Józef Spychalski, choćby tylko ze względu na dystans czasu, było niezmiernie trudne. Z tym większym też uznaniem należy odnotować fakt, że powstała książka znacząca nie tylko ze względu na swą warstwę dokumentacyjną, ale także i literacką, co jest tym bardziej godne podkreślenia, gdyż jej autor nie jest literackim profesjonalistą.

„Trudne powroty" wyróżniają się dużą kulturą języka, sprawnością narracyjną, precyzją obserwacji, plastycznością opisów i unikaniem zbyt prostych uogólnień. Dodajmy do tego, że lektura ta po prostu wciąga, że tę książkę chce się czytać. Ten ostatni argument, wbrew temu, co się może zdawać, nie jest tanim komplementem. W sposób aż nadto wymowny przekonać się o tym można zestawiając tę książkę z pozycjami wielu autorów o znanych i często uznanych nazwiskach...

Józef Spychalski przedstawia dzieje dwóch łódzkich przyjaciół — Andrzeja Bubowicza i Piotra Borowskiego. Poznajemy ich w drugim roku wojny w obozie jenieckim.

„Idąc patrzyli tępno na kołyszących się w marszu kolegów. Przed nimi szli Felek Grobelny i Jacek Nowicki, z którymi spotkali się w Rawie Mazowieckiej, a obok — Adam Wiliński, Maks Rydel, Bogdan Adamski i reszta hemerczyków z kompanii podchorążych, którą sformowano w Stalagu VI A w październiku ubiegłego roku. Mieli za sobą pierwszą trudną zimę spędzoną za drutami w Hemerze i kilkumiesięczny pobyt w Augustdorfie, gdzie pracowali przy montażu jenieckich baraków, a teraz szli do Kreuzkrugu, w którym znajdowało się kolejne Arbeitskommando".

Ta część ich życia stanowi pierwszą wyraźnie dającą się oddzielić część książki. Jest to okres ciężkiej wymuszonej pracy, stałej walki o zachowanie ludzkiej godności, zdarzeń z brutalnością oprawców. Już wtedy dochodzi jednak do pierwszych, delikatnie oznaczonych kontaktów z „cywilnymi" Niemcami prezentującymi bardziej ludzkie oblicze. Panoramę obozowego życia uzupełniają próby i sposoby ucieczek jeńców oraz metody sabotażu wykonywanej pracy.

Okres ten przedstawiony został przez autora „Trudnych powrotów" w sposób skrótowy i z konieczności niepełny. Jak można się domyślić, stanowi on wprowadzenie do następnego etapu, tym razem już znacznie pełniejszego — pracy i życia u „bauerów". Pierwszy z bohaterów trafia do dużego gospodarstwa rolnego, drugi do fabryki konserw. Od tego też momentu w sposób wyraźny, ale zarazem nie narzucający, rysują się jednocześnie występujące obok i nakładające się nawzajem na siebie dwa obrazy: życia Polaków w sytuacji niewolników i postaw Niemców, ich stosunku do zdobytej przez siebie siły roboczej, do wojny, do faszyzmu.

Ten okres życia łódzkich bohaterów zdecydowanie kontrastuje z poprzednim. Częściej stykają się z życzliwszymi odruchami i reakcjami, znajdują swego rodzaju pozory wolności, mają namiastkę prywatnego życia. Nowe, lepsze warunki nie zawsze jednak pobudzały do optymistyczniejszych refleksji.

„Piotr zawrócił, usiadł na niskim stoleczku i począł wpatrywać się bezmyślnie w palenisko, w którym świecił się węglowy żar. Nie był w stanie zebrać myśli. Oto los rzucił go znowu jak bezwolną piłkę, między obcych ludzi, którzy wydali mu się bardziej życzliwi niż ci, z którymi stykał się do tej pory. Te pierwsze odruchy życzliwości wywołały w nim jednak całkiem niespodziewane reakcje. Silniej odczuł upokorzenia, jakie spotkały jego naród, i zaczął palić wstyd za własną bezsilność wobec tych upokorzeń i nieprawości".

Spychalski unika sztampowych podziałów Niemców na dobrych i złych. Pokazuje przede wszystkim ludzi żyjących w określonych warunkach i pod wpływem tych warunków. W sposób wymowny znajduje to swoje odbicie w rozmowie Piotra z jednym z Niemców.

„A kto nie służył Führerowi? Każdy służył, chciał czy nie chciał.

— Właśnie, chciał czy nie chciał. On zaliczył cię do tych, co chcieli. Czyżby się mylił?

Dieckmann zwiesił głowę i poczłapał do domu".

Epizodem szczególnym mogącym zainteresować łodzian jest ucieczka Andrzeja do Polski i przeżycia jego podczas kilkudniowego pobytu w rodzinnym mieście. Okupacyjne życie Lodzi wyjątkowo rzadko jest przedstawiane na łamach książek. Oczywiście ten kilkunastostronicowy fragment „Trudnych powrotów" luki tej nie wypełnia, daje już jednak, zwłaszcza młodym pokoleniom, jakiś obraz smutnej rzeczywistości sprzed kilkudziesięciu lat.

I wreszcie część ostatnia — już po zakończeniu wojny. Mimo wyraźnie dającej się odczuć ulgi, nie jest jednak pozbawiona dużego ładunku emocjonalnego. Spychalski ukazuje organizowanie się byłych jeńców, przedstawia ich problemy i dylematy związane z nową rzeczywistością. Wbrew temu, czego się można było obawiać, nie otrzymujemy obrazu uproszczonego. Trudne powroty związane są nie tylko z długim wyczekiwaniem na zakończenie wojny, ale i ze znalezieniem się w odmiennej sytuacji politycznej i koniecznością dokonania wyboru.

„Londyńczycy... — powtórzył głucho. — No tak, ledwo skończyła się wojna, a już mamy londyńczyków, andersowców, dipisów, akowców, gwardzistów i tych, co przyszli z Beringiem, a każdy mówi i myśli po swojemu, że trudno się już połapać, czy więcej nas teraz łączy, czy dzieli...".

„Trudne powroty" są książką po którą naprawdę warto sięgnąć, są książką po prostu dobrą, dostarczającą nie tylko ogromnego ładunku wiedzy, ale i wielu osobistych refleksji i przeżyć, podanych do tego w sposób zajmujący. Jedyny zarzut, jaki można by jej ewentualnie postawić, dotyczy braku spięć dramaturgicznych. „Trudne powroty" są książką o szybkiej i interesującej akcji, mają jednak słabo zaznaczone punkty kulminacyjne. Szkoda trochę, bo obecność ich podniosłaby jeszcze i tak już wysoką atrakcyjność powieści. O takim, a nie innym ujęciu zadecydował zapewne świadomy wybór autora opierającego się w ogromnej mierze na własnych przeżyciach.

Jedyna naprawdę krytyczna uwaga dotyczy okładki. Jest nieciekawa, nie rzuca się w oczy, nie zachęca przypadkowego czytelnika do wzięcia książki do ręki. Szkoda, że wydawnictwo zrezygnowało z tej szansy. Szkoda również, że „Trudne powroty" wydane zostały w skromnym nakładzie 10 tys. egzemplarzy. Jak na tak wartościową i godną przeczytania książkę — nawet przy założeniu, że jest to debiut literacki — to bardzo mało, zwłaszcza, o czym niestety dobrze wiemy, iż zdarza się, że trafiają do księgarń pozycje, delikatnie rzecz ujmując słabe, w nakładach kilkakrotnie wyższych.

Józef Spychalski „Trudne powroty" — Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1983.

Teatr cieni

Świat kilku opowiadań widziany oczyma bohatera — studenta lub początkującego dziennikarza, młodego nauczyciela lub młodego naukowca, jest dużą szachownicą, po której poruszają się dziesiątki figurek według sobie tylko właściwych reguł gry i w dla siebie jedynie właściwych kierunkach. Niektóre zabawią tu dłużej, inne, po wykonaniu kilku gestów, znikają tak samo nagle, jak się pojawiły.

Jedyną żywą postacią, mającą cechy psychologicznie pogłębione, jest główny bohater, podobnie charakteryzowany we wszystkich opowiadaniach. Ukazany jest w taki sposób, że z jednej strony czując utożsamienie się autora z bohaterem, uważamy, że wiemy o nim wszystko, że niczym nas nie zaskoczy, bo wiemy o nim tyle, co autor. Z drugiej strony ten ostatni patrzy na swoje alter ego z dystansu, beznamiętnie relacjonując posunięcia t a m t e g o — sprzyja temu narracja w III osobie. Patrzy więc nań jak na własną rękę, podnoszącą szklankę do ust bez udziału woli — i zaskakujące możliwości tego „III" — co on jeszcze zrobi? — zdają się zmuszać autora do ich relacjonowania.

Znamienne jest włączenie do zbioru opowiadań o tematyce alpinistycznej. Ucieczka w góry, chęć wypróbowania się, sprawdzenia poza uwarunkowaniami codziennej podległości układom, na które nie ma się wpływu, to objaw swego rodzaju buntu, a przynajmniej negacji, a przynajmniej votum separatum.

— „Umywam od tej sprawy ręce — powiedziałem — róbcie, co chcecie. (...) Podszedł do mnie Tadzio.

— Czółko, stary — uśmiechnął się pogodnie — Myślałem, że ty się tylko w historii specjalizujesz, ale, jak widzę, znasz dobrze i Biblię".

EWA KATARZYNA NOWAK

Marek Rymuszko. Miejsce na górze. Wydawnictwo Łódzkie 1983, s. 192. Cena 50 zł.

Kronika kulturalna

BARDZO cenną inicjatywę podjął Dział Informacyjno-Bibliograficzny Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Sieradzu. Otóż wydał on dwa, a mam nadzieję, że będą i dalsze opracowania z cyklu: sylwetki pisarzy, poświęcone **Jerzemu Wawrzakowi i Henrykowi Wolniakowi.** Obydwa jak na możliwości wydawców, w estetycznej szacie graficznej zdają się być wyczerpujące także pod względem merytorycznym. Zawierają dokładne życiorysy literatów i bardzo skrupulatne omówienia ich twórczości. Autor opracowania o Henryku Wolniaku, Zbigniew Dominiak uprościł sobie jednak nieco pracę, ponieważ zajął się jedynie omówieniem dorobku poetyckiego Wolniaka. Zrobił to rzeczywiście rzetelnie i wyczerpująco, ale pozostawia u czytelnika niejaki niedosyt, ponieważ nie wspomina chociażby w sposób fragmentaryczny o twórczości prozatorskiej czy eseistycznej autora. Niewątpliwym walorem pozycji jest bibliografia. Jest ona pełna i zawiera poza wyliczeniem wszystkich utworów Wolniaka także pozycje krytyczne dotyczące jego twórczości. W nieco inny sposób napisane jest opracowanie o Jerzym Wawrzaku. Autorem jego jest Tadeusz Błażejewski. Rzetelności omówienia w niej twórczości Jerzego Wawrzaka odmówić nie można. Błażejewski przypomina utwory poetyckie Jerzego Wawrzaka i dokładnie, w sposób solidny robi przegląd bogatej twórczości prozatorskiej. Omawia wszystkie utwory autora, przytaczając jednocześnie opinie innych krytyków na jego temat. Jedyną rzecz jaką można zarzucić opracowaniu to niepełna bibliografia. Zawiera ona jedynie spis utworów Jerzego Wawrzaka. Brakuje tytułów, chociażby najważniejszych, a było ich tak wiele, recenzji i pozycji krytycznych dotyczących jego utworów.

W sumie inicjatywa wydawania podobnych pozycji jest, jak już pisałam na wstępie bardzo cenna i należałoby ją szerzej rozpropagować. Zawiera optymalną ilość informacji podanych w sposób skrótowy i w przystępnej formie.

---

25 MARCA na Dużej Scenie Teatru im. Stefana Jaracza odbyła się premiera **„Dziadów"** Adama Mickiewicza w reżyserii **Macieja Prusa.** Scenografię zaprojektował **Andrzej Witkowski,** muzykę skomponował **Janusz Stokłosa,** choreografię „Balu u Senatora" przygotowała **Ewa Wycichowska.** W rolach głównych wystąpili: **Mariusz Wojciechowski** (Gustaw-Konrad), **Małgorzata Rogacka-Wiśniewska** (Rollisonowa), **Mariusz Saniternik** (Ksiądz Piotr), **Ryszard Kotys** (Senator) **Kamila Sammler** (Dziewica, Ewa) **Zbigniew Józefowicz** (Guślarz) i **Włodzimierz Kwaskowski** (Starzec).

W MINIONY poniedziałek w Akademii Muzycznej odbyła się uroczystość 50-lecia pracy artystycznej doc. **Tatiany Mazurkiewicz,** wieloletniego i zasłużonego pedagoga łódzkiej uczelni muzycznej. Na program uroczystości złożyło się słowo wstępne, omawiające działalność pedagogiczną jubilatki, wygłoszone przez st. wykładowcę Bogdana Wróblewskiego oraz koncert wychowanków doc. Tatiany Mazurkiewicz. Organizatorami uroczystości byli: Akademia Muzyczna w Łodzi, Stowarzyszenie Polskich Artystów Muzyków — oddział w Łodzi i Łódzkie Towarzystwo Muzyczne im. Karola Szymanowskiego w Łodzi.

W DWÓCH przedstawieniach **„Skrzypka na dachu"** 24 i 25 bm. w Teatrze Muzycznym wystąpił gościnnie w partii Tewiego solista Teatru Wielkiego im. Stanisława Moniuszki w Poznaniu — **Janusz Temnicki.**

Z OKAZJI Dnia Teatru w foyer Teatru Studyjnego 83 im. Juliana Tuwima otwarta została wystawa pt. **„Z galerii portretu aktorskiego Ludwika Kronica".** Eksponowane są portrety znanych aktorów łódzkich. Wystawa czynna będzie do 30 marca.

W CENTRALNYM Muzeum Włókiennictwa w Łodzi otwarta została wystawa tkaniny unikatowej artystów z Düsseldorfu. Prezentuje ona głównie prace powstałe z materiałów gotowych technika aplikacji, haftu i batiku. Prezentowana wystawa pomyślana została jako impreza towarzysząca Biennale tkaniny w Krefeld i znalazły się na niej prace mocno awangardowe, nie mieszczące się w formule Biennale. Zgromadzono 55 tkanin 18 artystów.

Mezalians

EDWARD BRYL

Monika właściwie nie myślała o niczym, nie czuła też nic, dopiero głuchy łoskot ziemi walącej o wieko wyrwał ją z odrętwienia. To już koniec, więcej nie przyjdzie pod jej drzwi. Kątem oka spojrzała na byłą teściową. Wycierała oczy chusteczką. Śnieżna biel koronki zamigotała niespokojnie w dłoni obciągniętej czarną rękawiczką. Jakże dobrze znała tę rękę. Widywała ją czasem zanurzającą się we włosach jedynaka. Wtedy Krzysiek odchylał głowę do tyłu i śmiał się głośno. Jaśniało w nim wszystko, oczy, zęby, nawet skóra nabierała blasku. Łoskot ucichł, słychać było tylko rozmazane klapnięcia łopaty. Wolała nie pamiętać jak wygląda teraz.

Deszcz siąpił, wilgoć przylepiała się do woalki, powiek, ust. Spojrzała po twarzach zziębniętych, pobladłych i wydawało jej się, że we wszystkich oprócz okazjonalnego smutku był jakiś ledwo widoczny ślad ulgi. Rozejrzała się uważniej, czy aby się nie myli.

Miał świadomość, że jest zbędny, chory... Jeśli wróci do matki, zerwie z Jerzym. Tego nie chciał. Pozostałaby z nim sama, do końca zdana na uciążliwe kalectwo. Rozumiał, że każdy nawrót choroby to klęska. Wciągnie ją w swoje nieszczęście, urojenia, lęki. Czy może więzić własną matkę. Po tragicznej śmierci ojca dość się namęczyła, żeby dać mu wykształcenie, dobre warunki. A on co? Zmarnował się — zachorował psychicznie. Już wiedział, że czeka go tylko wielki strach przed sobą, ludźmi, same upokorzenia. Kto potrafi go zrozumieć, że panicznie boi się ognia, że są chwile, gdy czuje jak mu się twarz wydłuża, pokrywa gęsta sierścią, jak u wilka, uszy sterczą... Do bólu musi się wtedy wpatrywać w lustro, aby sobie wytłumaczyć, że to nieprawda, że jest zwykłym człowiekiem, inżynierem Krzysztofem Bielińskim. Zmusił się, nie chce myśleć teraz o Monice. Nie jest tego warta. Powiedziała mu — z wariatem dłużej nie będzie. Pośmiewiska z siebie robić nie zamierza. Widocznie nie kochała go nigdy. Matka to co innego, ale przecież jej uczucie mu nie wystarczy. Nie jest dzieckiem. Musi mieć własne, dorosłe życie. A na to się nie zanosi. Żona bez żadnych trudności dostała rozwód. W pracy też go nie chcą, nawet na godziny. Odwiedził również inne zakłady pracy. Zewsząd odprawiano go z kwitkiem. Inżyniera budowlanego, owszem zatrudnią chętnie, praca jest, tyle, że nie dla człowieka, który leczył się psychicznie. Co robić z resztą życia? Przez całe dnie domków z klocków nie będzie stawiać na dywanie wyczekując na powrót matki. Ma dwadzieścia dziewięć lat, nie chce być dla nikogo ciężarem skoro użyteczność nie jest mu pisana. Dobrze, że matka zostanie z Jerzym. To porządny człowiek, może być spokojny o jej los. Stanął przed lustrem, przygładził włosy. Nie, zupełnie nie wyglądał na wystraszonego. Nalał sobie szklankę wódki. Uśmiechnął się do swojego odbicia. No, stary, strzemiennego...

Nastrój przy kolacji u Lewińskich nie był najlepszy. Lewińskiej wszystko leciało z rąk. Nerwowo paliła papierosa za papierosem. Monika siedziała zamyślona. W końcu Lewiński nie wytrzymał, walnął pięścią w stół, aż zadzwoniły sztućce i naczynia.

— Przestańcie wreszcie! Zachowujecie się tak, jakbym to ja wszystkiemu był winien.

— A tak nie jest? — wybuchnęła matka. — Ty nigdy nie masz sobie nic do zarzucenia!

— Zgadza się. Zwykle kalkuluję na zimno. Ze mną też nikt się nie patyczkował. Raz to oberwałem? Do stanowiska dyrektora też dochodziłem sam. Tymi pazurami szarpałem przeszkody, wspinałem się mozolnie szczebel po szczeblu. Czy po to, aby jakiś wariat zrujnował dorobek mojego życia. Córkę mam jedną! Myślisz, że nie kosztowało mnie jej wykształcenie, że tak sobie ot, wszystkie egzaminy w porę zdawała, niby taka zdolna, he, he — po tobie chyba.

— Gdy wrócił ze szpitala, patrzeć na niego nie mogłeś. Do tego doszło, że pokoju w ogóle nie opuszczał. Przedtem ci imponował, syn literata, z nazwiskiem. No w prawdziwą inteligencję wchodzimy, Zosiu — mówiłeś. Sam zaaranżowałeś małżeństwo, a teraz rozwód. Biedny chłopak! Dobrze wiedziałeś, że młody, niedoświadczony, nie taki szczwany lis jak ty.

O mało nie wywrócił krzesła, gdy wstawał od stołu. Potem zamknął się w swoim pokoju i pogrążył się w rozmyślaniach. Żeby tak narozrabiać! Głupi chłopak. Też mi bohater — zwykły tchórz! Słabe toto było, niezahartowane. Życie od początku układało mu się jak po różach, to i byle stres wykończył go psychicznie. Mięczak! Nie to co on, żeby było jak najgorzej, nie da się za żadną cenę. Zaprawę od małego miał nieźlą. Już do podstawówki chodził pod przysłowiową górkę, a i potem nigdy nie było łatwo. Matka co niedziela do kościoła ganiała, do mszy służył — ministrancikiem we wsi go przezywali. Marzyło się ojcom, żeby na księdza syna wykierować. Ale jemu co innego w głowie świtało. Nęciło go życie w mieście, godne stanowiska, urzędy. Ze średnią szkołą też nie było łatwo. Codziennie szesnaście kilometrów do miasteczka rowerem dojeżdżał, zimą, latem, w deszcz i mróz! Kuł po nocach bez wytchnienia. Kiedy studiował i mieszkał w akademiku, szybko połapał się, że na światopoglądzie i zasadach, jakie z domu wyniósł, daleko nie zajedzie. Nie to, żeby mu kto dokuczał. Przeciwnie, koledzy z pokoju to nawet go podziwiali, że taki cichy i pracowity i jeszcze w niedzielę, raniutko, do kościoła chce mu się biegać na pierwszą mszę, byleby czasu więcej na naukę zostało. Przejrzał, że etykietka działacza młodzieżowego bardziej mu pomoże, więc został nim. I faktycznie szedł do przodu. Pracował, nadstawiał karku za innych. Wielu kolegów po jego plecach poszło dalej. Pretensji o to nie miał. Lepsi, sprytniejsi byli. W każdym razie on też dużo zrobił. Z syna wieśniaka z trzymorgowego gospodarstwa wybił się na dyrektora dużych zakładów. Być może, jeżeli dobrze pójdzie, niezadługo powinien wylądować w ministerstwie. Słusznie uwolnił Monikę od tego wariata, po co życiorys zaśmiecać. Teraz wie, że wyda ją tylko za dobrze zapowiadającego się chłopaka z wiejskiej rodziny, ma się rozumieć ze szkołą. Więcej ze zgniłą inteligencją bratać się nie będzie. Grunt to zdrowe korzenie.

Monika długo nie mogła zasnąć. Przewracała się z boku na bok. Była nadmiernie podenerwowana przeżyciami ostatnich dni. Krzysztofa nie kochała. Wychodziła za niego bez większego przekonania, dla świętego spokoju. Ojcu dla czegoś tam było potrzebne to powinowactwo. Twórczość Jana Bielińskiego wracała wtedy do łask. Wydano kilka książek, nakręcono dwa filmy. Jego nazwisko było wtedy modne w niektórych kręgach. Ojciec miał ambicje, tej okazji nie chciał przepuścić. Monika przystała bez większych oporów. Krzysztof był przystojny, młody, no i zakochany w niej bez pamięci. Zresztą i szafa teściowej stanęła przed nią otworem. Pasjami lubiła paradować do pracy w jej futrach, biżuterii. Koleżanki zazdrościły, a tamta na swój sposób cieszyła się, że może sprawić radość jej i synowi. Przez te jedenaście lat, które upłynęły od śmierci męża, żyła oszczędnie, pracowała, tak, że nie uroniła nic z dóbr, jakie zgromadził dla niej i syna. Monika w głębi duszy podziwiała ją. To dla dziecka wyrzekła się wielu rzeczy, nawet w powtórny związek małżeński postanowiła wejść dopiero wówczas, kiedy Krzyś zupełnie się usamodzielni, założy rodzinę. Monika czuła, że nie była zachwycona jego wyborem, ale umiała się z tym pogodzić, przyjąć go w końcu jak swój własny. Na teściowa nie mogła narzekać. Zresztą na Krzysztofa także. Wszystkiemu winna ta choroba. Żal jej było męża, za wszelką cenę chciała go wyleczyć, jeździła do najlepszych specjalistów, ale rozpoznanie nie rokowało żadnych nadziei. Ojciec z miejsca rzucił hasło do rozwodu. Nawet nie próbowała się przeciwstawiać. Wiedziała, że czy wcześniej, czy później, zmusi ją do tego. Zawsze umiał postawić na swoim. Co do rozwodu zgadzała się z nim całkowicie. Trochę nie w porządku czuła się wobec teściowej, bądź co bądź zawiodła jej zaufanie. Ale najbardziej żal jej było futer i świecidełek. Chociaż jej własna garderoba nie należała do najgorszych, ojciec przecież pieniędzy nie skąpił, ale z tym, co posiadała ona, żadną miarą równać się nie mogła. Wszystko starannie wykonane, na zamówienie, z dużym smakiem. Zwłaszcza ta kurtka z lisów sen jej spędzała z powiek. Komu ona to wszystko zostawi? Sama sobie czegoś podobnego teraz nie sprawi, kosztuje majątek, chyba że wyszłaby za badylarza, co przy wygórowanych ambicjach ojca jest wręcz niemożliwe. Ona wielkich aspiracji nie ma, chciałaby męża z pieniędzmi. Reszta się nie liczy, wie, że gdzie są dobre warunki, to i miłość się znajdzie. Pieniądze ponoć szczęścia nie dają, ale ich brak tym bardziej. Dlatego nie oponowała, gdy ojciec pilił do rozwodu. Z renty Krzysztofa i swojej pensji nie wyżyłaby. Przyzwyczaili ją do luksusu, choć sami w nim nie wyrośli. Wręcz przeciwnie, ojciec w dzieciństwie często tylko o suchym chlebie krowy pasał. Rozumiała go i nie potępiała za nic. Nie mogła pojąć matki, która od czasu do czasu lubiła się bawić w sentymenty. Sama nie wyznawała się na subtelnościach. O, jakże była zmęczona. Wiedziała, że Krzysztof nie mógł znieść myśli o rozwodzie. Cierpiał, pogarszał się stan jego zdrowia. Jednocześnie rozumiał, że nie ma szans jej zatrzymać. Pewno chciał się z nią jakoś dogadać, ale od momentu, kiedy teść wyrzucił go do matki, kontakt między nimi był utrudniony. Lewiński kategorycznie zabronił córce nawet rozmów z nim. I umiał tego dopilnować. Jednak chciała się z Krzysztofem zobaczyć, wytłumaczyć się jakoś, a przede wszystkim obarczyć całą winą ojca, co w zasadzie nie mijało się z prawdą. Gdyby jej kazał, byłaby z nim aż do śmierci. Jej zasadniczym błędem była bierność wobec ojcowskich poczynań. W końcu nie żaliła się na te przedsiębiorczość. Dzięki niej zyskała wiele, studia, pracę, dość udane małżeństwo, a teraz wolność. Zdawała sobie jasno sprawę, że jej dalsze życie z Krzysztofem było niepodobieństwem, chyba że ojciec finansowałby ich na starych zasadach, to jej w gruncie rzeczy byłoby wszystko jedno — Krzysiek po tym szpitalu tak bardzo się nie zmienił. Zastanowiło ją wszakże jedno — zdecydowanie różniła się od teściowej. Nie umiała się poświęcać i nie poświęciłaby się w żadnej sytuacji ani dla matki, ani dla ojca. A ta chciała zerwać z Jerzym dla syna. Też coś!

Bielińska była zdruzgotana. Cios spadł na nią zupełnie niespodziewanie. Ledwie zdążyła się jako tako oswoić z chorobą Krzysztofa. Nie podejrzewała syna o takie zamiary. Lekarz nie stwierdził manii samobójczej. Nic nie zwiastowało tragedii. Być może, iż odgadł, że chciała zrezygnować z planów matrymonialnych, ale przecież tego nie dała mu do zrozumienia, myślała, że to zbyt wcześnie, wiedziała, że nie znosi litości. Nie miała także najmniejszego zamiaru zostawiać go własnemu losowi. Jego choroba była także dla niej wielkim nieszczęściem, kochała go nadal macierzyńską miłością i właśnie zamierzała oznajmić Jerzemu, że z nim zrywa, aby zająć się synem, który od rozwodu stał się zamknięty w sobie, milczący. Biedak, przeżył ogromne upokorzenie. Dobijała go niemożność podjęcia pracy. Zawsze był ambitny, dlatego nie potrafił dostosować się do nowej sytuacji. Nikt mu chyba nie chciał w tym pomóc, a ona bezradna jakże mogła nadać jego życiu nowe wartości. Okres remisji wrócił mu pełną świadomość, pojął głębię swego nieszczęścia. Rzeczywistość okazała się twarda, brakło w niej miejsca dla niego. Ubiegł ją, uwolnił od decyzji. Boże, dlaczego nie zerwała wcześniej z Jerzym. A może i tak nic by to nie dało. Z całą pewnością sam się skazał. Wiedziała, że to samobójstwo nie było chorobą, tylko ucieczką. Teraz zostanie z Jerzym. Jasne, że on tego chciał, dlatego uwolnił ją od siebie.

Przypomniała sobie pierwszą wizytę w szpitalu. Leżał wtedy na obserwacji, bez świadomości, przywiązany pasami do łóżka. Miał szeroko otwarte przerażone oczy. Nie zapomni ich nigdy! Tych pacjentów leżących obok, też. Jeden z nich cały czas dmuchał w górę starając się utrzymać w powietrzu niewidoczne dla nikogo piórko. Inny głośno przemawiał. Był to zlep zdań bez ładu i sensu. Gdy wychodziła, młody chłopak o wyblakłej, znękanej twarzy zawołał błagalnym szeptem — — papierosa! Wyciągnęła resztę ekstra-mocnych i wsunęła w wyciągniętą dłoń. Porwał i uciekł bez słowa „dziękuję", jakby bał się, że mu odbiorę. W tych wszystkich schorowanych, wynędzniałych postaciach odgadywała przyszłość swego syna. Był tu przecież pierwszy raz, a oni powracali ciągle. Później, w Krzysztofie niewiele pozostało z tego bezwładnego pacjenta, jakim był w szpitalu. Tyle że w żaden sposób nie mogła nawiązać z nim dawnego uczuciowego kontaktu. I stało się! Boże, gdyby jednak żył... Nie chciała dalej myśleć na ten temat, chwyciła się oburącz za głowę, jakby w ten sposób mogła powstrzymać narzucające się obrazy. W tej chwili dzwonek zadźwięczał u drzwi. Jak dobrze, że idzie Jerzy, nie będzie już sama.

Godzina do śmierci

RYSZARD BINKOWSKI

Chłopcy mieli wakacje. Piętnastoletni Robert, uczeń szóstej klasy, spędzał je w mieście, natomiast siedemnastoletni Zbyszek wyjechał na Mazury na obóz żeglarski.

Matka, Henryka B., miała przymusowy urlop, ponieważ zwolniono ją z pracy w szkole, gdzie zatrudniała się jako sprzątaczka. Ojciec, czterdziestoletni Antoni B., z zawodu tokarz, pracował jako spawacz w zakładach przemysłu dziewiarskiego.

19 sierpnia 1983 roku przed obiadem Robert poczynił zakupy i o trzynastej, za pozwoleniem matki udał się na basen, bo lato było upalne. Po kąpieli Robert poszedł do kolegi. Do domu wrócił około 20.30.

Ojciec stał w drugim pokoju. Nie wyglądał na pijanego. W ostatnim tygodniu w ogóle nie pił, ponieważ zapłacił karę w kolegium. Robert powiedział: „cześć, tata" i odwrócił się, żeby nie przeszkadzać, bo pomyślał, że tata coś muruje, gdyż poprzedniego dnia zaczął remont mieszkania. Wtedy zobaczył, że między łóżkiem i ścianą leży matka z pokrwawioną twarzą. Ciężko oddychała, z ust wydobywały się jej skrzepy krwi. Chłopak zapytał, co się stało. Ojciec powiedział, że matka przyszła pijana i przewróciła się. Udzieliwszy wyjaśnienia synowi, opryskał oxycortem rozciętą wargę żony.

Robert rozejrzał się i stwierdził, że wszędzie są plamy krwi i na podłodze leżą trzy zęby. Uznał to za normalne, bo tata często bił mamę, pijaną lub trzeźwą. Robert poszedł do babci, Joanny B., sześćdziesięcioszescioletniej emerytki, która mieszkała w oficynie tej samej posesji przy ulicy Rzgowskiej, i wspólnie podlewali warzywa w ogródku. Babcia oświadczyła, że widziała pobitą synową, ale cóż mogła poradzić? Później skorzystała z prawa nieskładania zeznań w tej sprawie. A tamtego wieczora, gdy Henryka B. leżała pobita, to powiedziała synowi, że on swoim postępowaniem doprowadzi kiedyś do tragedii.

Kiedy Robert wrócił od babci, matka leżała już w nocnej koszuli pośrodku podłogi. Ojciec moczył ręcznik i ścierał podłogę, więc chłopiec włączył telewizor i zaczął oglądać „Światła rampy", od momentu, gdy był bal. Uwagę chłopca rozproszyło jakiejś uderzenie w drugim pokoju. Zajrzawszy tam stwierdził, że matka leży przy wejściu do korytarza, a ojciec myje ręce w zlewie. Teraz wyglądał już na pijanego, bo strasznie bluźnił na żonę. Chłopiec wyszedł na schody, ponieważ nie mógł słuchać i patrzeć na to wszystko. Uspokoiwszy się wrócił po pięciu minutach. Matka leżała już na wersalce w kuchni. Mąż smarował jej oxycortem rozbitą wargę. Oddychała z trudem, po kilku minutach przestała oddychać. Ojciec powiedział, żeby syn podał mu lusterko. „Położył je mamie na piersiach, a ja poszedłem do drugiego pokoju i położyłem się do łóżka. Ojciec zgasił główne światło, paliła się tylko lampka nad biblioteczką. W pół godziny później ojciec zapalił światło i po kilku minutach zgasił. Wtedy zasnąłem".

Rano zbudziła Roberta milicja.

Stało się tak z tej przyczyny, że 20 sierpnia, o godzinie 5.50, do Dzielnicowego Urzędu Spraw Wewnętrznych na Górnej zgłosił się Antoni B. oświadczając, że jego żona nie żyje. Stwierdził przy tym, że on jest zabójcą.

W mieszkaniu na trzecim piętrze przy ulicy Rzgowskiej milicjanci ujawnili w kuchni leżące na tapczanie zwłoki kobiety. Zwłoki były ubrane w białą, czystą nocną koszulę, nogi denatki były założone jedna na drugą, ręce leżały wzdłuż tułowia. Lekarz Zakładu Medycyny Sądowej Wojskowej Akademii Medycznej dokonał szczegółowych oględzin zwłok. Widok był makabryczny, godny najlepszego angielskiego horroru.

Późniejsza sekcja zwłok oraz inne badania wykazały, że śmierć została zadana w sposób okrutny i bestialski. Henryka B. doznała ran tłuczonych powłoki głowy i twarzy, wieloodłamowego złamania żuchwy, obustronnego złamania żeber z uszkodzeniem opłucnych, z następową odmą i rozedmą, niedodmą i ogniskami zachłystowymi krwią w obrębie płuc, rozległych podbiegnięć krwawych w obrębie tkanki podskórnej szyi oraz licznych sińców i otarcia naskórka na całym ciele, co w konsekwencji spowodowało niewydolność krążeniowo-oddechową i śmierć.

Antoni B. został oskarżony o czyn przewidziany w artykule 148, paragraf 1 KK.

Jak do tego doszło? I czy w ogóle musiało do tego dojść?

Związek małżeński został zawarty w 1966 roku, na świat przyszło dwóch synów i początkowo współżycie rodzinne układało się właściwie. Jednakże od około dziesięciu lat wynikały coraz częściej nieporozumienia. Z czyjej winy? Z wywiadu środowiskowego wynika, że Antoni B. nie utrzymywał kontaktu z elementem karanym i milicyjnie notowanym. On sam też nie był notowany, prowadził ustabilizowany tryb życia, był człowiekiem spokojnym i bez nałogów. Natomiast jego żona mało interesowała się domem i synami. Dwukrotnie zwalniano ją z pracy.

Syn Robert twierdzi, że mama piła wódkę gdzieś na melinach lub w domu z ojcem. Zbigniew zeznał, że ojciec pił przez dwa dni, a potem przez kilka tygodni pościł. Awantury były głośne, sąsiedzi słyszeli, ale nie wzywali milicji. Ani sąsiedzi, ani babcia nie wtrącali się do awantur. Zbyszek słyszał, jak rodzice mówili o poradni odwykowej dla matki, ale ona nigdy się tam nie leczyła.

Jedna z sąsiadek oznajmiła, że dzieci chowała babka, gdyż oboje rodzice pili i urządzali dzikie awantury. Nikt się do tego nie wtrącał, albowiem nazajutrz małżonkowie B. byli już w jak najlepszej zgodzie. Jak było tego dramatycznego wieczoru, sąsiadka nie powie, gdyż obawia się napaści ze strony rodziny B.

Natomiast sąsiad Antoniego B., mieszkający przez ścianę, zeznał, że oni się tak cicho kłócili, iż nie wiadomo było, co się u nich działo. 19 sierpnia ów sąsiad wrócił z pracy po dwudziestej pierwszej i niczego nie słyszał. Zauważył tylko, że drzwi i ściana przy schodach są zakrwawione, i postanowił zwrócić uwagę Antoniemu na ten nieporządek. Kiedy się dowiedział, że Henryka B. nie żyje, sam wytarł krew ze ściany. Poza tym pamięta, że oboje małżonkowie często pożyczali pieniądze, z tym, że Antoni zawsze oddawał w terminie, a Henryka nie.

Rzecz jasna, że przed milicjantem robiącym wywiad ludzie często nabierają wody w usta. Po co się narażać? Ale nikt nie zaprzeczy, że mieszkańcy małej czynszowej kamienicy znają się na wylot. Oni dobrze wiedzieli, że Henrykę B. dwukrotnie wyrzucano z pracy za pijaństwo, że ostatnio przywłaszczyła sobie ponoć nawet książki na wódkę. I wiedzieli też, jaką metodą mąż leczy z pijaństwa żonę. Pił z nią, a potem bił.

Sąsiedzi mogli zapobiec nieszczęściu, chociaż kiedy 19 sierpnia Antoni B. poszedł na siódmą do pracy, nie mieli jeszcze pojęcia, że ten dzień zakończy się tragicznie.

O piętnastej Antoni wyszedł z pracy w towarzystwie Bogdana W., dwudziestosiedmioletniego montera. Kupili w „Uniwersalu" pół litra i wypili na stojaka, pod gorącym niebem sierpniowym. Z tego gorąca nabrali smaku i rozpędu. Kupili jeszcze jedną butelkę i udali się do mieszkania Antoniego. Bogdan zobaczył stojącą przy piecu Henrykę i wydało mu się, że ona właśnie przygotowuje obiad. Później Bogdan stwierdził, że jest chyba pijana. To znaczy była podpita, bo nie przewracała się. Nie zdziwiło go to, bo jak Henryka pracowała w tym samym zakładzie, to była znana z tego, że za kołnierz nie wylewała. Poza tym kilka razy widział ją pijaną na działkach.

Nie dziwił się też, że Antoni nie chce dać żonie wódki. Mimo to zaproponował uprzejmie, żeby ona też coś golnęła. No i Henryka B. wypiła jakieś dwadzieścia pięć gramów. O godzinie osiemnastej rozstali się w atmosferze ciepła i zrozumienia. Antoni był wtedy spokojny i zrównoważony...

Aby zaznać całkowitego relaksu, Antoni udał się na działkę. Pragnął bowiem dogłębnie i szczegółowo przeprowadzić śledztwo w sprawie, gdzie i z kim żona poprzednio piła wódkę. Istota mężowskiej dociekliwości wynikała z faktu, że historie z piciem przez żonę alkoholu powtarzały się dość często. A bywało i tak, że Henryka B. nie wracała na noc do domu.

Antoni wyznał z całą szczerością: „Jak spałem, to miałem spokój, bo przez dwa tygodnie nie piła".

Ale gdy tego wieczora wrócił około dziewiętnastej z działek i zadał żonie zasadnicze pytanie, ta odparła: „Masz się nie wpieprzać w te sprawy".

I wówczas Antoni postanowił, że raz na zawsze wybije jej z głowy pijaństwo. Zaczął ją bić pięściami, lecz ta metoda wychowawcza nie odniosła pożądanego skutku. Antoni B. wpadł w szał, ogarnięty żądzą zemsty, bo przecież małżonka mogła nie tylko pić na melinach, ale również zdradzać go po pijanemu. Był to ów szczególny stan okrucieństwa, w jaki wpada człowiek ukąszony przez zwierzę, które trzeba zabić z wściekłości i nienawiści.

W momencie, gdy zaczął okładać kobietę kablem elektrycznym, zaczęła się dla niej pierwsza i ostatnia godzina wiodąca prosto do śmierci. Straszna godzina...

Rozwścieczony mężczyzna chwytał kobietę za szyję, dławił, uderzał jej głową o podłogę i sprzęty. Kiedy nie reagowała, kopał ją obutymi stopami po całym ciele. Potem użył rurki metalowej z nacięciami, służącej do wybijania otworów w ścianie.

Nie doczekawszy się zeznania, dźwigał kobietę, unosił na wysokość pasa i rzucał z ogromną siłą na podłogę. Wreszcie rzucił zwiotczałym ciałem o szafę...

Sąsiedzi, rzecz jasna, niczego nie słyszeli...

Antoni B. wyjaśnił: „Żonę biłem od dziewiętnastej do dwudziestej z przerwami. Potem przyszedł syn, więc zmoczyłem ręcznik i położyłem żonie na głowie".

Ale ten mokry ręcznik służył głównie do ścierania plam krwi.

Potem Antoni zdjął z żony ubranie i założył jej białą koszulę. Nieprzytomną, obitą i ledwie oddychającą przeniósł na wersalkę w kuchni.

Czemu kazał synowi przynieść lusterko?

„Chciałem zobaczyć, co ma w ustach, bo charczała".

Zobaczył krew. A te trzy zęby, które zauważył Robert?

„Miałem buty na nogach, więc chyba przy kopnięciu wybiłem jej zęby".

Wiedział, co zrobił, jednak nie wezwał pogotowia. Oglądał program kabaretowy w telewizji. O dwudziestej czwartej położył się spać.

Henryka B. zmarła tuż przed północą...

Mamy ustawę o wychowaniu w trzeźwości, komitety do walki z pijaństwem, przychodnie odwykowe. Antoni B. spróbował wyleczyć żonę z alkoholizmu własną metodą, która okazała się zabójcza.

Dramat nie zakończył się tamtej tragicznej nocy. 30 sierpnia z obozu żeglarskiego wrócił Zbigniew B. Po przeżytym szoku oświadczył: „Dowiedziałem się, że mama nie żyje, gdyż została zabita przez ojca. A wyjeżdżając na obóz żeglarski zostawiłem rodziców zdrowych i w zgodzie..."

Polemiki • Listy • Opinie

SERCEM I TALENTEM...

Czy istnieje kultura robotnicza nie tylko jako pewien sposób bycia i styl życia, ale także jako twórczość literacko-artystyczna o uchwytnej, klasowej odrębności? A jeśli nawet istnieje, to czy w ogóle warto się nią zainteresować komuś, kto od sztuki oczekuje pobudzenia intelektualnego i przeżyć estetycznych? Czyż nie lepiej zawierzyć dziełom renomowanych twórców profesjonalnych, którzy niejako gwarantują nam „fachową" znajomość artystycznego rzemiosła, niż zaprzątać sobie uwagę wątpliwymi urokami amatorszczyzny?

Każdy jako tako rozsądny, a przy tym wyrobiony odbiorca sztuki zna z góry odpowiedź na przytoczone pytania: nie warto! Toteż, jeśli wokół spraw robotniczej kultury i twórczości robotników robi się tzw. szum i doznaje ona oficjalnego poparcia, a społeczeństwo, zwłaszcza środowiska robotnicze, zachęca się do zwrócenia na nią uwagi, wówczas niejeden sceptyk, pouczony doświadczeniami przeszłości, zaczyna nieufnie węszyć w tym coś, na co mamy gotowe i poręczne określenie: manipulacja!

Stanę więc zapewne na straconej pozycji, jeżeli na podstawie niedawnych własnych doświadczeń zacznę przekonywać, iż twórczość robotników często warta jest tego, by się z nią bliżej zapoznać. Pragnąłbym też dodać, dla rozproszenia nieufności, że nawet jeśli ten i ów, nie doceniający praw, które rządzą twórczością, mógł sobie początkowo obiecywać uczynienie z twórczości robotniczej użytku instrumentalnego, albo jeśli tu i ówdzie odzywały się dobrze znane ciągoty paternalistyczne, w intencji poprowadzenia „maluczkich" za rękę „dla ich własnego dobra", to od dłuższego już czasu zagrożenia te przestały istnieć. Nowy bowiem nurt robotniczej twórczości, który pojawił się na fali ogólnego sierpniowego ożywienia, okazał się ruchem na tyle autentycznym, wyrastającym z potrzeb i aspiracji klasy robotniczej, że nie pozwolił sobą powodować, i nie dał się użyć przeciwko socjalistycznemu państwu. Dotyczy to w każdym razie tego nurtu, który działa pod auspicjami Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury, któremu przewodniczy, jak wiadomo, słynny przodownik pracy z epoki murarskich trójek, Michał Krajewski.

Jest to twórczość zawierająca w sobie pewien klasowy wyróżnik, a przy tym, w swoich wybitniejszych osiągnięciach, pełnowartościowa artystycznie, o czym mogło się przekonać dość liczne grono dziennikarzy, uczestniczących niedawno w blisko trzydniowym spotkaniu w podstołecznych Radziejowicach. Była to jakby nieformalna kontynuacja łódzkiej (notabene pionierskiej) debaty z listopada ub. roku, inspirowanej wówczas przez wojewódzkie organizacje partyjne Łodzi i Katowic. Różnica polegała nie na tym, że organizatorami radziejowickiej imprezy było wspomniane już Stowarzyszenie (RSTK) i kluby twórcze Zarządu Głównego Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL, lecz na dominującej roli twórczych prezentacji w programie obrad — czy to we własnym wykonaniu autorów, czy też inscenizowanych przez warszawski Teatr Zwyczajny, o którym później. Istotne było bowiem to, że dyskusje i rozmowy, dzięki odwoływaniu się do konkretnych utworów literackich, nabierały rumieńców życia, choć nie obyło się oczywiście bez teoretycznych referatów wprowadzających.

Termin — twórczość robotników należy rozumieć najdosłowniej. Ci autorzy, z którymi mieliśmy możność się zetknąć, zatrudnieni są lub byli przez długie lata na robotniczych stanowiskach pracy (od górnika, przez włókniarkę, po majstra budowlanego). Utrzymują się też głównie z pracy fizycznej, a twórczość literacką uprawiają w czasie wolnym od wykonywania zawodu. Nietrudno się też domyślić, że są to ludzie o wykształceniu przeważnie podstawowym (w starszym pokoleniu było ono zwykle niepełne), rzadziej średnim zawodowym. Formalnie działają oni na statusie czysto amatorskim, co jednak w odniesieniu do twórczości, zwłaszcza chyba literackiej, do której prowadzą tak przeróżne drogi, jest określeniem nieprecyzyjnym i po prostu bałamutnym. Sugeruje bowiem w każdym przypadku twórczość mniej „kwalifikowaną" artystycznie, niż nawet w wypranych z talentu utworach, jakie przecież nierzadko wychodzą spod pióra „zawodowców", zrzeszonych w związku twórczym. Zresztą, iluż „zawodowych" pisarzy żyje u nas z pióra...

Można by również mylnie sądzić, że przynależność do Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury, nie będącego związkiem twórczym (jak np. ZLP), ale ułatwiającego swoim podopiecznym druk we własnej prasie i we własnej oficynie sprzyja kultywowaniu grafomanii na zasadzie towarzystwa wzajemnej adoracji. Okazuje się jednak inaczej. Dążeniem Stowarzyszenia, jak i samych robotniczych twórców jest nieustanne doskonalenie warsztatu artystycznego, poszerzanie horyzontów myślowych i ściśle artystycznych przez oceny i dyskusje, bez stosowania taryfy ulgowej.

Inna rzecz, że szanse opublikowania książki w „normalnym" wydawnictwie i na „normalnych" prawach (bez np. nadruku: „Autentyk") nie są zbyt wielkie dla tych, co jawnie występują pod szyldem swojego Stowarzyszenia. Mogą wtedy usłyszeć, jak to się już zdarzało: „Jakież to robotnicze wiersze, skoro niczym się nie różnią od prawdziwych? Jakaż to robotnicza proza, w której autentyzm nie można uwierzyć, skoro w dialogach nie spotyka się prawie wulgarnych słów?"

Stowarzyszenie dąży konsekwentnie do tego, by pomagać każdemu, kto ma talent, w osiągnięciu poziomu „zawodowca", a jeśli się uda, to i w uzyskaniu przez niego członkostwa związku twórczego, co nie musi oznaczać, jak podkreślano w rozmowach, zmiany zawodu — z robotniczego na literacki. Uważa się w tym gronie (a przynajmniej tak się głośno mówi), że stały kontakt z pracą na stanowisku robotniczym i utrzymywanie koleżeńskich więzi z ludźmi swojego środowiska zapewnia robotniczym twórcom dostęp do określonych wartości, których nie znajdzie się tak łatwo gdzie indziej, a na tyle cennych i oryginalnych, że wzbogacają one w istotny sposób literaturę ogólnonarodową. Tą wartością jest zarówno sam temat pracy, widzianej niejako od wewnątrz, przez przeżycie jej doświadczeniem na własnym ciele, jak przede wszystkim etos pracy, który stanowi najistotniejszy wyróżnik twórczości robotników.

Ma to — jak sądzę — niewiele wspólnego ze spotykaną nieraz u pisarzy inteligenckiego pochodzenia idealizacją pracy, z fascynacją jej pięknem, odbieranym z bezpiecznego dystansu na sposób artystowski. I myślę, że coś w tym jest, że mianowicie w spojrzeniu ludzi tego środowiska trud pracy fizycznej uzyskuje swój właściwy wymiar, jako nieubłagana konieczność, będąca jedynym źródłem utrzymania, ale i drogą do pozyskiwania sobie uznania i szacunku otoczenia. Nigdzie też poczucie więzi produkcyjnej, ścisłego uzależnienia efektów pracy i zarobków od racjonalnego współdziałania z innymi nie jest z natury rzeczy tak silne, jak tutaj, zwłaszcza wśród robotników wielkoprzemysłowych.

Czy odbija się to w twórczości robotników tak zdecydowanie i bezpośrednio? Powiedziałbym, na podstawie pewnych przykładów, że ten ton jest słyszalny, a jeśli nie przytłumia on innych uczuć i emocji, to tym lepiej dla tej literatury, której nie powinny być obce aspiracje ogarniania całej złożoności życia, rejestrowania całej skali ludzkich przeżyć. Zetknęliśmy się z bardzo osobistymi i przejmującymi przykładami liryki miłosnej, z niezwykle wrażliwie odczutymi, ale bez roztkliwiania się nad sobą, zagrożeniami życia w górniczej pracy, ale także z lapidarnie ujętymi utworami satyrycznymi, które świadczyły o doskonałej obserwacji ludzkich przywar. Ale, co ciekawe i pozornie może paradoksalne, mieliśmy też znacznie mniej udane próbki prozy powieściowej, jakby świadczące o tym, że o ile autentyczne, silne przeżycia dość spontanicznie przebijają się w utworze lirycznym (jeśli jest talent), o tyle trudniej jest bez odpowiedniego doświadczenia literackiego, bez warsztatowej świadomości uporać się z materiałem epickim.

Nieocenioną przysługę oddają literackiej twórczości robotników inscenizacje Teatru Zwyczajnego, działającego w RSTK formalnie od września 1981 roku. Wcześniej jednak, bo już w maju 1980, grupa aktorów warszawskich przygotowała montaż poezji robotników zrzeszonych w Warszawskim Robotniczym Klubie Literackim, któremu patronowała Warszawska Rada Związków Zawodowych, co świadczy o tym, iż wśród części aktywu byłych związków branżowych dojrzewała idea popierania czy może także inspirowania twórczości literackiej robotników. Montaże przedstawione przez zespół Teatru Zwyczajnego, w obecności autorów, stały się doskonałą okazją do rozmów i przemyśleń dla wszystkich chyba uczestników spotkania w Radziejowicach, zwłaszcza, że podawano utwory z wielką dbałością interpretacyjną. Znakomicie! Warto więc, żeby może kiedy ten teatr i do nas zaprosić...

Jednym z silniejszych wrażeń, żeby nie powiedzieć — zaskoczeń, jakich doznałem w kontakcie z robotniczymi twórcami, były ich wypowiedzi na tematy literackie i komentarze na temat własnej twórczości. Gdyby ktoś nie wiedział, że wypowiadają się ludzie o niepełnym nieraz wykształceniu podstawowym, musiałby dojść do wniosku, na podstawie treści i formy wystąpień, że ma przed sobą inteligentów, co najmniej z maturą uzyskaną w trybie stacjonarnym. Jeśli dzielę się tym — być może naiwnie brzmiącym — spostrzeżeniem, to dlatego, że jak mi się wydaje, oprócz tradycyjnego rozróżniania twórczości zawodowej od amatorskiej, radykalnej rewizji wymaga także zasadność rozróżniania robotnika od inteligenta wyłącznie na podstawie rodzaju wykonywanej pracy zawodowej. Tu robotnik-inteligent, tam niekiedy półinteligent z dyplomem... Zawartość tych szufladek już się po części wymieszała, ale otwieramy je automatycznie, kierując się mylącymi etykietkami.

Warto jednak sobie to uświadomić, żeby docenić znaczenie i rosnącą rolę tego, co nazywamy kulturą robotniczą w formowaniu się nowych jakości kultury ogólnonarodowej. Oby biurokratyczne zapędy z jednej strony, a anarchistyczne tendencje z drugiej nie oddziaływały na ten proces hamująco.

JERZY KWIECIŃSKI

POTOMKOWIE LONDONA!

Czy Maksym Gorki, Jack London, Lucjan Rudnicki i Marek Hłasko byli pisarzami robotniczymi? — Takie retoryczne pytanie nasunęło mi się po pierwszym czytaniu artykułu Jerzego Kwiecińskiego pt. „Sercem i talentem..." Przyjmując kryteria stosowane przez robotnicze stowarzyszenia artystyczne i bezkrytycznie przejęte przez Jerzego Kwiecińskiego — tak! Byli robotnikami, nie mieli wykształcenia, pisali. Jako szczególnie utalentowani zostali „profesjonalnymi" literatami.

Otóż literatura nie dzieli się na robotniczą, chłopską, inteligencką. Gdyby takie podziały potraktować poważnie mielibyśmy jeszcze literaturę kelnerską (Worcel), lekarską (Lem, Lutowski itd.) i parę innych, „zawodowych". Nieporozumienie, na podstawie którego tzw. pisarze robotniczy, a za nimi Jerzy Kwieciński tworzą mit odrębnej, wręcz „klasowej" literatury robotniczej polega na zastosowaniu anachronicznej stratyfikacji społecznej i anachronicznego nazewnictwa.

Co dziś znaczy pojęcie „inteligent"? Po prostu nic. Desygnatem tego słowa był jeszcze pięćdziesiąt lat temu człowiek o co najmniej średnim wykształceniu, zajmujący się pracą umysłową. Miał w społeczeństwie rolę i pozycję szczególną, co wynikało głównie z niewielkiej ilości ludzi wykształconych. Kto dziś jest inteligentem? Panienka z pocztowego okienka, absolwentka liceum ogólnokształcącego, czytająca wyłącznie kryminały, która nigdy w życiu nie była w filharmonii? A może mój znajomy nauczyciel polonista, absolwent WSP, którego jedyną lekturą jest tygodnik „Motor"?

Co dziś znaczy pojęcie „robotnik"? Pracownik fizyczny? Nawet wtedy, kiedy jego fizyczny trud ogranicza się do naciskania dźwigni i guzików skomplikowanej obrabiarki? A Jerzy Kwieciński daje się na to nabrać... Pisze „...Gdyby ktoś nie wiedział, że wypowiadają się ludzie o niepełnym nieraz wykształceniu podstawowym, musiałby dojść do wniosku na podstawie treści i formy wystąpień, że ma przed sobą inteligentów, co najmniej z maturą, uzyskaną w trybie stacjonarnym" (Dalej zresztą Kwieciński przyznaje się, że jest to spostrzeżenie naiwnie brzmiące...).

Kwieciński udaje, że nie wie, iż klasa robotnicza już w dziewiętnastym wieku wytworzyła warstwę tzw. inteligencji robotniczej. Byli to działacze ruchu robotniczego, działacze polityczni i oświatowi, na ogół zdobywający wiedzę w trybie samouctwa. Jednym z najbardziej oczytanych ludzi, jakich udało mi się poznać w życiu, był mój stryj — stolarz z Tomaszowa Mazowieckiego, działacz SDKPiL.

Ostatnie nieporozumienie terminologiczne to „pisarz profesjonalny". Wiadomo, że malarzy, aktorów, muzyków, filmowców szkolą specjalne uczelnie. Nie ma uczelni, która kształci pisarzy. Amatorami byli Puszkin, Szekspir, Dante, Mickiewicz. Pisarzy zawodowych nie ma wcale! Jak to ktoś powiedział, „poetą się bywa". Ci którzy bywają częściej i z lepszym skutkiem, mogą nawet nieźle żyć z pióra, tym niemniej ani legitymacja związku literatów ani nawet literacka Nagroda Nobla nikomu nie nadaje statusu zawodowca w dziedzinie literatury. Żaden pisarz nie ma dyplomu literata raz na zawsze, dyplomu, którego nie musi weryfikować każdą nową książką, każdym opowiadaniem, każdym wierszem.

Nie dajmy się zwariować. Tego zwierzęcia nie ma. Twórczość literacka jest aktem dokonywanym w samotności. Poza związkiem literatów i poza robotniczym stowarzyszeniem literackim. Opublikowane dzieło literackie jest samym w sobie fenomenem, który — może lecz nie musi — wzbogacać kulturę narodową bez względu na to, czy jego autor na co dzień siedzi za biurkiem, w literackiej kawiarni czy też obsługuje koparkę.

Robotnicze stowarzyszenia twórcze, czy tygodnik „Twórczość robotników" spełniają niewątpliwie pożyteczną rolę, kiedy organizują warsztaty i seminaria dla początkujących twórców, kiedy ułatwiają debiut itd., itp. Prowadzą jednak niebezpieczną grę, kiedy przeciwstawiają twórczość robotników twórczości „profesjonałów", kiedy próbują znaleźć w literaturze jakieś specjalne, uprzywilejowane miejsce dla piszących robotników, kiedy z premedytacją, głosząc hasła otwarcia literackiego getta, same się w getcie zamykają.

A najgorzej jest — takie tendencje też się nieśmiało zarysowują — kiedy „robotniczość" tej twórczości usiłują przedstawić jako „klasowość" z wszystkimi tego konsekwencjami. No bo jeśli klasa robotnicza jest przodującą siłą narodu, to i twórczość robotników jest bardziej wartościowa od twórczości zgniłych, inteligenckich liberałów, to pisarzom-robotnikom należą się przywileje itd., itp.

Maksym Gorki, Jack London, Lucjan Rudnicki i inni przewracają się w grobach...

ANDRZEJ KAROLCZAK

NIEMELDOWANE

Szanowny Panie Redaktorze:

Ograniczony miejscem, Roman Kubiak tylko jednym zdaniem mógł wspomnieć o wykorzystywaniu pinczerów i terierów do zwalczania szczurów w portach W. Brytanii („Odgłosy" nr 9/84: „Niemeldowane"). Warto zwrócić uwagę, że do tych celow wykorzystywać można jamniki, i to z lepszym powodzeniem. Do roli szczurobójcy jamnik jest „jak stworzony" fizycznie i psychicznie — ponad 20-krotnie cięższy od szczura, z „wilczastą" tj. długą, mocną i chwytną paszczą, zwinny, sprytny, łatwo uczący się na własnych błędach, bojowy lecz „obliczający" szanse! Ma wrodzony odruch ostrego uderzenia („zamiatania") ofiarą o ziemię, wymiatając z niej ducha błyskawicznie a dokumentnie.

Szczególnie dobrymi szczurobójcami są jamniki szorstkowłose (piękne „paskudy", szkoda że tak rzadkie w Polsce!) — używane do tych celów w niektórych laboratoriach i ogrodach zoologicznych. Ciekawe, czy i w łódzkim ZOO znajduje się jamnik, uśmiercający szczury na karmę dla innych zwierząt?

Jednak i najlepszy jamnik nic nie zdziała przeciw watasze szczurów; jeśli nie salwuje się w porę ucieczką — zostanie w mgnieniu oka obrany z mięsa do kości. Na szczury, w istocie rzeczy, nie ma rady. **One muszą być!** Chodzi o to, aby nie było ich zbyt wiele. Ponieważ każda metoda walki ze szczurem jest zawodna — jako produkująca „super-szczura" w konsekwencji, przeto każda jest dozwolona i wskazana. Gdyby przeprowadzić odpowiednie badania i kalkulacje, to może okazałoby się, że jest wysoce opłacalne korzystanie z usług psa przy próbach utrzymania szczurzej populacji „w rozsądnej normie" na danym terenie (dom, magazyn, restauracja, szpital)?

Tu w charakterze ciekawostki podam, że w 1966 roku w łazience mieszkania na III piętrze wieżowca przy ul. Przyszkole znalazłem zewłok szczura. „Wykończył" go pudel. Ciarki chodzą po grzbiecie na myśl, co taki szczur mógł zrobić z mieszkaniem, gdyby nie „darmozjad" zwany psem. Bo za szczurem pierwszym, zawiadowcą, niechybnie ściągnęliby jego pobratymcy.

Opisy dżumy na nikogo nie działają. Nikogo nie wzruszą awarie kabli. Może pobudzi wyobraźnię widok szczurzych ślepków, nakierowanych na nas z wywietrznika grawitacyjnego w kuchni lub z muszli w ubikacji?

Ani jedno, ani drugie nie grozi temu, kto ma jamnika w domu. Lecz powiadają że temu, co ma jamnika czy innego psa, grozi bąblowiec. Przeto niech już każdy sam wybiera dla siebie pomiędzy kijem a pałką — mimo wszystko pamiętając o losach króla Popiela, który miał do czynienia t y l k o z myszami.

JAMNIK

PS.: Zamysłowi serialu „Niemeldowane" należy przyklasnąć! Insekty i gryzonie są wśród nas — a wraz z nimi kolosalne zagrożenie zdrowia i miliardowe straty ekonomiczne. Jest ich dużo. Będzie więcej, jeżeli nie uderzymy w dzwon alarmu.

MAKS

Lektura „Niemeldowanych" R. Kubiaka w ostatnich numerach „Odgłosów" przypomniała mi następującą historyjkę:

We wczesnych latach pięćdziesiątych, moich latach studenckich, miałem często przyjemność bywać w domu doktora V., ojca jednego z kolegów. Senior V. był zażywnym pyknikiem o niezmiennie pogodnym usposobieniu. Nadto był znakomitym gawędziarzem. A z racji swego wieku i losów — miał o czym opowiadać.

Któregoś razu zebrało mu się na wspomnienia z czasów swojej działalności w służbie sanitarnej Lwowa. Otóż — do obowiązków jego należało między innymi przeprowadzanie kontroli — jak byśmy to dziś powiedzieli — „punktów zbiorowego żywienia", czyli inaczej — po prostu jadłodajni i restauracji.

Pewnego dnia kolej przypadła na jeden z lepszych, jeśli nie najlepszy lokal we Lwowie. Przyjęto go tam z odpowiednimi honorami i zaczęto oprowadzać, zgodnie z życzeniem, po różnych pomieszczeniach gospodarczych, bo wizytowanie części restauracji przeznaczonej dla gości — sal, bufetu itd. — byłoby oczywistą stratą czasu. W t y c h pomieszczeniach nie mogło być antysanitarnych warunków!

A więc — kuchnia, położona tuż obok niej zmywalnia naczyń, potem różnego rodzaju magazyny, obieralnia ziemniaków i warzyw.

Nie było żadnych zastrzeżeń.

Pozostało tylko pomieszczenie, w którym przygotowywano tzw. zimny bufet, a więc sałatki, półmiski wędlin, śledzie i różne jeszcze przystawki, o których raczej pojęcia nie mamy. Tu też w ł a ś c i w i e zastrzeżeń nie było.

I w ostatniej niemal chwili doktor V. odniósł wrażenie, że jednak coś jest nie w porządku! Rzeczywiście — na półce umieszczonej tuż pod sufitem, w rogu pomieszczenia — siedział spokojnie d o r o d n y s z c z u r!

— Panowie! Co t o jest?

— Co takiego?

— No — t o!

— Aaaa — t o! To jest M a k s! Bardzo spokojny...

W dalszej rozmowie doktor V. dowiedział się, że Maks i pracownicy pomieszczeń gospodarczych żyją w doskonałej komitywie. Maks ma codziennie serwowane jedzenie i niczego innego nie rusza. Jest za to gwarancja, że żaden inny „n i e w y c h o w a n y" szczur nie przekroczy granic terenu Maksa i nie narobi szkód. Nie ma również kłopotu z myszami. Jednym słowem — obopólne korzyści i niemal sympatia!

Doktor V. był powściągliwy i nie chciał powiedzieć, jak zakończyła się ta historia. Jak sądzę jednak — jako człowiek światły i nie pozbawiony wyobraźni — przyjął te nietypowe wprawdzie, lecz zgodne z inteligencją i naturą szczurów układy. Zresztą — nie wiem i głowy sobie za to uciąć nie dam. Ostatecznie — przecież tylko słuchałem opowieści...

Żeby to tak można też z opisywanym przez p. Kubiaka robactwem! Lecz — niestety. A jak jeszcze dopuścić do siebie myśl o opanowaniu świata na przykład przez mrówki? O mutantach, chrzęszczących organami wewnętrznymi, naszpikowanymi metalami i odpornych na wszelkie trucizny...?

Brrrr...!

A. AFELT

Dla naszej pani to ja bym sobie nawet uszy umył

IWONA SOKÓŁ

Dobrze, już dobrze — zaraz wstanę.

— Nie mógłbyś tak budziku spóźnić się chociaż raz pięć minut? — Zdążyłby człowiek wejść do tego morza, a ty przy samych wydmach terkoczesz. Wiem, wiem grudzień to nie czas na sny o wakacjach.

— Nie denerwuj się, widzę, że już po szóstej — nic się nie stanie przecież, jeśli śniadanie przygotuje dziś sobie każdy sam. Tylko, że wtedy resztka świątecznej szynki nie dotrwa nawet do kolacji. Trzeba ją kroić cienko, a kto ma na to czas? — oczywiście mama.

— Mleka znów nie przynieśli, a po herbacie zostało tylko wspomnienie — może zapolować na nią w Centralu? Tylko jak to zrobić, kiedy po kilku lekcjach nogi są takie ciężkie?

Trzeba obudzić Tomka — niech sam wyciąga z łóżek dzieciaki i tłumaczy, że dłuższe wylegiwanie nie wchodzi w grę.

Zaraz zacznie się marudzenie i przekonywanie o wyższości wagarów nad dwoją z klasówki.

— Co odpowiedzieć Ance, która ślęczała nad książkami do późna i znów nie zdążyła? Tłumaczyć, że program przeładowany? Ciekawe, co opowiadają mamy maluchom z mojej pierwszej klasy, kiedy te ryczą rano, że chcą się bawić, a muszą przez pięć lekcji siedzieć w ławce.

Dobrze, że zdążyłam narysować na dziś kilka kolorowych plansz — zawsze to jakieś urozmaicenie.

Na matematyce potrzebny będzie grafoskop — trzeba przytargać go z trzeciego piętra, ale przyda się bardzo.

Potem jeszcze „muzyka" — na szczęście są taśmy, magnetofon też się przyniesie z pracowni historycznej.

Przerwy będą znów zajęte, ale czy można wymagać, żeby w każdej sali były wszystkie pomoce?

Zaraz bym usłyszała, że w innych szkołach nie ma co marzyć o takich luksusach, jak ruchomy alfabet czy diaskop. — Rzeczywiście, udało się nam — mamy sporo i pewnie dlatego żądanie szczelnych zasłon na okna jest już po prostu fanaberią.

Stare, porysowane tablice, brak plansz do ćwiczeń, szafek dla dzieci, oddzielnej sali do ćwiczeń przy muzyce to też podobno nie problem.

— Adasiu wychodź wreszcie z łazienki, bo znów się spóźnisz. — Anka, gdzie masz rękawiczki? Zostały w autobusie? — to zakładaj te pocerowane.

— Trzeba już wychodzić — tramwaje pewnie jak zwykle jeżdżą „stadami", a w szkole nikt z dzwonkiem nie czeka.

Pierwszy „polak" a maluchom kleją się oczy — Małgosia chce bajkę, Krzyś autorytatywnie stwierdza, że dziewczyny są głupie i najlepiej niech pani poczyta o samochodach, Piotruś ma wszystko w nosie — dostał wczoraj na urodziny czołg i jeśli natychmiast nie wróci do domu to mały braciszek rozbierze go na części.

— Dzieci, jakie to literki? — K, O, T — bardzo dobrze. — Agnieszko, połącz je i przeczytaj cały wyraz — K, O, T. — Popatrz, co to za zwierzątko? — kot, a co tu jest napisane? — K, O, T.

— Nie da rady, trzeba posiedzieć z małą dodatkowo, przyda się to też Magdusi i Jackowi.

Gdyby tak w klasie było mniej uczniów, ale jest ich prawie czterdziestka i pracuj tu indywidualnie!

Dzieci z zaburzeniami percepcji wzrokowej, słuchowej, z lateralizacją ciągle przybywa, a lekcji tylko dla nich poświęcać nie można. Pozostają godziny dodatkowe, kółka wyrównawcze i święta cierpliwość.

— Wczoraj usłyszałam w autobusie, jak to nauczyciele dostają pieniądze za nic — co to jest 18 godzin pracy w tygodniu? I jak tu wytłumaczyć, że to tylko teoria?

— Nikt nie wierzy, bo co znaczą zajęcia pozalekcyjne, zebrania, wywiadówki, sprawdzanie zeszytów, klasówek, konspekty do lekcji?

— A te pieniądze za „nic"? Po dwudziestu pięciu latach pracy dostaję co miesiąc około dwunastu tysięcy i takie ze mnie skąpiradło, że nie chcę nawet kupić sobie samochodu. W dodatku od dziewięciu lat mam ten sam płaszcz — na wywiadówki przychodzę zawsze wcześniej, żeby rodzice nie zauważyli, jaka sknera wychowuje ich dzieci.

Z męża też lepszy gagatek — zachciało mu się „profesorowania" w technikum i tak zdziwaczał, że nawet nie chce kupić dzieciom magnetofonu, ale pożyczkę na malowanie mieszkania wziąć umiał. Taki delikatny — nie podoba mu się ten sympatyczny grzybek na ścianie.

Remont za kilka dni — chyba trzeba będzie wynieść się ze sprawdzaniem klasówek do piwnicy.

Dzisiaj można jeszcze posiedzieć w kuchni, tylko najpierw zakupy i obiad.

— No tak, w mięsnym znów błyszczą haki, obok jest mleko, a może by tak naleśniki? Zupa została od wczoraj, jeszcze tylko kompot i obiad gotowy.

Teraz sprzątanie — ależ bałaganiara z tej Anki — ona nazywa to artystycznym nieładem. Pewnie przydałby jej się oddzielny pokój, a nie ta wnęka za zasłonką. W spółdzielni myślą nad tym od kilkunastu lat i wiedzą co robią — nie wolno młodych rozpuszczać, bo wejdą nam na głowę. Adaś też to rozumie i bez gadania rozkłada codziennie w kuchni swoją „amerykankę".

— No tak, zapomniałam o dzisiejszej zbiórce zuchowej, a dzieciaki zaraz przyjdą. — Wystarczą trzy minuty spóźnienia i klasy nie poznam.

— Krzysiu, co ty wyprawiasz, gdzie twoje guziki?

— Proszę pani, ja mu mówiłam, ale on nikogo nie słucha.

— Głupia jesteś, dla naszej pani to ja bym sobie nawet uszy umył.

— A ja bym zjadła kalafior.

— Dzieci, spokój. I jak tu ich nie lubić?

Czasem są nieznośne, nie wiedzą ile wysiłku kosztuje ich panią opanowanie. Często chce się wytargać za uszy, a trzeba tłumaczyć, uśmiechać się, bo inaczej będzie płacz i wciąganie do klasy na siłę.

Teraz jeszcze chętnie tu przychodzą, a kiedy nie mogą wysiedzieć w ławce, to pani pozwala poskakać, pośpiewać.

W szkole można też rozwiązywać zagadki — nie wiedzą, że za tym słowem kryje się program — ciągle zmieniany i w dalszym ciągu przeznaczony dla tych najzdolniejszych. Trzeba przekazywać go w formie zabawy, bo tylko tak udaje się dzieciaki zainteresować. Oznacza to oczywiście codzienne ślęczenie nad książkami, wymyślanie ciągle nowych sposobów na przedstawienie materiału. Dobrze, że zmniejszono ilość godzin pracy w szkole — nie trzeba już siedzieć codziennie do późnych godzin nocnych. Co zrobić jednak, kiedy ciągle brakuje do pierwszego? Pozostają godziny nadliczbowe i znów klasówki sprawdza się kosztem snu.

Nie każdy to wytrzymuje — najczęściej wysiada gardło, serce, pojawiają się choroby systemu nerwowego, żylaki.

— Mnie też to dotyczy i dlatego w tym roku koniec z „nadliczbówkami". Anka wie już, że wiosną będzie znów chodzić w rozdeptanych butach i nawet nie marudzi. Kupiła bilety do teatru na sobotę „żeby mama zapomniała o smutkach".

— Pójdę, ale wielkie pranie trzeba będzie przełożyć.

W poniedziałek zebranie metodyczne dla nauczycieli klas pierwszych — należałoby się przygotować, tylko jak dotrzeć do lektury?

Bezustannie trzeba szukać, pożyczać i nikogo nie obchodzi, że książek i czasopism jest tak mało — ciągle słyszymy tylko — nauczyciel ma być z literaturą fachową na bieżąco.

— Uczyć można się podobno w wakacje. Mnie się to jeszcze nie udało — każdego roku wyjazdy na kolonie, obozy, wczasy były, to prawda — siedem lat temu.

Najbardziej przykre są wrześniowe spotkania z uczniami, rozmowy o spędzonych wakacjach, kiedy słucha się o Morzu Czarnym, Balatonie, a w moich oczach wirują szeregi „kolonistów", w których maszerowały także moje dzieci.

Po wakacjach słychać wśród uczniów pytanie — gdzie byłeś na wczasach? Wśród nauczycieli — byłeś gdzieś?, jak ci na to starczyło?

Była przecież podwyżka pensji — powiedziałby pan z autobusu. Oczywiście, tylko, że zjadły ją nowe ceny i w szkole nikt się nie dziwi, że fizyczka, która przepracowała tu tylko trzy miesiące ucieka, bo nie widzi możliwości uzbierania pieniędzy na zakup wózka dla przyszłego dziecka. Pracę określa jako „orkę na ugorze" i myśli o kwiaciarni teścia. A my, którzy „orzemy" od wielu, wielu lat?

— Zostaniemy, bo Piotruś umyłby sobie przecież dla nas nawet uszy.

Wszyscy zadowoleni z wyjątkiem kasjera

Pojawia się co roku jak epidemia grypy. Błyszczące oczy, gorączkowe szepty, pałające policzki. Delegacja do dyrekcji. Chwila niepewności — czy się zgodzą? I tryumfalny okrzyk gdzieś na korytarzu. Będzie studniówka!

Wrzenie w rodzinach.

— Ile to będzie kosztować — pytają tatusiowie, z westchnieniem łapiąc się za serce, gdzie spoczywa ostatni zaskorniak.

— W co ja cię ubiorę — wzdychają mamusie, rozpoczynając przegląd kuponów materiału, które udało się wystać w Centralu.

ZEBRANIE

Dyrekcja zwołuje zebranie zainteresowanych stron. Rozpoczyna się przemowa o tradycji, o potrzebach młodego pokolenia. Pod koniec przychodzi do konkretów (widoczne ożywienie na sali). Owszem, studniówka się odbędzie, ale pod pewnymi warunkami.

Po pierwsze: niech komitet rodzicielski wyłoni ze swego grona komitet organizacyjny studniówki. Ustali koszty, zbierze pieniądze itd. Szkoła nie ma czasu ani możliwości zająć się tymi sprawami.

Po drugie: sama studniówka niechaj odbędzie się poza terenem szkoły. Jest wiele przyczyn, dla których podejmuje się taką decyzję, ale najważniejsze jest to, że w roku ubiegłym zorganizowano bal w zaprzyjaźnionym zakładzie i wszyscy byli zadowoleni.

Po trzecie: uczniowie pod dozorem wychowawców wykonają dekoracje i przygotują program artystyczny. W szkole na studniówce zawsze jest program artystyczny.

I po czwarte: na studniówkowym balu pod żadnym pozorem nie wolno spożywać alkoholu. Zakaz ten dotyczy wszystkich. Dyrekcja już raz się sparzyła, pozwalając na oficjalne popijanie. Tym razem wobec nie stosujących się do tego zarządzenia będą wyciągane jak najdalej idące konsekwencje.

PRZYGOTOWANIA

Na miesiąc przed planowanym terminem zjawił się w zaprzyjaźnionym zakładzie komitet organizacyjny. Aby ustalić warunki urządzenia balu w zakładowym klubie, obszernym i dobrze wyposażonym. Poszło nadspodziewanie łatwo. Wszystko co szanowny i zaprzyjaźniony komitet sobie życzył, miało być od tej chwili bezzwłocznie spełniane.

Pierwsze zgrzyty w tak pięknie rysującym się obrazie powstały w stołówce. Kierowniczka stanowczo odmówiła zajęcia się studniówką.

— Muszę wyjechać do rodziny — oświadczyła. — A na waszej imprezie musiałabym siedzieć co najmniej kilkanaście godzin. To mi się w ogóle nie opłaca. A skoro mnie nie będzie, stołówka nie będzie czynna. Ja was samych tu nie wpuszczę.

Na takie dictum komitet przestał namawiać panią kierowniczkę. Poszedł do personelu stołówkowego, aby tam przynajmniej skaptować dla swych potrzeb jaką życzliwą duszę. Niestety, pracownice też nie okazywały chęci do zgarnięcia dodatkowego zarobku. Jednej pani zachorowało dziecko, innej mąż nie pozwala pracować po nocach. Nie zareagowały nawet na obietnicę pewnej podwyżki honorariów. Pracownicy klubu twierdzili, że pięć tysięcy to za mało na apetyt pani kierowniczki. I że z tego powodu zabroniła swym podwładnym brać tę pracę. Wiedząc, że bez stołówki impreza nie będzie mogła się odbyć, postanowiła w ten sposób zagrać na nerwach komitetowi. Chcą się bawić — niech płacą.

Te przepychanki ostro uciął dyrektor zakładu: — skoro nie chcą, nie będziemy ich zmuszać! Niech komitet organizacyjny zorganizuje „sekcję gastronomiczną", która zajmie się sprawami konsumpcji. Kierowniczka kuchni po prostu dostanie polecenie oddania kluczy. Nadzór obejmie jedna z pracownic administracji.

Ucięły się marzenia o złotym deszczu, który miał obsypać kucharki. Ucięły się kłopoty komitetu. Ale nie na długo.

„Opinia publiczna" życzyła sobie, aby impreza wypadła jak najświetniej. Przede wszystkim, aby jedzenia i picia było pod dostatkiem. I, oczywiście, w jak najlepszym gatunku. W końcu rodzice nie po to wydali furę pieniędzy, by ich pociechy zmuszone były do konsumowania zapyziałej kaszanki. Ale jak tu załatwić, na przykład, dobre wędliny? „Normalnie", czyli na lewo. Znalazły się jakieś układy, znajomości, innym udało się „przemówić do ręki". Najłatwiej poszło z pomidorami i ogórkami. Po prostu zapłacono odpowiednią sumę prywaciarzom.

Ale nie wędliny były przedmiotem największej troski. W tej najważniejszej, zdaniem niektórych rodziców, sprawie urywał się telefon u przewodniczącego komitetu.

— Panie! — mówili anonimowi przeważnie rozmówcy — czy pan chcesz, żeby dzieci matury nie pozdawały? Przecież jak nauczyciele nie wypiją, to powiedzą żeśmy dziady i kutwy.! Na dzieciach się potem będą mścić! Bez wódki impreza nie wyjdzie! Niech pan to zrobi dla naszych dzieci!

PRZED BALEM

Ostatnie przygotowania. Po jadalni przebiegają nerwowym krokiem mamusie z „sekcji gastronomicznej". Dostawiają, przesuwają, poprawiają. Panowie statecznym krokiem przechadzają się po hallu. Powołano ich do specjalnej komisji do spraw badania zawartości uczniowskich kieszeni.

Na pięć minut przed planowanym rozpoczęciem przybywa — niemal w całości — ciało pedagogiczne. Żąda dla siebie osobnego pokoju, zasiada tam uroczyście i czeka. Na jeszcze jedną Bardzo Ważną Osobę (VIP), bez której impreza rozpocząć się nie może. Przybyli skracają sobie oczekiwanie najnowszymi dowcipami, niektórzy biegają po salach sprawdzając gotowość, inni telefonują do domów przekazując pierwsze wrażenia. Pada kilka uwag o trudnościach w przygotowywaniu tak wielkiej imprezy. Dużo śmiechu wzbudza historyjka o tym, jak to młodzież w twórczym zapale zaanektowała cudze kostiumy i dekoracje.

— Śmiejcie się, śmiejcie — mówi wychowawczyni. — Ale co ja przez te dwa dni przeżyłam? Już myślałam, że przyjdzie mi za to płacić.

Ktoś daje znak, że VIP przybył. Urywają się rozmowy, a zaczyna gorączkowa krzątanina. Jedna z pań w pośpiechu kończy telefonowanie:

— ...no cześć, mamusku, kończymy. Muszę lecieć, bo już kieliszki nalane!

Zagrzmiały tony poloneza.

BAL

Nie ma tłoku na sali tanecznej. Przewidująca młodzież urządziła w co ciemniejszych zakamarkach „Ciche kąciki" i „Małpie gaje", gdzie, z dala od wścibskich oczu, można spokojnie pogadać o życiowych sprawach. Zresztą, nie tylko pogadać. Mimo odgórnego zakazu, mimo kontroli przy wejściu (powierzchownej zresztą i niestarannej) udało się przemycić butelki z „wodą rozmowną". Skutki tego widać na korytarzu, gdzie „zmęczeni" w stroju niedbałym zażywają wywczasu na zestawionych fotelach. Prostują się gwałtownie, gdy nadchodzi ktoś z „opieki". Trzeba zachować pozory. Chociaż tak naprawdę to nie wiadomo po co. Gdyż nawet ci, którzy na nic już nie reagują, otrzymują co najwyżej dyskretną reprymendę, wygłaszaną w przyjacielsko-ostrzegawczym tonie. Ot, aby smarkacze zanadto się nie rozbisurmanili, ale bez zbędnych sensacji. Po co zaraz robić afery.

Afer robić nie wolno, bo sytuacja jest nader delikatna. Wszyscy przecież wiedzą, co popija w butelkach po oranżadzie stół pedagogiczno-organizacyjno-opiekuńczy. Ale atmosfera jest pełna zrozumienia i wzajemnej życzliwości. Nikt z uczniów nie stara się nawet przechodzić tą stroną sali, gdzie stoi ów sławny stół. Zresztą, uczniom łatwiej udawać, że nie dostrzegają chwiejnego kroku, mętnych oczu i „płynnej" wymowy dorosłych. Nie są przytłoczeni obowiązkiem stania na straży spokoju, moralności i dobrego imienia... Wystarczy więc trochę taktu.

Ale nie ma się co łudzić. Młode oczy patrzą bystro. Z wrodzoną zręcznością wyłowią co trzeba, by przekazać to potem w domu czy w koleżeńskim gronie. Świadczą o tym dyskretne uśmiechy i porozumiewawcze mrugnięcia. Ale póki co, zabawa trwa.

PO BALU

Przewodniczący komitetu organizacyjnego bezsilnie upadł na fotel:

— Panie, ja już naprawdę mam tego serdecznie dość. Całe szczęście, że studniówka jest tylko raz. Przecież tu cholery można dostać!

Indagowany o przyczynę wzburzenia zapala się jeszcze bardziej:

— Banda złodziei! Własne dzieci okradli! Niech pan sobie wyobrazi, ukradli mi z magazynku cztery kg czekolady, najlepsze wędliny, masło. Na pomidorach też mnie oszukali. Jak sprawdziłem, ceny na rachunkach były zawyżone prawie dwukrotnie! Jak tak można...

Z tą wódką to też mnie załatwili. W końcu złamałem się i kupiłem trzydzieści butelek. Musiałem! Grozili mi! A pan by się nie złamał, jakby panu grozili, że wszystkie szyby w samochodzie wybiją?

Teraz trzeba będzie wszystko rozliczyć, pooddawać. A jak mam to zrobić, kiedy nie mam ani kim, ani czym? Przedtem jak przygotowywaliśmy całą tę imprezę, miałem do dyspozycji wszystko — ludzi, samochody. A teraz o nic doprosić się nie można! I po co ja się w to wszystko wpakowałem?

Gdybym wiedział, że tak będzie, palcem bym nie kiwnął, ale ja to robiłem i dla własnego dziecka.

STEFAN JÓŹWIAK

P.S W reportażu nie podaję ani nazwisk, ani nazwy szkoły. Czynię to rozmyślnie. Nie chciałbym bowiem narażać na koszty i nieuzasadnione pretensje te osoby, które w przygotowanie studniówki włożyły swe serce i kawał ciężkiej pracy. S.J.

Biurokracja po amerykańsku

Trzy miesiące załamania nerwowego". To właśnie obiecują weterani nowicjuszom, którzy instalują się dopiero w Stanach Zjednoczonych. Tyle bowiem czasu potrzeba, by uniknąć najważniejszych pułapek biurokracji, która należy do najbardziej rozwiniętych na świecie.

Biurokracja amerykańska jest molochem na skalę tego kraju. Z racji systemu federalnego nie ma zresztą jednorodnego charakteru. Ponieważ — w miarę postępu — jest coraz bardziej zinformatyzowana, tym samym też jest bardziej ślepa i głucha niż inne biurokracje. Jeśli dodamy do tego skrupulatne przestrzeganie przepisów, odziedziczone po anglosaskich przodkach, a także pewien strach przed tym, czego nie można przewidzieć, to otrzymamy system, który odznacza się właśnie surowością i niespodziankami.

Kiedy chciałam wynająć mieszkanie w Nowym Jorku, agencja — najwyraźniej nieufna w stosunku do cudzoziemców nie osiadłych jeszcze w tym mieście — zażądała ode mnie „poważnej kaucji". „Na przykład?" — zapytałam niewinnie. „O, jakieś 80 tys. dolarów, to chyba wystarczy". Uratował mnie pewien dziennikarz, mieszkający w Stanach Zjednoczonych od dwudziestu lat, w dodatku ożeniony z Amerykanką, który poręczył za mnie i zagwarantował, że zapłaci mój czynsz, gdybym sama nie chciała tego uczynić.

Kiedy wróciłam do USA z wakacji we Francji latem 1980 roku, znalazłam w obfitej poczcie pięć listów od różnych służb podatkowych — federalnej, miasta Nowy Jork, stanu Nowy Jork — które domagały się ode mnie różnych sum za ten sam okres. Trzeba było sześciu miesięcy zabiegów i dialogu głuchych, a także *pomocy eksperta*, by wreszcie zaprowadzić porządek w tym wszystkim.

Oficjalne zawiadomienia są na ogół poprzedzane grzecznościową formułką, że w wypadku zastrzeżeń należy zatelefonować pod numer... Numer ten jest jednak stale zajęty. Kiedy wreszcie ktoś podniesie tam słuchawkę, to mamy wszelkie szanse trafić na osobę — z pewnością pełną kurtuazji — która oświadczy nam, że jeśli żąda się od nas określonej sumy, to bez wątpienia sumę taką *powinniśmy zapłacić*.

Kiedy *zwróciłam się do oddziału zajmującego się* naprawą telefonów, zażądano ode mnie, bym podała nazwisko, numer telefonu i adres, a także kolor mego aparatu. Nie wierząc własnym uszom powtórzyłam ostatnie pytanie, a mój rozmówca potwierdził je drewnianym głosem komputera, bo okazało się, że połączyłam się z „myślącą maszyną".

Poczta, przytłoczona nawałem druków reklamowych nie jest w stanie zapewnić sprawnej obsługi. Często list krąży przez trzy dni z jednego krańca Nowego Jorku na drugi, a sześć dni potrzeba, by znalazł się po drugiej stronie Atlantyku, choć przecież połączenia powietrzne z Europą są codzienne i bardzo liczne.

Okres świąt powoduje dodatkowe zwolnienie tempa pracy tej ogromnej machiny, której wcale nie usprawniła informatyzacja. To chyba dlatego Amerykanie tak mało piszą i wolą korzystać z telefonów, jeśli chcą powiadomić o sobie rodzinę. Aby przyspieszyć obieg ważnych przesyłek trzeba było stworzyć specjalną pocztę powietrzną o niebywale wysokich opłatach.

Ten upadek poczty pozwala zresztą przeciętnemu Amerykaninowi, który jest fanatykiem inicjatywy prywatnej, na gwałtowne potępianie niekompetencji jednej z nielicznych państwowych służb federalnych.

„Wolne kraje" — w tym także W. Brytania — szczycą się tym, że nie mają ogólnokrajowego dowodu osobistego. Jednakże w przypadku ogromnych Stanów Zjednoczonych ten „przywilej" ma przedziwne konsekwencje, czasem zresztą niebezpieczne. ID czyli Identity Document, a więc coś w rodzaju dokumentu tożsamości, jest jednak obowiązkowy w przypadku pewnych operacji w życiu codziennym. Zazwyczaj stosuje się karty kredytowe i prawa jazdy, które są łatwe do podrobienia i na ogół pozbawione fotografii.

Bardzo trudno jest zapłacić czekiem w Stanach Zjednoczonych, zwłaszcza dlatego, że bardzo stare prawo federalne do niedawna zakazywało bankom otwierać własne filie w innych stanach. Powodowało to, że weryfikacja dokumentów tożsamości była bardzo trudna. Niektóre domy towarowe zgadzają się przyjmować czeki, jeśli przedstawi się dwa dokumenty tożsamości. W ten sposób jakiś łobuz mógł kupić artykuły u Maceya w Nowym Jorku za 500 dolarów, posługując się książeczką czekową i dwiema kartami kredytowymi, które mi ukradł.

Decentralizacja, która zaczęła się tuż po narodzinach Stanów Zjednoczonych i którą prowadzi się we wszystkich kierunkach pozostawia stanom, hrabstwom i gminom autonomię, z której tak bardzo dumni są Amerykanie ale która może doprowadzić do niezwykłych sytuacji, bo porządek publiczny, ograniczenia szybkości, sprzedaż alkoholi, dni świąteczne są w ten sposób przedmiotem decyzji podejmowanych na najniższym szczeblu i wszystko to jest zasadniczo odmienne w każdej części USA. Dla przykładu, rocznica śmierci Lincolna obchodzona jest jako dzień wolny od pracy na Północy, ale nie na Południu, bo tamtejsze stany nie przebaczyły mu zniesienia niewolnictwa.

Wina i alkohole można kupować na ogół w wyspecjalizowanych sklepach — nie w domach towarowych — poza pewnymi miejscowościami, gdzie panują wyjątkowo surowe obyczaje. W Dubois w stanie Wyoming założyciele tego miasta, szwedzcy luteranie zezwolili na sprzedaż alkoholu tylko w jednym barze. W zamożnej stolicy kraju mormonów, Salt Lake City trzeba przynieść własną butelkę — inaczej człowiek skazany jest na popijanie źródlanej wody nawet w najbardziej eleganckich hotelach.

Korzyści tego systemu, który powoduje, że stosunki między lokalnymi policjami są bardzo skomplikowane, polegają na tym, że jeśli naraziliście się szeryfowi ze stanu Iowa, to w niczym to nie przeszkodzi żyć w spokoju na Florydzie pod warunkiem, że będziecie unikali owego przeklętego stanu Iowa. Dzięki temu właśnie wielu przestępców może bez większych kłopotów uniknąć zastawionych na nich policyjnych sideł, jeśli nie popełnią „przestępstwa federalnego" — jest ich bardzo mało — bo to powoduje, że zainteresują się nimi agenci FBI.

Prawo jazdy — jedyny dokument tożsamości, jaki posiada przeciętny Amerykanin — jest przedmiotem zainteresowania wszystkich stanów. Uznają one ważność tylko tych praw jazdy, które same wydają. Biedny cudzoziemiec musi więc zabiegać o wydanie tego dokumentu i to pod warunkiem, że odda lokalnym władzom swe narodowe prawo jazdy. Jeśli tego nie chce uczynić — musi zdawać ponownie egzamin.

W Nowym Jorku egzamin łączy się z koniecznością długich zabiegów, nie kończącego się czekania w obskurnych urzędach w administracyjnej dzielnicy koło Wall Street. Godziny urzędowania są ograniczone, a funkcjonariusze skłonni do sadyzmu. Kiedy wolno wam wreszcie stawić się przed obliczem urzędnika, sadzają was przed maszyną elektroniczną, która rejestruje wasze odpowiedzi. Trzeba odpowiadać „tak" albo „nie", nie wolno podawać żadnych rozwiązań pośrednich. Trzy błędy eliminują was.

Ryzyko nie jest wcale małe, bo amerykański kodeks drogowy ma liczne subtelności, nieznane naszej stronie Atlantyku. O ile stóp można zatrzymywać się od ulicznego hydrantu? Te właśnie hydranty, używane przez straż pożarną, blokują najlepsze miejsca do parkowania. W jaki sposób poznać, że autostrada prowadzi w kierunku północ—południe, a w jaki w kierunku wschód—zachód?

Poruszanie się na drogach grozi także wszelkiego rodzaju niespodziankami. Odradzam każdemu samotną jazdę po autostradach amerykańskich, które nagle zmieniają swe nazwy i numerację i są *najeżone skrzyżowaniami i odgałęzieniami, przy czym drogowskazy umieszcza się zazwyczaj już po skrzyżowaniach*. Zresztą wasz pilot powinien być człowiekiem szczególnie doświadczonym w odczytywaniu map, bo te tylko w przybliżeniu oddają rzeczywistość. Pewnego razu, kiedy chciałam jechać na skróty, znalazłam się w szczerym polu i tylko według słońca odnalazłam właściwą drogę.

Można by zbić majątek, gdyby uzyskało się koncesję na odnowienie amerykańskiej sygnalizacji drogowej, która odpowiada tylko lokalnym warunkom i w większości pochodzi z epoki, kiedy jeszcze na drogach dominowały konie.

Obok tych nieoczekiwanych fantazji kraju szczycącego się superskutecznością, dobra stara Europa może wydać się czymś, co wyszło z mody. NEW YORK TIMES zalecał niedawno francuskim czytelnikom, by, jeśli chcą poznać Stany Zjednoczone, korzystali przede wszystkim z roweru. Uważajcie jednak, bo kodeks drogowy stosuje się także do was.

Wygląda jednak na to, że amerykańscy rowerzyści, zwłaszcza ci z Nowego Jorku, nie mają zupełnie pojęcia o tym kodeksie. Jest ich 35 tys. i codziennie ścigają się ze śmiercią „holendrując" w poprzek ulic, nieraz w kierunku przeciwnym niż jadą samochody. Wszystko to dzieje się przy całkowitej obojętności policjantów.

„LE MONDE"

Islam a przestępczość

Dokładnie w samo południe, 4 listopada, gdy tysiące wiernych wychodziło z meczetu Jamia, na pusty parking przed świątynią wjechał czarny samochód policyjny, wiozący mężczyznę i kobietę. Zatrzymał się w pobliżu płatu tektury, umieszczonego na chodniku.

Z samochodu wysiedli Ali Fakieh i Mouvira Sabie — obydwoje z opaskami na oczach i rękami związanymi na plecach... Niepewnie zbliżyli się do tektury i oczekującego tam człowieka — muskularnego potomka etiopskich niewolników, uzbrojonego w obusieczny miecz. Ścinając ich głowy tego dnia zarobi 350 dolarów...

Według relacji zachodnich obserwatorów i miejscowych dzienników, tłum zbił się, napierają na kordon policji. Mężczyźni w białych szatach, ojcowie trzymający za ręce dzieci, kupiec z dwoma sokołami przywiązanymi do ręki — stali ramię w ramię. W pełnej wyczekiwania ciszy. Ze znajdującej się nie opodal wieżyczki odezwał się wzmocniony przez głośniki śpiew — wzywano imienia Allacha i recytowano listę przewinień Fakieh i Sabiego.

Przed 15 laty — gdy liczyli nie więcej niż 20 lat — obrabowali i zabili człowieka. Najstarszy syn ofiary nie był jednak pełnoletni i nie mógł zaaprobować kary śmierci, bądź też skorzystać z prawa łaski wobec przestępców — co zgodnie z prawami islamu przyniosłoby im wolność. Czekali więc w więzieniu, dopóki ich oskarżyciel nie dorośnie i nie podejmie decyzji. Teraz najstarszy syn jest już pełnoletni i dokonał wyboru: „Powinni umrzeć".

Fakieh — jako mężczyzna — pierwszy musiał uklęknąć i nachylić się nad kartonem, jak w modlitwie. Jak wynika z relacji, pomocnik kata ostrym narzędziem dotknął jego żeber — ciało Fakieha wyprostowało się i w tym momencie spadł miecz. Tłum obserwował scenę z zapartym tchem, w absolutnej ciszy. W chwilę później połyskujący miecz — trzymany przez kata podobnie jak drwal dzierży siekierę — uderzył ponownie — zginęła Sabie. Podszedł lekarz, by stwierdzić oczywisty już fakt. Dwóch pomocników wrzuciło dwie głowy i dwa ciała na nosze, które umieszczono w ambulansie. Samochód odjechał; tłum powoli zaczął się rozchodzić. Muzułmańska sprawiedliwość została wymierzona...

Arabia Saudyjska jest jedynym krajem świata, gdzie kodeks karny jest oparty wyłącznie na „szarla" — kanonach prawa muzułmańskiego. Saudyjczycy nie posiadają konstytucji. „Szaria" stanowi system zakazów i nakazów, litości i okrucieństwa... Jest prawie nieznany i nie studiowany na Zachodzie, a stosowany system kar — jak np. publiczne egzekucje, obcinanie rąk czy chłosta — są często uznawane za przejaw średniowiecznego barbarzyństwa. Swym krytykom Saudyjczycy odpowiadają: tak surowe kary stanowią barierę, dzięki której Arabia Saudyjska może być uznana za kraj z najmniejszą liczbą przestępstw na głowę ludności. Znany ze swych licznych podróży minister handlu tego kraju, Soliman Solaim powiada: „Jeśli istnieje jeszcze jakiś inny bezpieczniejszy kraj, to przyznam się, że o nim nie słyszałem"...

Według oficjalnych danych, w 1982 roku, w Arabii Saudyjskiej — kraju zamieszkanym przez 7 mln ludzi — dokonano jedynie 14 220 większych i małych przestępstw. Dla porównania, w Los Angeles, mieście i okręgu liczącym także 7 mln ludzi, w 1982 roku aresztowano pod zarzutem popełnienia poważnych przestępstw 159 662 osoby. Mniejsze wykroczenia popełniło 339 837 mieszkańców. Popełniono tu 1.415 morderstw.

Najpopularniejszym przestępstwem w Arabii Saudyjskiej jest kradzież (30 proc. ogółu wykroczeń), picie napojów alkoholowych (22 proc.), włamania (20 proc.). W 1982 roku popełniono 97 zaplanowanych zabójstw i odnotowano 31 przypadków samobójstwa. Ministerstwo spraw wewnętrznych ocenia, iż winę za 39 proc. wykroczeń ponoszą zatrudnieni tu cudzoziemcy.

„Stosowanie zasad „szarii" nie jest popularne na Zachodzie, ponieważ jest sprzeczne z naszymi zasadami myślenia" — mówi Frank Vogel, amerykański prawnik, absolwent Fulbrigt, który pisze pracę doktorską z prawa muzułmańskiego. „My uważamy moralność i sposób postępowania za sprawę jednostki — Saudyjczycy uważają je za problemy społeczne, za które odpowiedzialne jest całe społeczeństwo".

„Dlaczego prawa „szarii" są tak skuteczne? Ponieważ w Arabii Saudyjskiej praktycznie nie istnieje przestępczość. Ile kobiet co roku zostaje zgwałconych w Stanach Zjednoczonych? Ile osób morduje się? Ile miliardów dolarów wydaje się na systemy alarmowe przeciwko włamaniom i inny sprzęt, zapobiegający przestępstwom? A oni obcięli kilka dłoni przestępców, by uniknąć tego koszmaru. Czy naprawdę można twierdzić, że właśnie oni są barbarzyńcami, a my cywilizowanym narodem?" — pyta Frank Vogel.

Nikt jeszcze nie udowodnił ponad wszelką wątpliwość, że istnieje ścisły związek między surowymi karami, stosowanymi w Arabii Saudyjskiej, a niską liczbą wykroczeń, podobnie jak nie udowodniono, że stosowanie kary śmierci w Stanach Zjednoczonych przyczyniło się do spadku liczby zabójstw.

Przeciwnicy oferują także i inne tłumaczenia: Większość Saudyjczyków to ludzie bogaci, tu nie cierpi się biedy, są moralni i religijni, wierzą też w słowa Koranu, iż nikt nie powinien pić alkoholu, kraść bądź też cudzołożyć. Saudyjczycy — wyznawcy dominującego w islamie odłamu sunnickiego — stanowią także tradycyjnie społeczność plemienną, o silnym poczuciu wspólnoty, naród, który wierzy w świętość rodziny i nienaruszalność ogniska domowego.

„Szaria" po arabsku oznacza drogę do wodopoju, a więc drogę do Boga. Zasadniczo różni się od zachodnich kodeksów prawnych, tym, iż — w teorii — nie została stworzona przez człowieka — jest boska, oparta na naukach Allacha, objawionych Mahometowi i naukach samego Mahometa z VII wieku. Ponieważ nie jest to kodeks prawny, sędziowie nie muszą brać pod uwagę innych podobnych przypadków ani też decyzji wyższych instancji.

Według saudyjskiego systemu, każdy podejrzany o dokonanie wykroczenia jest natychmiast aresztowany i zmuszony do złożenia oświadczenia, bez obecności obrońcy. Śledztwo przejmuje ministerstwo sprawiedliwości, które też podejmuje decyzję o poddaniu pod sąd. W czasie prowadzenia czynności śledczych, podejrzany przebywa w areszcie, w zatłoczonej celi, w której niejednokrotnie tłoczy się 60 lub więcej ludzi. W przeciwieństwie do Stanów Zjednoczonych, w saudyjskich więzieniach stosuje się o wiele mniej przemocy.

Saudyjscy sędziowie są rekrutowani przez ministerstwo sprawiedliwości spośród absolwentów wydziału prawa i są powszechnie szanowani za znaną nieprzekupność. Tylko oni podejmują decyzje o winie bądź ułaskawieniu i o karze. Procesy toczą się najczęściej przy drzwiach zamkniętych, w obecności najbliższej rodziny oskarżonego. Obrońcy nie uczestniczą w postępowaniu. Nie istnieje ława przysięgłych, kaucja czy też habeas corpus. Zgodnie z prawem muzułmańskim, podejrzany może przebywać w areszcie całe miesiące lub nawet lata, dopóki trwa śledztwo.

Zachodni obserwatorzy mimo wszystko są zaskoczeni sprawiedliwością i pewną uczciwością całego systemu, a także dyskrecją w wymierzaniu kary. Wszystkie wyroki muszą zostać osobiście zatwierdzone przez króla, a co roku wykonuje się tu nie więcej niż kilkanaście egzekucji. Wyrok skazujący zapada jedynie w przypadku, gdy oskarżony przyzna się do winy, bądź też świadkami przestępstwa są dwaj mężczyźni. Jeśli istnieje chociażby cień wątpliwości, sędzia wymierza niższą karę.

Ktokolwiek niesłusznie oskarża cnotliwą kobietę o popełnienie zdrady, zostaje skazany na 100 uderzeń bicza — o 20 więcej niż w przypadku picia alkoholu. Chłosta — wymierzana publicznie jak i wszystkie inne kary — ma poniżyć delikwenta, a nie zranić. Ofiara pozostaje w ubraniu, nie może dojść do przecięcia skóry, a kat podnosi narzędzie kary — wiotki, podobny do trzciny bicz — jedynie przy pomocy przedramienia.

Kara — podobnie jak i w innych społeczeństwach — oparta jest na zasadzie odwetu lub — jak głosi Koran — „dusza za duszę", oko za oko, nos za nos, ucho za ucho, ząb za ząb" — i strachu. Amputacje, jak mówi Koran, „stanowić będą hańbę na tym świecie, gdy jednocześnie na innym świecie oczekiwać będą o wiele poważniejsze kary"...

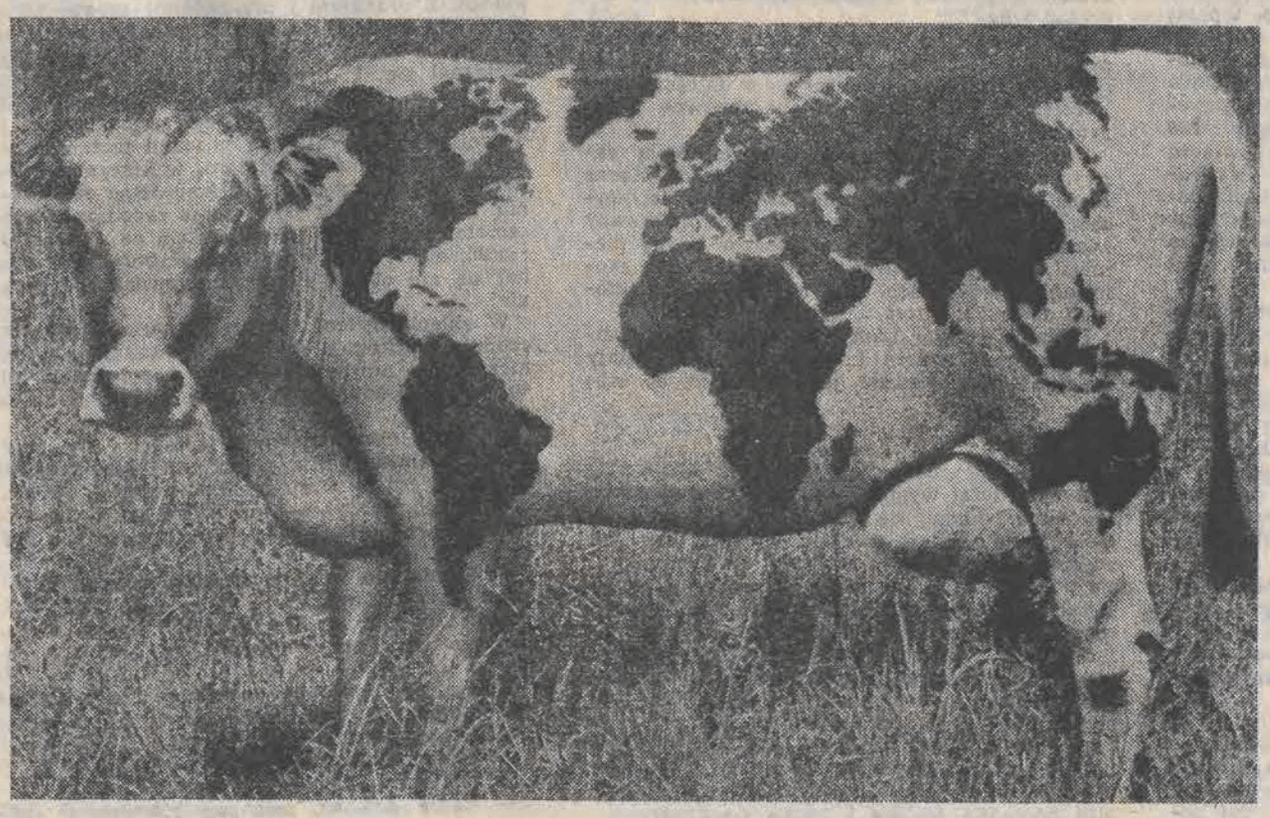

„INTERNATIONAL HERALD TRIBUNE"

W kręgu fantastyki

Cortex cerebri

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Bluza mundurowa..., pas skórzany z kaburą..., broń krótka i siedemnaście sztuk amunicji..., buty oficerskie ze srebrnymi ostrogami, oznaką korpusu dragonów...

Patrzył w milczeniu, jak robot wprawnymi ruchami przesuwa sprawdzone części ekwipunku z biurka na długą, brązową ladę.

— Bagnet — powiedział sucho android, przesunąwszy wszystko na lśniącą lakierem deskę.

Avaken z niechętnym westchnieniem wyjął z kieszeni czarny, skórzany futerał. To jasne, robot nie mógł o tym zapomnieć. Po raz ostatni wyjął nóż z pochwy i przez chwilę jeszcze przyglądał się ze smutnym uśmiechem jego lśniącemu, srebrzystemu ostrzu, przeciętemu od czubka klingi po rękojeść pionowym wgłębieniem. Błyszczało ono w ostrym świetle jarzeniówek pełzającymi plamami światła, zdawało się żyć. Pogładził je pieszczotliwie. Pod palcami poczuł cienką warstwę smaru, którym regularnie co tydzień pokrywał klingę.

— Proszę bagnet — powtórzył beznamiętnie robot.

Avaken nerwowo wcisnął nóż do pochwy, aż jęknął zatrzaskowy zamek i położył go na biurku.

„Zdecydowałeś się już. Nie przedłużaj tego" — pomyślał, patrząc, jak futerał wędruje na brązową ladę, by spocząć obok złożonego munduru.

Robot otworzył szufladę biurka i wyjął z niej dwie żółte, plastykowe karty i arkusz srebrzystej kalki, tego samego formatu. Złożył je razem i położył przed sobą. Błyszcząca igła, która wysunęła się z palca kancelisty błądziła przez chwilę po lśniącej tafli, wypełniając rubryki danymi z książeczki wojskowej Avakena. Następnie automat wziął obie złożone ze sobą karty i wsunął je w szczelinę stempla. Rozległ się cichy szum i na wyjętych ze szczeliny czarnego walca kartach pojawiły się okrągłe, wklęsłe pieczęci.

— 033.027.859 zdemobilizowany na wniosek własny — oświadczył kancelista urzędowym tonem, kładąc przed Avakenem kartę demobilizacyjną. Jej kopię schował wraz z listkiem srebrzystej kalki do szuflady.

— Możecie odejść — dorzucił po dłuższej przerwie, w czasie której Avaken nieruchomo wpatrywał się w żółty prostokąt. Dopiero po tych słowach wziął go z biurka i wyszedł z gabinetu.

Dopiero gdy był już na korytarzu dotarło do niego, co się stało. Poruszył ramionami, jakby chciał poprawić jakiś leżący na nich ciężar.

„Tak, stało się wreszcie" — powiedział do siebie.

Minął przeszklone wrota windy i skręcił w przeciwległe drzwi. Jego szybkie kroki zadudniły po schodach. Windą byłby na dole szybciej, ale winda nigdy nie jeździ pusta, a on nie chciał już spotykać nikogo z dawnych znajomych i przyjaciół. Po części wstydził im się pokazać w cywilnym ubraniu (czuł się w nim jak nagi), a po części miał już serdecznie dość rad: „Odchodzisz? co ty, człowieku, oszalałeś? Mówię ci, robisz głupstwo, zastanów się nad tym. Co się stało?" Od pewnego czasu stracił z nimi kontakt, choć ciągle przebywali ze sobą. Nie rozumieli się wzajemnie i Avaken wolał włóczyć się sam po zafłoczonych ulicach miasta, niż siedzieć w kasynie albo w koszarach. Nigdy w życiu nie czuł się parszywiej niż w czasie tych długich, samotnych spacerów. Ale właśnie w czasie jednego z nich poznał przypadkiem Chris.

Zanim wyszedł na parter, wychylił głowę przez uchylone drzwi i rozejrzał się ostrożnie. Korytarzem szedł kapitan Yasath ze swoją żoną, porucznik Lill z trzynastego samodzielnego. Odczekał, aż zniknęli za zakrętem korytarza i szybkim krokiem przebiegł kilkanaście metrów, dzielące go od głównego wyjścia. Wartownik przy bramie nie zasalutował mu. Może zastanawiał się przez chwilę, skąd wziął się w budynku cywil, z pewnością jednak nie domyślił się, że był to pierwszy i jedyny od wielu lat zdemobilizowany na własną prośbę.

Avaken nie zwrócił na wartownika najmniejszej uwagi. Nie dostrzegał już niczego ani nikogo oprócz jasnowłosej dziewczyny, czekającej na niego przy samochodzie. Nie zauważył nawet, że zaczął ku niej biec. To dla niej właśnie rzucał pierwszą wielką miłość swego życia: armię.

* * *

Generał Lant nie należał do ludzi, którzy wrzeszczą na podwładnych o byle co. Wprost przeciwnie. Nawet o najważniejszych sprawach rozmawiał z nimi spokojnym, cichym głosem, tonem tak lodowatym, że aż przyprawiającym słuchających, a zwłaszcza strofowanych, o dreszcze. I chyba właśnie dlatego, że nigdy nie dawał się ponieść nerwom wszyscy podwładni bali się go panicznie. W kryzysowych wypadkach woleli już mieć do czynienia z jego cholerycznym zastępcą, co też im się zwykle udawało, bo generał miał na głowie ważniejsze rzeczy niż sprawy dyscyplinarne, nie lubił zresztą napominać swoich oficerów.

To, że wezwał ich jeszcze tego samego dnia, świadczyło najlepiej, jak wielką wagę przywiązywał do sprawy Avakena. Stenton już kilka tygodni wcześniej, skoro tylko Avaken oznajmił mu swą decyzję, przypuszczał, że przysporzy mu ona kłopotów. Nie spodziewał się jednak, że zostanie wezwany przez samego Lanta i to w dodatku do jego prywatnego mieszkania

Siedział w miękkim fotelu, jak na szpilkach patrząc kątem oka na nie mniej zdenerwowanego dowódcę drugiej brygady, pułkownika Intore.

— Sądzę, że zdążyli się już panowie z tym zapoznać — powiedział Lant, podnosząc w górę podanie Avakena. Rozwarł palce i pokryty równymi liniami pisma arkusz ześliznął się na blat stołu. — Nie zamierzam teraz panów strofować ani szukać winnego...

Potoczył po nich wzrokiem.

— Jeśli chodzi o mnie, panie generale... — zaczął Intore. Lant uciszył go ruchem dłoni

— Ale uważam — ciągnął — że nie możemy tej sprawy tak zostawić. Nie możemy mu pozwolić odejść. Utrata wyszkolonego oficera zostawia potężną lukę w systemie dywizji, a nie dysponuję w tej chwili nikim, kto mógłby go zastąpić.

— Może zażądać przysłania kogoś z innej dywizji? — zaproponował Intore.

Lant wzruszył ramionami.

— Możemy. Chociaż wątpię, czy w jakiejkolwiek innej dywizji mają wolnych oficerów. W ostateczności moglibyśmy po prostu ściągnąć młodego człowieka z podchorążówki i pogodzić się z utratą Avakena. — Lant zgniótł w popielniczce cygaro. — Ale musimy przecież pamiętać o naszym prestiżu. Armia wydała miliardy na plan „Cortex cerebri", który miał nas zabezpieczyć na zawsze przed temu podobnymi zdarzeniami. A fakt, że zdarzył się pierwszy od trzydziestu dwóch lat dezerter, zostanie na pewno podchwycony i rozdmuchany przez cywilów.

„A wtedy" — pomyślał Stenton — „Generał Lant dostanie w sztabie głównym po łbie".

— Obawiam się — powiedział na głos — że próby wywarcia na Avakena presji, w wypadku wykrycia przez prasę czy holowizję, mogłyby mieć dla nas fatalne skutki. Avaken w tej chwili jest chroniony przez prawo cywilów.

— To nie jest przeszkoda — odpowiedział Lant. — Popełniliśmy gdzieś błąd i jestem gotów nie cofnąć się przed niczym, aby dowiedzieć się na czym on polega. Krótko mówiąc: Avaken musi wrócić do armii i nikt, ani przez chwilę, nie może mieć wątpliwości, że zrobił to z własnej woli. Wezwałem tu panów po to, abyśmy zastanowili się, jak to zrobić.

Podniósł się i ze szklanką w ręku podszedł do barku. Był to jeden z tych drogich, luksusowych mebli, których nie można kupić w normalnych sklepach. Zrobiony z prawdziwego drewna, miał kształt kilkunastu leżących rzędem beczułek. Z każdej beczułki sterczał srebrzysty kranik, z którego, po podstawieniu kubka wypływał strumień orzeźwiającego płynu. Beczułek było czternaście i każda z nich zawierała inny napój. Stenton widział już kiedyś podobne urządzenie w salonie profesora Karnsa, ale tam było tylko dziewięć antałków i kraniki przy nich trzeba było odkręcać i zakręcać ręką.

Przez skojarzenie z tym luksusowym barkiem przypomniał mu się sam Karns, człowiek, który swego czasu wprowadzał go w tajniki planu „Cortex cerebri". Dziś był już zapewne emerytem.

Stenton zastanowił się. Emeryci mają zazwyczaj wiele czasu. Możliwe więc, że Karns zgodzi się mu pomóc. Jest świetnym fachowcem, a poza tym, ten Avaken był operowany właśnie w tym okresie, w którym Karns kierował sztabem chirurgów i programistów. Stosowano wtedy nieco inne metody niż te, których używał Stenton.

I zanim generał Lant napełnił swoją szklankę złocistym winem i ponownie usiadł przy stole, Stenton wiedział już dokładnie, co zrobić.

* * *

Avaken leżał wygodnie na miękkim, szerokim tapczanie i nudził się niepomiernie. Od rana nie mógł sobie znaleźć miejsca. Obudził się, jak zwykle, o piątej — chociaż nikt go nie wzywał na poranny apel — i potem już nie mógł zasnąć. Leżał przez trzy godziny wsłuchując się w równy, spokojny oddech śpiącej Chris i rozmyślając jeszcze raz nad swoją decyzją o opuszczeniu armii. Przerwał w końcu te jałowe rozważania głuchym westchnieniem i wstał. Żeby się nie nudzić i jednocześnie zrobić coś pożytecznego, przygotował śniadanie, ale tak je przypalił i przesolił, że nadawało się tylko do wyrzucenia. Chris obudziła się o dziewiątej, zrobiła porządny posiłek i poszła do pracy.

Avaken leżał od kilku godzin na tapczanie ubrany w kwiecisty szlafrok, w którym czuł się jak błazen. Jak zresztą we wszystkich cywilnych ubraniach. Dawno już minęła pora śniadania i sprawdzania sprzętu. Minął czas przedpołudniowych ćwiczeń i zajęć teoretycznych, zdano codzienne raporty, a on wciąż leżał i nudził się. Usiłował czytać walające się po mieszkaniu cywilne tygodniki, ale ich język, rojący się od błędów i wręcz debilna treść szybko go do tego zniechęciły.

Około drugiej w mieszkaniu rozległo się natrętne buczenie wideofonu. Avaken usiadł na tapczanie. Siedział chwilę, zastanawiając się, czy go odebrać, aż w końcu podszedł do wtopionego w ścianę ekranu i nacisnął włącznik.

Na ekranie ukazał się krótko ostrzyżony mężczyzna o pociągłej twarzy, ubrany w szary, nieco wymięty garnitur.

— Słucham pana?

— Dzień dobry. Pan Avaken?

— Tak, to ja.

— Jestem An Tanken z „Dziennika Południowego".

— Dziennikarz?

— Tak. Chciałbym z panem porozmawiać.

— Przypuszczam, że nie mam do powiedzenia nic, co mogłoby zainteresować pańskich czytelników.

— Pan jest pierwszym od wielu lat człowiekiem, który zrezygnował ze służby w armii.

„Cholerny gryzipiórek. Jak on się mógł o tym dowiedzieć? Daję głowę, że armia niczego oficjalnego nie ogłosiła. Najprawdopodobniej Chris powiedziała to komuś".

— Więc gdyby pan mógł...

— Nie, nie mógłbym — odpowiedział. Avaken stanowczo.

— ...czekam na pana w barze „Mathena"!

Wyłączył wideofon i stanąwszy na środku pokoju, zaczął się zastanawiać, co robić dalej. Dość już miał bezczynnego leżenia na kanapie. Nie chciał też brać ponownie natrysku, robił to już dwa razy. Znudzonym ruchem zrzucił z siebie kwiecisty szlafrok i podszedł do ściennej szafy. Nacisnął przycisk zamka i wyjął z niej swoje jedyne ubranie, w którym opuścił jednostkę. Bez pośpiechu zaczął je zakładać. Brązowe obcisłe spodnie, lekko rozszerzone na dole, koszula z pagonami, lekka kurtka ze ściągaczem, bez podszewki. Na nogi założył miękkie, gumowe pantofle.

„Podobne do tych, jakich używali kiedyś grenadierzy pancerni" — pomyślał. Nalał sobie szklankę wody sodowej i podszedł do lustra.

Dopiero teraz zauważył, że ubranie, które kupił sobie na kilka dni przed opuszczeniem armii przypominało nieco krojem i barwą mundur.

Usiadł w fotelu i zapalił papierosa. Dla przyzwyczajonego do ciężkiej pracy żołnierza taka przymusowa bezczynność była prawdziwą torturą. Przypatrywał się chwilę pomarańczowej, gąbczastej substancji, wypełniającej papierosa. Żarzyła się delikatnie, powoli zamieniając się w wąską smużkę sunącego ku sufitowi błękitu. W wojsku udawało mu się czasem dostać papierosy z prawdziwym tytoniem, tutaj musiał poprzestać na syntetycznym.

Nawet się specjalnie nie zmartwił, gdy, sięgając po szklankę, nieostrożnie przytknął papierosa do kurtki. Syntetyczne włókna tkaniny zwęgliły się w jednej chwili i na bluzie wykwitła rozległa, czarna plama. Starczyło tylko dotknąć jej lekko palcem, by rozsypała się w czarne, kruche płatki.

„Cywilny śmieć. Mundury są robione z porządnego materiału".

Zgasił papierosa i zdjął kurtkę. Nawet nie zaklął. Ubrań było przecież w sklepach pod dostatkiem, a o pieniądze mógł się nie martwić. W dodatku miał wreszcie pretekst, by wyjść z mieszkania.

Kilka minut później był już na ulicy. Wtopił się w wartki nurt szarych, nic nikomu nie mówiących twarzy i popłynął z nim kaskadą ruchomego chodnika. Znał jeden sklep, wciśnięty między dwa wielkie biurowce, do którego czuł jakąś dziwną sympatię. W godzinach urzędowanie było on pusty, dopiero po trzeciej zalewała go upuszczona z sąsiednich budynków urzędnicza, bezosobowa ciecz. Avaken trafił tam kiedyś przypadkiem, włócząc się swoim zwyczajem wśród tego obcego mu tłumu.

Marzył, by ktoś tam na niego czekał, za grubymi murami koszar. Mówił wszystkim kolegom, że tak jest naprawdę i w końcu niemalże sam w to uwierzył. W rzeczywistości nie miał nikogo. Z rodzicami i przyjaciółmi zerwał kontakt, gdy znalazł się w więzieniu w Menenso (Właściwie to oni z nim zerwali). A potem, gdy zaciągnął się do dragonów, wychodząc z założenia, że lepiej odbębnić te kilka lat w wojsku niż w mamrze, i gdy zasmakowawszy w wojskowym stylu życia pozostał tam na stałe, słabiutka więź ze światem, w którym się urodził i wychował uległa ostatecznemu zniszczeniu. Przez wiele lat jakoś sobie radził ze swoją samotnością, ale w końcu zaczęła go ona przerastać, dusić. Więc kiedy poznał Chris, nie wahał się ani chwili. Po prostu musiał być przy niej.

W sklepie wybrał sobie marynarkę, wąskie spodnie i pstrokate szarawary, uważając, by w niczym nie przypominały one munduru. Wziął to wszystko pod pachę i powoli szedł do domu.

Zupełnie niespodziewanie znalazł się przy barze „Mathena". Stał przed nim przez dłuższą chwilę, a potem wzruszył ramionami i wszedł.

— Dzień dobry! — przywitał go oparty o ścianę dziennikarz. — Już myślałem, że pan nie przyjdzie.

— Wcale nie miałem zamiaru przychodzić — odparł Avaken, wrzucając monetę do dystrybutora z napojami. — Ale skoro już jestem, niech pan nie traci czasu i mówi od razu, o co chodzi.

Kątem oka wyłowił delikatny ruch palca dziennikarza na wyłączniku ukrytego za połą kurtki magnetofonu.

— Panie poruczniku...

— Nie jestem już porucznikiem.

— Panie Avaken, jest pan pierwszym od trzydziestu czterech lat człowiekiem, który zdecydował się na opuszczenie armii. Co pana do tego skłoniło?

— Zrobiłem to z powodów osobistych.

— Czy doszło do jakichś konfliktów między panem a armią?

— Nie. Nigdy nie miałem w armii żadnych konfliktów

Dziennikarz nerwowo podrapał się po brodzie.

— Czy mówią panu coś słowa „Cortex Cerebri"?

— O ile wiem, jest to łacińska nazwa kory mózgowej.

— Czy nie zetknął się pan, będąc w armii, ze sprawą planu „Cortex Cerebri"?

— Nie przypominam sobie. — Wzruszył ramionami Avaken.

— Może sprubuję panu przypomnieć. Osiem lat temu dziennikarz „Wieczoru", Mereld Gofsky ogłosił, że w armii dokonuje się w tajemnicy operacji mózgowych werbowanych rekrutów.

Tak, teraz sobie przypomniał. Słyszał o tej sprawie. Jeszcze jedno parszywe oszczerstwo tych pieprzonych urzędasów z lewicy.

— Gofsky twierdził, że jest w stanie dostarczyć dowody na poparcie swojej tezy. Niestety, nie zdążył tego zrobić. W kilka miesięcy później zmarł w tajemniczych okolicznościach.

— Zmarł w sposób najzupełniej normalny, na atak serca. Był już zresztą w podeszłym wieku.

— Istotnie, komisja śledcza, mimo żmudnych poszukiwań, nie natrafiła na żadne poszlaki, które wskazywałyby na nienaturalne przyczyny śmierci Gofsky'ego — zmieszał się Tanken. — Widzę, że jednak słyszał pan coś o tej sprawie.

— Tak, jedna z wielu bzdur tej waszej prasy. Po prostu nie może wam się pomieścić w głowach, że w armii jest lepiej niż tu.

Dopił ze szklanki sok i wrzucił do dystrybutora następną monetę.

— W armii nigdy nie przeprowadzano żadnych operacji mózgu. — powiedział. — Zgodnie z konstytucją służba wojskowa jest najzupełniej dobrowolna i każdy żołnierz może ją przerwać, kiedy zechce, tak, jak ja to zrobiłem. Ale tam jest zupełnie inne życie. Kto tego raz zasmakował, nigdy nie będzie miał ochoty wracać do tych waszych śmierdzących, betonowych mrowisk.

„Czasem sam się czuję niemalże, jak zdrajca. Dezerter" — pomyślał, ale nie powiedział tego na głos.

— Cóż, spodziewałem się, że tak pan będzie uważał. Ale skąd pan wie — dziennikarz nachylił się ku Avakenowi, patrząc mu w twarz — może i pan był operowany, tylko zostało to wytarte z pańskiej pamięci? Mereld wpadł na trop tej sprawy zupełnie przypadkiem, dowiedział się o niej od lekarza, który u kilku swoich pacjentów-żołnierzy wykrył ślady operacji mózgu. Dzisiaj można już takie ślady usunąć, ale jeszcze kilka lat temu...

— Gofsky wyssał to wszystko z palca! Żołnierze nie leczą się nigdy u cywilnych lekarzy! Nie zamierzam zresztą więcej rozmawiać z panem na ten temat.

Avaken oparł się pięściami o bar, usiłując zachować spokój.

— Ale ostatecznie można to przecież sprawdzić. — Nie ustępował Tanken. — Poddałby się pan odpowiednim badaniom... — Dziennikarz wzruszył ramionami. — Widzi pan, przygotowujemy specjalny program holowizyjny poświęcony armii i dobrze by było, gdyby wziął pan w nim udział. Jeżeli chodzi o honorarium, to mogę panu obiecać...

Avaken przerwał mu w pół słowa.

— Niech pan wyłączy magnetofon.

Tanken pomyślał chyba, że udało mu się uczynić jakiś drobny wyłom w niewzruszonym uporze żołnierza. Posłusznie sięgnął dłonią ku malutkiej kasetce, ukrytej pod marynarką.

— Więc słuchaj, pieprzony cywilu. Załóżmy nawet, że to co wymyślił ten twój Gofsky jest prawdą. I co z tego? Kiedy trafiłem do wojska, byłem pijakiem i narkomanem. Jeszcze parę lat i zgniłbym w jakimś więzieniu, albo zachlał się na śmierć. A wojsko zrobiło ze mnie człowieka, który ma po co żyć. Wisi mi, w jaki sposób. I jeżeli w tym twoim parszywym dzienniku znajdę coś szkalującego armię, to wybiję ci wszystkie zęby.

— Czemu się pan wścieka? — zapytał spokojnie dziennikarz. — Przecież już pan nie jest żołnierzem.

Avaken chwycił go prawą ręką za koszulę na piersi i pochyliwszy się, wzniósł nieco lewą pięść. Tanken spokojnie uwolnił się od jego chwytu i wziąwszy z półki pod ladą swoją torbę, skierował się ku drzwiom.

Stał dłuższą chwilę z głupią miną, wreszcie wybiegł z pustego baru. Przebiegł dobre kilkaset metrów, przeskakując z jednego ruchomego chodnika na drugi. Dopiero przed domem zatrzymał się. Wsunął sobie do ust papierosa i zaciągnął się głęboko słodkawym dymem.

Gdy wchodził w drzwi wieżowca dostrzegł wysiadającego z windy człowieka w mundurze dragona. Poznał, go, był to major Stenton, szef medyczny brygady. Czyżby chciał mu złożyć wizytę? Avaken schował się za załomem korytarza i czekał, aż Stenton przejdzie.

Mieszkanie wciąż było puste. Podniósł z podłogi nadpaloną kurtkę i wyrzucił ją do zsypu. Potem, nie ruszając się z miejsca, sięgnął do kieszeni i wydobył z niej walcowatą, błyszczącą bryłkę metalu. Zwykły nabój do mortyfikatora, kaliber 8,53, pojemność 300, czyli prawie dziesięć minut ciągłego ognia. Udało mu się uchronić go przed robotem-kancelistą. Ostatnia nić wiążąca go z wojskiem.

Przez chwilę obracał nabój w palcach, przyglądając się w zadumie jego lśniącej powierzchni, aż wreszcie z rozmachem rzucił go w czarną czeluść zsypu.

1 Przejście podziemne

(1)

Galeria

Dzielnicowy Banan kroczył środkiem podziemnego przejścia z miną sytego lwa, którego jedyną troską jest utrzymanie optymalnej częstotliwości stosunków małżeńskich ku zadowoleniu własnemu i wszystkich swych pań. W rzeczywistości pewnie myślał o nie zapłaconym rachunku za przedszkole, a może o niepojętej nieżyczliwości szefa komisariatu porucznika Makucha, który mu znów przysolił dwie niedzielne służby pod rząd i poza kolejnością. Ale to na tych ichnich kursach z psychologii uczyli Banana, że pewna twarz to połowa sukcesu śledczo-dochodzeniowego...

Idzie więc Banan środkiem i ojcowsko-arbitralnym okiem spogląda na tłum kłębiący się jak zwykle tuż po godzinie otwarcia, na pierwsze małe geszefty punkowy Margot i Beatki Góralki...

Nagle ruch niezwykły zrobił się przy schodach, a nad szumem dominował pisk jakiejś baby, wrzeszczącej w kółko: „Wypadek, wypadek, wyyyypadeeeek!". Bez sensu, jak to zwykle baba. Nie było bowiem *żadnego wypadku — ale* po schodach, podskakując powoli, zjeżdżał w dół wymalowany na żółto terenowy Landrover z pomarańczowym błyskającym kogutem na dachu i wielkimi czarnymi literami na bokach: „*PPiM*". Bryka stanęła dokładnie przed drzwiami do Mrówki, blokując wejście, co nikomu nie wadziło, jako że do trzynastej... Ho, ho!

Ze środka wygramolili się czterej faceci: Pan Inżynier w białym krótkim kożuszku, z teczuszką dyplomatką w łapie, Pan Brygadzista w gumiakach i kufai, z gigantyczną waserwagą zatkniętą za cholewą, Pan Robol w czerwonym kasku i Jaśnie Pan Szofer z pyskiem zaklejonym balonowym „donaldem". Pan Robol zaczął wyciągać z budy „terenówki" jakieś futerały, jak na średniej wielkości kwartecik smyczkowy, natomiast Pan Inżynier i Pan Brygadzista pochylili się nad jakimś planem.

Tłum dookoła zgęstniał szybko i dzielnicowy Banan miał już trudności z dotarciem na miejsce. Gdy się przebił z awanturą w oczach, nagle pohamował go krótki gest Inżyniera — jakby odznakę w dłoni pokazywał, czy co. Banan zesztywniał, a potem raźno wziął się za rozpędzanie publiki.

Tymczasem Robol wytaszczył wszystkie kufry i futerały, Inżynier raz jeszcze zerknął w plan, kazał Robolowi i Brygadziście zabrać bęben z kablem i zdecydowanie ruszył przez tłum do męskiego, odsunął z drogi zbaraniałą Metową i zaczął dobijać się do kabiny numer pięć. A w kabinie — jak się okazało — zamknął się, z takim nieciekawym typem handlującym szczeniakami, nasz ekstremista pan Konradek. Chryja się zrobiła, bo powstała kwestia — czy zamknęli się razem z powodów politycznych, czy jako mniejszość seksualna? Na drzwiach wprawdzie przybyły nowe hasełka, ale obaj mieli spuszczone spodnie...

Inżynier grzecznie odczekał, aż Konradek z psiarzem znikną, potem otworzył jakąś skrytkę za plątaniną rur, wsadził końcówkę kabla, a resztę druta Robol pociągnął do głównego salonu przejścia. Wtedy Brygadzista otworzył taki wielonczelowaty pojemnik i wyciągnął — wysokoobrotową, udarową młotkowiertarkę ze strefy niewątpliwie II płatniczej. Inżynier dokonał uroczystego połączenia rozwiniętej linii i maszyny w jedną całość roboczą, a w międzyczasie wokół placu Robol z Kierowcą rozstawili harmonijkowy biało-czerwony blaszany płotek.

Teraz nastąpiło clou całego przedstawienia: Inżynier podszedł do pięknej marmurowej ściany przejścia, naprzeciw męskiego, namazał flamastrem cztery krzyżyki (na planie prostokąta) i powiedział: — Rypaj, Jacuś!

Jacuś, onże Pan Brygadzista, podniósł swój elektryczny młotek i jak nie rypnie w ścianę! Odłamki poszły po oczach, a cztery dziury były gotowe w niespełna minutę. Teraz do akcji wszedł Pan Robol — zacementował otwory, wbił tzw. dyble; a jak to wszystko wyschło Pan Kierowca uroczyście wręczył Panu Brygadziście zawinięta w folię dechę. / Pan Brygadzista przekazał Panu Inżynierowi, ten z kolei oddał pakunek Robolowi, który zgrabnie przykręcił dechę czterema śrubami i zdarł folię...!

Gigantyczny śmiech najbliżej stojących zdmuchnął całą czwórkę. Ale tablica pozostała. I każdy przechodzący mógł, gdy chciał, przeczytać:

„Handel w przejściu podziemnym jest zabroniony na podstawie... (tu cytat z Dziennika Ustaw)" i podpis, najciekawszy w całej tej aferze:

„Naczelnik Municypalnego Zarządu Przejść Podziemnych i Biura Budowy Metra."

Ciekawostka — metro w naszym przejściu podziemnym?

(cdn)

J. ROTACYJNY

2 Z tej strony lady

Czego oczy nie widzą

Butów było dużo. Ten sam fason w kilku kolorach. Dodatkową atrakcją była bardzo niska cena. Nic dziwnego, że przed stoiskami ustawiły się długie kolejki. Wiele osób odchodziło jednak z niczym, bowiem sprzedawano tylko małe rozmiary. Wkrótce w kolejce wybuchła awantura. Jedna z klientek zareagowała ostro na tłumaczenie ekspedientki, że ten rodzaj botków był tylko w rozmiarach młodzieżowych krzycząc: po co te kłamstwa, większe wykupiłyście dla siebie i dla znajomych, przecież pani wcale nie ma młodzieżowej nogi. Rzeczywiście, ekspedientka, a także niemal wszystkie pozostałe sprzedawczynie ubrane były w takie właśnie buty, a trudno uwierzyć, aby w dużym sklepie, z liczną załogą, pracowały wyłącznie kobiety o małych stopach.

Podobne przypadki widuje się często: obok kasjerki w spożywczym sklepie stoi parująca szklanka z kawą, choć wiadomo, że ostatnia dostawa kawy w tym sklepie była dwa miesiące temu i starczyła na pół godziny sprzedaży, ekspedientka ubrana jest w strakcyjny sweter, a z drugiej strony lady stoi klientka, dla której dzień wcześniej już takich właśnie sweterków nie wystarczyło, chociaż miała znakomite, dziesiąte miejsce w kolejce, w wielobranżowym sklepie spożywczym, mimo wielu oczekujących w kolejce, kiełbasę na stoisku wędliniarskim kupują na zasadach „osób uprzywilejowanych" panie z sąsiednich stoisk nabiałowego i warzywnego, a jeszcze i z sąsiadującego ze sklepem kiosku Ruchu. Protesty klientów zdają się w takich przypadkach na nic.

Trudno się dziwić, że „normalnych" kupujących zjawiska takie irytują. Z drugiej jednak strony — równie trudno dziwić się, że pracownice handlu zaopatrują się w te towary, które są sprzedawane w ich placówce, choć nie w ilościach wystarczających dla wszystkich.

Choć zapewne nie wszyscy zgodzą się z moją opinią, uważam, że nie ma w takim postępowaniu nic zdrożnego, ale... Czy nie lepiej by było postępować w myśl przysłowia „czego oczy nie widzą, to sercu nie żal"? Niechże więc ekspedientka po przyjściu do pracy zmieni a trakcyjne botki na przydziałowe, robocze pantofle, niech przykryje sweter służbowym fartuchem, a kawę wypije na zapleczu. Niech panie z nabiałowego stoiska kupią kiełbasę „od tyłu", przed rozpoczęciem sprzedaży dla klientów. Postępowanie takie może, co prawda, budzić pewne opory natury moralnej, ale dokąd w praktyce zjawisko takie będzie istnieć (a będzie, bez względu na podejmowane działania, jeszcze przez wiele lat) uniknie się tym sposobem jeszcze jednego powodu do irytacji klientów i awantur w sklepach.

KLIENTKA

3 Nagłe zastępstwo

Popieram „Memoriał Gruna"

Istnieje potoczne przekonanie że tylko sztuka aktorska jest nietrwała i ulotna — nawet największe kreacje teatralne nie dają się tak sfilmować, żeby lśniły takim blaskiem, jak „w oryginale" — na scenie. To prawda. Prawdą jest także, że poeta żyje w swoich wierszach tak długo jak go czytają, kompozytor tak długo jak go słuchają. A dzieła plastyczne? Wydaje się, że mamy do czynienia z materią trwałą, wytrzymującą setki, ba!, tysiące lat. Czy tak jest rzeczywiście? Każdy kulturalny człowiek pamięta boski kształt Wenus z Milo, freski w kaplicy sykstyńskiej, Apollina Belwederskiego, słoneczniki Van Gogha i Hold Pruski Matejki. Przecież jednak niewielu ludzi widziało oryginały! Dzieła te trwają w świadomości społecznej dzięki tysiącom reprodukcji, filmów dokumentalnych, albumów. Zwłaszcza albumów!

Nie sposób przecenić wartości tych wydawnictw dla edukacji kulturalnej społeczeństwa. Śmiem twierdzić, że jest ona (ta wartość właśnie) daleko większa niż znaczenie lekcji wychowania estetycznego w szkołach średnich, daleko większa od wystaw sztuki. Jest niezastąpiona. Toteż znaczenie szczególne ma właściwa polityka wydawnicza w tej dziedzinie. Na wydawcach pozycji albumowych poświęconych sztuce ciąży szczególna odpowiedzialność w stosunku do sztuki współczesnej. Mają oni obowiązki wobec kultury narodowej, z których nikt ich zwolnić nie może.

Zmierzam do przedstawienia pewnej propozycji, jaką łódzkiemu oddziałowi Krajowej Agencji Wydawniczej złożył grafik i dziennikarz, współpracownik naszej redakcji, Andrzej Grun.

W krótkim konspekcie, jaki Grun złożył w redakcji KAW, znajduje się apel o wydanie cyklu monografii albumowych poświęconych zdokumentowaniu dzieła artystów tworzących i mieszkających w Łodzi. Celowo nie używam terminu „plastycy łódzcy", bowiem nie o ich „łódzkość" chodzi — byli oni, bądź są, artystami p o l s k i m i. Tym niemniej miasto, w którym mieszkali i tworzyli z wyboru, ma jednak wobec nich obowiązki. To oni, jak pisze Grun „wystawiali Łodzi kulturalną cenzurę, oni tworzyli jej kulturalną substancję".

Grun wymienia nazwiska Strzemińskiego, Hillera, Grusa, Kondka, Mackiewicza, Jaeschke, Liberskiego, Krawczyka. Można by tę listę przedłużyć...

Pisze dalej Andrzej Grun: „...twórczość tych artystów — czy ktoś chce czy nie chce — jest szerzej nie znana, a w niektorych przypadkach wręcz zapomniana, wsiąkająca w muzealnej, a jeszcze częściej w prywatne kolekcje".

Wydaje się, że właśnie to wsiąkanie w muzealne magazyny i prywatne kolekcje — skądinąd rzecz naturalna — jednocześnie niesie niebezpieczeństwo szczególnego rodzaju uśmiercenia artysty w świadomości społecznej, zatarcie jego roli i znaczenia w świecie sztuki, skazanie go na zapomnienie.

Tylko albumowe monografie mogą ten proces odwrócić. Rzetelna dokumentacja fotograficzna i reprodukcje dzieł opatrzone fachowo napisanymi szkicami o twórczości i życiu autora, wszystko to przyzwoicie wydane w rozsądnym nakładzie — to jedyny sposób na „ocalenie od zapomnienia".

Popieram gorąco inicjatywę Andrzeja Gruna, choć mam wątpliwości, czy łódzki oddział KAW sam może podźwignąć ciężar tej wielkiej pracy. Myślę, że konieczne jest współdziałanie z wydawcą łódzkich władz kulturalnych, łódzkiego — prężnego przecież — ośrodka muzealnego, może także łódzkiego oddziału nowego związku twórczego?

Będzie — jeśli pomysł chwyci — mnóstwo pracy i będą poważne wydatki, choć zgadzam się z Grunem, że nie będą to pieniądze wyrzucone w błoto.

Może ktoś zapytać, po co ten cały szum, po co te wydatki w trudnym czasie kryzysu, skoro „Arkady" od dawna już wydają cykl albumowy „W kręgu sztuki". Łódzcy twórcy też doczekają się swojej kolejki. Doczekają — tylko kiedy?

A sprawa, przynajmniej w odniesieniu do niektórych, nieżyjących już od dawna artystów, staje się pilna...

ANDRZEJ KAROL

P.S. Anonimowy czytelnik zatelefonował do redakcji i pogratulował mi felietonu z poprzedniego tygodnia. Przypominam, felieton nosił tytuł „Wpływ podatków na twórczość" i traktował o podatkach wyrównawczych. Czytelnik wyraził zadowolenie, że „wreszcie się tym darmozjadom artychom, dobiorą do kiesy, skubną im te miliony, bo to co się dzieje wywołuje oburzenie uczciwych ludzi pracy".

Wszystkich czytelników, którzy tak odczytali mój tekst przepraszam za niezawinione przeze mnie nieporozumienie. Opowiedziałem się wprawdzie za podatkami wyrównawczymi ale najdalszy jestem od takiej argumentacji, jaką zaprezentował mój telefoniczny rozmówca.

4 Sport

Co to za afera z tymi rowerami?

Jak zapewne wszystkim dokładnie powinno być wiadomo — mamy kryzys, kłopoty z eksportem, brak dolarów oraz innych walut wymienialnych na import, a także restrykcje gospodarcze prezydenta Ronalda Reagana. W takiej sytuacji — mogłoby się wydać — każda okazja zdobycia zagranicznego sprzętu sportowego wysokiej jakości powinna być okazją nie do odrzucenia. Zagraniczne firmy wysilają się ponad miarę — a nasze próbują w miarę możliwości iść ich śladem — aby unowocześniać nie tylko sprzęt sportowy dla różnych dyscyplin, ale i sportowe ubiory. Wszyscy starają się pomóc mięśniom człowieka w wysiłku zmierzającym do bicia rekordów. Nawet medycyna w tym próbuje uczestniczyć, ale to jest niedozwolone i surowo karane...

I oto nagle dowiadujemy się o aferze z „Alanami". Chodzi o zagraniczne rowery dla wyczynowców. Różnego rodzaju sprzęt najlepszych firm włoskich, sprzęt wartości 40 tysięcy dolarów leży sobie w polonijnej firmie OSCA i polscy kolarze — dla których jest ten sprzęt — nie chcą go wziąć. No, nie wszyscy, bo ze sprzętu skorzystali przełajowcy. Ale szosowcy — nie. Kategorycznie zabronił im tego trener Andrzej Ruciński. Doszedł do wniosku, że polscy kolarze będą jeździli na polskim sprzęcie, czyli tym, który przygotuje dla nich bydgoska firma „Romet".

A co ze sprzętem światowej klasy, który leży w polonijnej firmie OSCA? Zapewne trzeba go będzie wyrzucić na złomowisko, albo przekazać młodzieńcom z jakiegoś amatorskiego kółka rowerowego w Wólce Dolnej. Czym śmiertelnie obrazimy ofiarodawców, którzy zupełnie słusznie przestaną polskich kolarzy traktować jako poważnych partnerów.

Co na to Polski Związek Kolarski? Podjął uchwałę w sprawie gospodarki sprzętem i ubiorami, ale z Andrzejem Rucińskim poradzić sobie mimo to nie może. Zastosowano znany stereotyp: podejmujemy uchwałę i sprawa z głowy! Kto i jak ją będzie realizował, nie nasze zmartwienie.

O co w tym wszystkim chodzi! Czyżby rowery „Rometu" były rzeczywiście lepsze od rowerów innych firm? Katowicki „Sport" zapytał o to wybitnego specjalistę — Ryszarda Szurkowskiego.

— „Są również na wysokim poziomie" — dyplomatycznie odpowiedział zapytany, ale zaraz dodał: — „Najważniejszy ich element, czyli rama, wykonany jest z „Columbusów", czyli najlepszych rur".

Ryszard Szurkowski też nie bardzo rozumie skąd się bierze upór Andrzeja Rucińskiego. Uważa, że powinno się znaleźć rozsądny kompromis pomiędzy skrajnymi stanowiskami: brać — nie brać, bo choć oferowany nam sprzęt jest kroplą w morzu potrzeb, to jednak jego odrzucenie wyłącza nas z grona partnerów poważnych firm. Takie stanowisko wydaje się ze wszech miar rozsądne.

Na mój laicki gust, również „Romet" powinien być zainteresowany eksploatacją takiego sprzętu. Są to wprawdzie niewielkie ilości ale za to z najlepszych światowych firm. Ich eksploatacja przez kadrę daje „Rometowi" możliwość niezbędnych studiów. Dla rozwoju własnych technologii i rozwiązań konstrukcyjnych materiał taki wydaje się nieoceniony. Japończycy takiej okazji nigdy by nie przepuścili. Już się pojawili na rynku rowerowym z nowymi konstrukcjami. Nie zasypiają gruszek w popiele Francuzi i zaprezentowali ostatnio rewelacyjne obręcze do kół „GP 4". A my — oczywiście — bawimy się w jakieś podchody. Dolarów nie mamy, jak nam spada z nieba kapitalistycznego „rowerowa manna", bo ci wstrętni kapitaliści widzą swój interes w tym, aby nasi najlepsi kolarze jeździli na ich rowerach, to my wybrzydzamy i niczego nie chcemy się nauczyć. Być może „Romet" posiada w swoich technicznych archiwach taką rewelację, że nawet Japończykom oczy wyprostują się z wrażenia. Ale raczej wątpię. Czesław Lang, który widział bawiących we Włoszech kolarzy bydgoskiego „Rometu", powiedział, że było mu przykro patrzeć na wyposażenie rodaków. Załatwił we włoskiej „Carrerze" komplet ubiorów dla kadry, ale boi się kontrakt realizować, bo a nóż. Andrzej Ruciński znów się obrazi i odmówi przyjęcia.

O co więc tu chodzi?

O co natomiast chodzi w chwalonym obecnie kontrakcie zawartym do 1988 roku z firmą „Adidas" dokładnie wiadomo. Po prostu na naszą ofertę odpowiedział tylko „Adidas". Inni potentaci na światowym rynku sprzętu sportowego — jak choćby „Tiger", czy „Puma" — nie uznali nas widać za godnych uwagi partnerów. W tej sytuacji nie pozostało nam nic innego, jak cieszyć się i pod niebiosa wychwalać „Adidasa". Nawet Hubert Wagner, który nie tak dawno psy wieszał na „Adidasie", teraz wyraził radość z kontraktu. A co miał biedak robić?

Po tej fali radości można spokojnie oczekiwać na kolejne afery ze sprzętem „Tigera" czy „Pumy", jak to już bywało, że przypomnę tylko przypadki Jacka Wszoły i Grażyny Rabsztyn. Ze sprzętu „Adidasa" nie był też zadowolony Tadeusz Ślusarski. Będą chyba i inni niezadowoleni. Zainteresują się nimi inne firmy i afery gotowe.

Ale tu przynajmniej sprawa jasna. Nie było wyboru. A o co chodzi w aferze z rowerami?

BOGDA MADEJ

Redaguje zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak (sekretarz redakcji), Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Olechnowicz (z-ca sekretarza redakcji), Tomasz Sas (z-ca redaktora naczelnego), Igor Sikirycki (kier. działu literackiego), Karol J. Stryjski, Janusz Szymański-Glanc (grafik), Paweł Tomaszewski, Lucjusz Włodkowski (redaktor naczelny), Jolanta Wrońska.

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Dariusz Milerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Jerzy Wilmański.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy", al. Mickiewicza 11, kod. 90-433 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 36-83-44, sekretarz redakcji 36-80-99. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. WARUNKI PRENUMERATY: 1. dla osób prawnych — instytucji i zakładów pracy: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" i na terenach wiejskich, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. dla osób fizycznych — indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonują używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch". 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch". Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153 201045 139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykła jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę: — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny. — do dnia 1 każdego miesiąca po przedzającego okres prenumeraty roku bieżącego. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96, kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 23. Nr indeksu: 36782.

Zam. 810, E-2.

O tym, że wielu chce kochać lecz mało kto kogo lubi

— Brzydzę się widokiem nagich kobiet — odparła Elwira z tym samym przepraszającym, nieśmiałym uśmiechem. — Na plaży nudystów w Bułgarii czułam się po prostu okropnie.

— To dziwne — stwierdziła pani Turoniowa. — Bo przecież, o ile wiem, rozbiera się pani publicznie?

— Tak. Ja się rozbieram, ale inni pozostają ubrani. Ma się wtedy zupełnie inne uczucie..

Mały Turoń patrzył na Elwirę z taką natarczywością, jakby chciał z niej zdjąć dżinsy. Dostrzegła to Turoniowa i coś jak zazdrość odezwało się w głębi jej duszy. Synek nigdy tak na nią nie patrzył, a przecież chciała, aby jeszcze przez długi czas była dla niego ideałem najpiękniejszej i jedynej kobiety.

— Chodźmy już do domu — rozkazała mężowi. — Do widzenia państwu. Szkoda, że pan doktor jest na urlopie. Spróbuję sama radzić sobie z bezsennością.

Wzięła syna za rękę i naśladując ruchy panny Elwiry, lekko kołysząc się w biodrach, zeszła z tarasu i zniknęła za węgłem domu. Za nią powlókł się Turoń — ostrożnie niosąc to coś, co znalazło się w jego spodniach.

— Romanie — rzekła z odrobiną gniewu do swego męża, gdy znaleźli się już na drodze w lesie — ci ludzie nie są dobrzy. Słyszałeś, co pisarz zaproponował doktorowi? Popłyną dwoma łódkami, Lubińska z doktorem, a pisarz z dziewczyną. „Tak będzie ciekawiej" zaproponował. Chyba się domyślasz, co on chciał przez to powiedzieć?

— Tak — mruknął Turoń i trzykrotnie, z dłuższą przerwą, zaburczał swoim zadem.

A tamci na dwóch jachtach wkrótce już minęli szeroki półwysep, gdzie kiedyś znajdowała się binduga, a teraz między drzewami rozpościerała się łąka, na której robotnicy leśni, a także wdowy po pracownikach leśnych, wypasali swoje cielęta i krowy. Tu także przebywała krowa Justyny; doktor pomyślał o nocy, poczuł radość i mocniej wybrał grot. Pani Basieńka wychyliła się za burtę, rozchylonymi nogami wsparła się o deski podłogi, i także mocniej ściągnęła szot foka. Trzymając w dłoniach grubą linę, wygięła głowę do tyłu i słysząc, jak jacht doktora zaczyna z coraz głośniejszym szumem rozbijać fale, roześmiała się, pokazując doktorowi różowe prążkowane podniebienie i drobne małe ząbki. Rambler doktora szedł kursem na wiatr, wciąż szybciej i szybciej, a biały jacht pisarza pozostawał w tyle.

Elwira rozpuściła warkocz, pozwalając, aby wiatr rozwiał włosy, a potem zakrył nimi jej twarz.

— Szkoda, że ożeniłeś się z nią, a nie ze mną — odważyła się wyznać najskrytsze myśli. Była jak dziecko, które zakrywszy sobie twarz ma uczucie, że nikt go nie widzi.

— Ja też tego żałuję — powiedział smutnie Lubiński. — Zauroczyły mnie wtedy jej piersi. Siedziała na pomoście z nagim biustem, a ty nosiłaś stanik.

— Ona ma więcej seksu — przyznała Elwira. — A ja tego zupełnie nie lubię. Ty także, prawda?

— Lubię, ale nie za często.

— Żaliła mi się, że nie robisz z nią tego tyle razy, ile ona by chciała. I za krótko.

— To prawda — przyznał Lubiński.

— Ja lubię krótko i bardzo rzadko. A tak naprawdę to w ogóle tego nie lubię.

— Zauroczyły mnie jej strome cycki — ze złością powtórzył Lubiński.

— Z tobą mogłabym to od czasu do czasu robić. Bo bardzo się lubię, Nepomucenie. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo cię lubię. Czy lubić kogoś, to coś gorszego niż kochać?

— Wszyscy ciągle gadają o miłości, ale tak naprawdę mało się lubią. Kochają się, ale się nie lubią.

— Ja też myślę, że lubić kogoś, to więcej niż kochać. Lubię na ciebie patrzeć i kiedy ty na mnie patrzysz. Lubię słuchać tego, co mówisz. Dla ciebie może polubiłabym nawet to, czego tak nie lubię.

— Zauroczyły mnie jej strome cycki...

— Szkoda, że nie widziałeś moich — szepnęła.

I odgarnęła włosy z twarzy. Do tej pory odnosiła wrażenie, że stąpa po niepewnym gruncie, jakby po mokradłach czy bagnie. Dopiero teraz znalazła pod nogami coś twardego i znajomego. Już nie musiała się wstydzić.

— Rozbiorę się dla ciebie, Nepomucenie — oświadczyła radośnie.

Lubiński nie wyrzekł słowa. Szot foka staranniej umieścił w knadze zaciskowej i poluzował główny żagiel, zabezpieczając się przed niespodziewanym uderzeniem szkwału. Odrobinę zmienił kurs, aby burta z Elwirą pozostawała w słońcu, z dala od cienia, który grot rzucał na kabinę i kokpit. Płynął baksztagiem, podczas gdy ciemny jacht doktora sunął szybko kursem na wiatr. Oddalili się więc od siebie, lecz jemu było wszystko jedno, co żona i doktor pomyślą o jego umiejętnościach żeglarskich. Miał uczucie, że w tej chwili jest odważnym buntownikiem, który przeciwstawił się śmiało celom, jakie mu ktoś lub on sam wyznaczył. Przez owo nieustanne dążenie do jakichś z góry wyznaczonych celów, narzucających kurs najwłaściwszy, być może tak często mijał się z prawdą i szczęściem. Tak, to było chyba właśnie to — sedno klęski, jakiś mały punkt na horyzoncie, jakaś ciągle nowa Piaszczysta Ostroga, do której wciąż należało dążyć, zamiast odpaść od linii wiatru, zapomnieć o ostatecznym celu. Nigdy — nawet przed sobą samym — nie potrafił się przyznać, że tak naprawdę tęskni za kobietą zimną, dla której miłość z mężczyzną pozostawała sprawą obojętną; mogła z równą łatwością rozebrać się przed jednym lub setką mężczyzn, podobnie jak zjeść obiad we dwoje w zacisznym pokoju lub wielkiej restauracji. On też nie pragnął miłości, ale pisał o niej, a także dążył do niej, jak do celu wyznaczonego mu przez poglądy innych ludzi. Być może lubić kogoś, rzeczywiście znaczyło więcej niż kochać, ale przyznanie się do takiej myśli mogło zostać odebrane jako popełnienie błędu w sztuce, wykazanie się brakiem podstawowych umiejętności właściwego widzenia świata. Tak, być może kochał Basieńkę, lecz jej nie lubił; nie kochał Elwiry, a jednak ją lubił. Co było lepsze, ważniejsze, piękniejsze? Co mogło dać większe szczęście? Jak nożem Pozdnyszewa raz po raz sztyletowano bohaterów i bohaterki literackie słowami: „Niestety, nie kocham, a tylko lubię". Tymczasem być może czymś najpiękniejszym mogło stać się przebycie życia z człowiekiem, którego się tylko lubiło. Czyż miłość nie oznaczała nieustannych wzajemnych udręk, a także ciągłego lęku przed jej utratą, jak przed dewaluacją ogromnego majątku? Miłość wznosiła człowieka bardzo wysoko, zarazem jednak jak groźny był upadek z owych wysokości, jak ogromne cierpienie niosła zdrada i konieczność rozstania...

— Niech się pan obejrzy do tyłu, doktorze — odezwała się pani Basieńka. — Nepomucen coraz bardziej oddala się od nas.

— To oczywiste, pani Basieńko — uspokajająco rzekł doktor. — Musi tak być, skoro płynie baksztagiem.

— Fatalne.

— Dlaczego? — zdziwił się doktor. — Jak pani wie, zawsze uważałem, że nie mają sensu dyskusje o wyższości beidewindu nad baksztagiem albo fordewindem. Sprawa zależy od tego, kogo się ma na pokładzie. Baksztag to bardzo dobry wiatr, pani Basieńko. Gdybym płynął z Elwirą, też bym się na niego zdecydował. Z panią jednak trzeba iść ostro na wiatr, to oczywiste.

— Może — westchnęła pani Basieńka, co chwila oglądając się za siebie.

Elwira przymrużyła oczy od blasku słońca. Ze wstydliwym uśmiechem na ustach nieśmiałym gestem zaczęła wolno rozpinać guziki szarej bluzeczki, aż obnażyła Nepomucenowi pozbawione stanika piersi, podobne do połówek ogromnych rogali. Zdejmując bluzkę poddała ciało ku przodowi, aby mógł ocenić wzrokiem ich wielkość i ciężar, a także ukrytą w nich prężną siłę, nie pozwalającą im wiotczeć i opadać. Tym samym wstydliwym ruchem rozpięła zamek dżinsów i szybko ściągnęła je z siebie razem z białymi figami, rzucając odzież na kratownicę podłogi w kokpicie. Naga i piękna, z płaskim brzuchem i jakby zwiniętym w kłębek czarnym kotem, śpiącym jej między nogami, siedziała na burcie przed Lubińskim. Nagle otworzyła oczy, spotkała nimi wzrok mężczyzny i rozchyliła usta, szepcząc coś do niego. Potem podniosła ręce ku włosom na głowie, jakby chciała je obronić przed porywami wiatru — i ten właśnie gest, bezbronny i łagodny, który poruszył jej ciężkimi piersiami, przeszył Lubińskiego pożądaniem większym niż widok jej bezwstydnej nagości. Chroniąc się przed wewnętrznym bólem uciekł Nepomucen wzrokiem w jezioro, na białe grzywy piany, na zieleń Czaplej Wyspy. Naga dziewczyna na burcie wydała mu się bezgrzeszną i niewinną, chłodną jak kłaczki piany zrywanej przez wiatr z grzbietów fal.

— Niech pan spojrzy, za siebie, doktorze — odezwała się pani Basieńka. — Elwira rozebrała się do naga.

— To oczywiste — odparł uspokajająco doktor. — Nie może opalać się w staniku i majteczkach. Menażer jej tego zabrania.

— Dlaczego nie zrobiła tego wczoraj, kiedy pływaliśmy we trójkę? Ja też bym się rozebrała. Wczoraj było równie wspaniałe słońce.

— Słusznie, pani Basieńko. Ale ona nie znosi widoku nagich kobiet.

— Zrobiła to specjalnie dla Nepomucena — ze złością stwierdziła pani Basieńka.

— To oczywiste — zgodził się doktor. — Pan Nepomucen rzadko bywa w stolicy, gdzie ona rozbiera się w „Astorii". Musiałby zapłacić za ten sam widok aż pięćset złotych wstępu.

— Jeśli ona uczyniła to dla Nepomucena, ja mogę zrobić to samo dla pana, doktorze — powiedziała pani Basieńka.

— Nie trzeba. Naprawdę nie trzeba — zapewnił ją doktor. — Niech pani raczej mocniej wybierze fok. Ja panią już kilka razy widziałem nagą w swoim gabinecie.

— To nie to samo — zasmuciła się pani Basieńka.

— Wiem, że nie to samo — zgodził się z nią doktor. — Ale w tej chwili płyniemy ostro na wiatr i chcemy dobić do Piaszczystej Ostrogi. Naprawdę, powinna pani jeszcze bardziej wybrać fok.

— Niech się pan obejrzy doktorze — boleśnie powiedziała pani Basieńka. — Obydwa żagle Nepomucena wpadły w łopot, ich jacht zaraz zniknie za drzewami Czaplej Wyspy. Po co oni tam płyną, doktorze? Ja też się zaraz rozbiorę do naga.

— Nie, nie! — prosił doktor. — Jeśli jakaś kobieta rozbiera się przede mną w takiej sytuacji, to natychmiast przychodzi mi na myśl, że ona chce, abym ją zbadał. Niechże pani nie psuje cudownego nastroju, w jakim jesteśmy. Zapewniam panią, że kobieta odrobinę ubrana bywa dla mnie niekiedy bardziej interesującą.

— Rozumiem — bez przekonania zgodziła się pani Basieńka.

Doktor mocniej ściągnął szot grota i jacht znalazł się w dużym przechyle. Wiatr gwizdał na wantach, zagłuszał syk piany na falach roztrącanych przez dziób. Raz po raz kolejne szkwały obsypywały ich kropelkami wody, chwilami fala zalewała przedni pokład i moczyła końce rozpuszczonych włosów Basieńki, która, wychylona do tyłu, trzymając szot foka, balastowała na prawej burcie.

— Hej! Hej! — krzyknął radośnie doktor, gdyż miał uczucie, że jacht wznosi się ku górze i szybuje po czubkach fal.

— Hej! Hej! — odkrzyknęła mu pani Basieńka, ciesząc się jego radością.

Za Czaplą Wyspą trzciny głośno chrobotały, ocierając się o kadłub jachtu Lubińskiego. Łódź weszła w trzciny od strony zawietrznej, żagle zwisły bezwładnie, uspokojone dotknięciem gorącej dłoni upału.

— Żyjesz we mnie. Czuję, jak żyjesz we mnie — na podłodze jachtu Elwira szeptała do ucha Nepomucena i palcami delikatnie pieściła jego skronie. Nie czuła przyjemności, ale jej zimne i otwarte oczy z jakąś ogromną czułością śledziły kropelki potu na czole mężczyzny.

— Żyj we mnie, żyj — zachęcała go.

Była szczęśliwa jego szczęściem i dopiero po chwili, gdy doznał rozkoszy, ogarnięta nagłym i krótkim podnieceniem, mocno przycisnęła wargi do jego ust.

— Uwaga! Zwrot przez sztag! — zawołał doktor.

Zawrócił za Piaszczystą Ostrogą i, zrzuciwszy główny żagiel, na samym foku podchodził z wiatrem do smugi białego piasku. Na skraju płycizny znowu dokonał zwrotu i stanął pod wiatr, strącając do wody kotwicę. Później wskoczył na przedni pokład i sklarował fał foka. W tym czasie pani Basieńka przeniosła na piaszczystą łachę dwa gumowe materace i, usiadłszy na jednym z nich, zwróciła głowę w kierunku Czaplej Wyspy. Zza kępy drzew już wypływał biały jacht Nepomucena.

— Szybko się uwinęli — stwierdziła z przekąsem. — Chyba pan nie sądzi, doktorze, że jestem głupia. Tam za wyspą Nepomucen przeleciał Elwirę.

— To oczywiste — zgodził się z nią doktor, zeskakując z pokładu i chlapiąc wodą na mieliźnie. — Elwira to bardzo ładna kobieta. Nie powinno się mężczyźnie żałować żadnej kobiety. Zresztą trzeba to pani wiedzieć, że ładne mają większe prawa.

— Naprawdę? — ucieszyła się.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

— A tak — oświadczył, kładąc się na materacu, który już zdążył się nagrzać od słońca i aż parzył ciało. — U niektórych gatunków ptaków uroda warunkuje niewierność. Im ładniej bywa upierzona samica, tym bardziej samiec musi tolerować jej niewierność. Zresztą sama pani powiedziała, że on ją tylko przeleciał. Co innego przelecieć jakąś ładną kobietę, a zupełnie co innego ją posiąść.

— Ma pan rację — zachichotała pani Basieńka. — Odniosłam wrażenie, że Elwira i Nepomucen bardzo się lubią. Dlatego nie będę mu robiła żadnych wyrzutów. Inna sprawa, gdyby ją posiadł.

— Bardzo słusznie — przytaknął doktor. — Jeśli ludzie się lubią, można im na wiele pozwolić.

Pani Basieńka zamyśliła się. Potem zerknęła na jezioro i coraz bliżej nadpływający jacht męża. Następnie uśmiechnęła się do doktora.

— Czy pan wie, że i ja pana bardzo lubię, doktorze?

— Domyślałem się tego. Bo i ja także panią bardzo lubię.

— Cieszy mnie to — oświadczyła pani Basieńka. — Bo przed małą chwilą miałam ochotę, aby mnie pan przeleciał. Prawda, że to nie było rozsądne?

— Oczywiście, pani Basieńko — zgodził się z nią doktor. — Taką kobietę jak pani należy posiąść.

Zadowolona z odpowiedzi doktora położyła się plecami na materacu i poddała słońcu swoje ciało. Nie wiedziała dlaczego, ale w tej właśnie chwili doznała uczucia głębokiej pewności, że nareszcie doktor dojrzał w niej kobietę, a także, co ważniejsze, jej zapragnął.

W kilkanaście minut później od strony zawietrznej dobił do ostrogi biały jacht Nepomucena. Elwira znowu była ubrana w dżinsy i szarą bluzeczkę starannie zapiętą pod szyją. Lubiński musiał ją przenieść na rękach z jachtu na ląd, aby sobie nie zamoczyła nogawek spodni. W jachcie pisarza znajdowały się dwa termosy z obiadem oraz talerze i sztućce — jedli więc, rozmawiali, milczeli, rozsnuwając między sobą nić wzajemnego pożądania, bo przecież tak naprawdę nic innego nie mają sobie do ofiarowania.

O tym, jak Renata Turoń tańcząc nago, oczekiwała nocy mieszania krwi

Renata Turoń siedziała na stołeczku przy oknie na piętrze domu gajowego Widląga i rozpłaszczając nos na szybie spoglądała na okryte mrokiem jezioro. Była już głęboka noc i równie głęboka wydawła się jej ciemność za oknem. Ale chwilami, gdy nieco dłużej, nie mrugnąwszy powiekami, wpatrywała się w noc, zdawało się jej, że w owej nieprzeniknionej czerni dostrzega kroplę blasku, ulotny mały błysk, jakby ktoś daleko zapalił zapałkę, która natychmiast zgasła od podmuchu wiatru. Czuła wówczas najpierw delikatny dygot swych ramion, a później drżeć zaczynały kolana, a uda pod sukienką opływały potem. Zaraz jednak uświadomiła sobie, że to w szybie odbija się refleks światła od skali włączonego radia, które stało na stołku w pobliżu okna i sączyło dźwięki egzotycznej muzyki. Odwracając twarz od okna widziała w delikatnym poblasku radia zarys łóżka pod ścianą, gdzie spało jej dziecko, a pod drugą ścianą zarys drugiego łóżka, z oczekującą na nią chłodną pościelą. Turoń leżał na materacu rozłożonym w pobliżu drzwi i zapewne swoim zwyczajem spod przymrużonych powiek obserwował ją, tkwiącą na stołku przy oknie i zapatrzoną w noc. Mało ją to obchodziło, co czuł i myślał o niej ten człowiek, a może jedynie półczłowiek, ćwierćczłowiek, osobnik dziwny, bo żywy, a zarazem martwy. Czy takie właśnie istnienie u boku na poły żywego i martwego człowieka było jej przeznaczone? Czy o tym marzyła, gdy dziewczynką będąc patrzyła na kobiety w śmigających szosą pięknych samochodach? Przy domu rodziców, za stodołą, był śmierdzący wychodek ze źle zamykającymi się drzwiami. Powracająca z ubikacji matka nigdy nie myła rąk, tylko tymi samymi rękami, którymi podcierała tyłek, krajała chleb i smarowała go masłem. U sąsiadów trzymano byka, mała dziewczynka chodziła tam obserwować, jak czerwony szpikulec byka zanurza się w obrzmiałych pochwach latujących się krów i jałówek. W miastach nie było byków, w muszlach klozetowych szemrała woda, ludzie myli ręce po wyjściu z ubikacji, a także przed jedzeniem. Człowiek powinien dbać o higienę, tak pisało wielkimi literami na ścianie korytarza w ich wiejskiej szkole. Sama nie wiedząc, czemu właśnie te słowa, a nie jakieś inne tak bardzo głęboko zapadły w jej świadomość. Może wiązało się to w jakiś sposób z widokiem kobiet śmigających mimo domu w pięknych samochodach? Kiedyś taki samochód zepsuł się koło ich domu. Ładna i pięknie pachnąca młoda kobieta chciała załatwić fizjologiczną potrzebę i mała Renatka zaprowadziła ją do ubikacji za stodołą. Nigdy nie zapomniała wyrazu wstrętu, jaki pojawił się na twarzy owej pachnącej kobiety, gdy ujrzała wnętrze ich ubikacji. Mała Renatka przez dziurę po wypadniętym sęku obserwowała, w jaki sposób owa kobieta załatwiała swoją naturalną potrzebę — nie usiadła na wyszorowanych deskach, ale wlazła na nie butami i ostrożnie kucnęła. Potem z torebki wyjęła kawałek ligniny. Wracając z ubikacji dostrzegła czerwony szpikulec byka, który u sąsiadów szykował się do pokrycia krowy. „Nie patrz w tamtą stronę, bo to wstrętne" — powiedziała ta kobieta do Renatki i nawet ujęła ją za głowę, odwracając twarz dziewczynki w inną stronę. Od rodziców Renatki zażądała miski z wodą i długo myła ręce. A ponieważ Renatka pragnęła stać się taką właśnie ładnie pachnącą kobietą, przejeżdżać w pięknym samochodzie, tedy odtąd zawsze wlaziła butami na wyszorowane deski ubikacji, podcierała się ligniną, często myła ręce, odwracała twarz od widoku byka kryjącego krowy. Przeczytała wiele książek o higienie, myła się wciąż i używała mocnych perfum. Była też pewna, że powinna brzydzić się wszelką fizjologią, skoro tamta kobieta nie pozwoliła jej patrzeć na czerwony szpikulec byka. Przez całe lata powoli budziła w sobie wstręt ku tego rodzaju sprawom, aż doszło do tego, że nawet sama do siebie odczuwała coś w rodzaju obrzydzenia, gdy miała menstruację, musiała pójść do ubikacji albo ktoś w jej towarzystwie nagle decydował się udać do tego miejsca. Kiedyś, już na studiach, kolega z tego samego roku zaprowadził ją letnią nocą do parku i tam w ciemnościach włożył w jej dłoń coś twardego i gorącego. Z początku myślała, że trzyma przegub ręki, potem nagle uświadomiła sobie, że to jednak jest coś zupełnie innego, zerwała się z krzykiem, uciekła do domu i chyba z pół godziny myła ręce. A jednak jakże często uświadamiała sobie ze smutkiem, że nie potrafi w pełni i doskonale stać się tamtą kobietą z dzieciństwa, nigdy bowiem tak naprawdę nie przestała myśleć o czerwonym szpikulcu byka, pojawiał się on nieustannie w jej snach i nawet na jawie wprowadzał jej ciało w bolesny dygot i wewnętrzne drżenie. Pragnęła, aby ktoś powtórnie zaprowadził ją nocą do parku i dał do potrzymania to coś obrzydliwego, choć wiedziała, że znowu zerwie się z ławki, ucieknie do domu i będzie bardzo długo myła ręce. Z czasem stwierdziła ku swemu zdumieniu, że im bardziej coś powoduje w niej wstręt, tym większe i silniejsze wywołuje w niej drżenie. Wstręt budziło w niej podniecenie, a podniecenie rodziło jeszcze większy wstręt, i tak przez lata liceum i studiów miotała się nieustannie między podnieceniem i wstrętem, obrzydzeniem i pożądaniem, aż w końcu ta sprawa, oprócz nauki, stała się w jej życiu najważniejszą.

c.d.n.